

Masankows.

Franciszek Dzierżykraj - Morawski.

PISMA ZBIOROWE

WIERSZEM I PROZĄ.

TOM IV.

PROZA.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1882.

K-104/86, p

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0490228



opn.

108132 ✓

PROZA.

MOWA
PRZY OBCHODZIE POGRZEBOWYM
J. O. KSIĘCIA
JÓZEFA PONIATOWSKIEGO
w Sedan dnia 23 Grudnia 1813.



DO WOJSKA POLSKIEGO.

y, którzy dowiedliście, do jakiej chwały stworzony jest Polak, którzy niezgiętością waszą, tyle przykładów zostawiacie dziejom, przyjmijcie mężni rycerze, niniejszą, a wam najwięcej należną ofiarę!

Ten głos, który za wezwaniem waszém wzniosłem na grobie Poniatowskiego, dojdzie może nieszczęśliwych Ziomków naszych, i zawiadomi ich, że są jeszcze kraje, w których wolno nie zapierać się imienia i cnoty Polaka.

Infandum, Regina, jubes renovare dolorem.
Aeneid, lib. II.

Nigdy może do smutniejszego obrzędu, i nigdy może do wyższej chwały wezwanym nie będę. Jaż to mam wytłomaczyć tę boleść co serca wasze rozdarła, ja wobec tylu mężów, wpośród tylu laurów, zaszczyć ten cyprys żałobny łzami całej Polski zlany!

Możecież żądać odemnie, aby dusza moja powtórzyła te wszystkie czucia, które śmierć wodza naszego wzbudziła?

Wytrzymamże ten widok okropny smutku, tej żałoby, którą na tych posępnych murach, na tych orłach narodowych, i na was widzę Polacy? Czyliż nareszcie ta boleść dręcząca, nie zamknie w piersiach moich głosu żałości, widząc przed sobą tę chlubę narodu mojego, te święte szczątki owych bohaterów, co niegdyś chwałę i miłość swojej ojczyzny, aż za kresy Europy zanieśli, a dzisiaj, tak od niej dalecy, w ciemnych tej świątyni sklepieniach, razem nad zwłokami wodza swojego i losem Polski boleją. — Pograżony w tej czarnej przepaści nieszczęść, jakże się z niej wydobyć zdołam, jakże dojdę tego szczytu sławy, na którym Poniatowski hołdu swo-

jego czeka? Znajdź wyrazy boleściom, porządek myślom moim stósowny? O Bracia! przebaczenie nieudolności żołnierza, jeżeli żalom waszym, jeżeli zasługom jego nie zdołam odpowiedzieć godnie; ale jeżeli powiecie, że nie upadł w zamiarze, że nawet siły moje przewyższył, uznajcie to za nowy dowód, co może szacunek cnoty, co może przywiązanie i wdzięczność Polaka.

Pierwszy rzut oka na życie Poniatowskiego spostrzega najświetniejsze urodzenia zaszczyty. Książę, synowiec króla Polaka, wnuk przyjaciela i towarzysza Karola XII-go. Osnowa ta, ustom pochlebnym, aż nadto byłaby bogata do utworzenia tak obszernej jak znikomiej pochwały. Ale surowa potomność tym tylko przeznacza wieniec chwały, którzy zaszczytami trumny, zgasił świetność kolebki. Nie masz większego ciężaru jak świetne imię. Zaszczyty przodków, są to owe rażące światła, które im są jaśniejsze, tem bardziej błędy nasze oświecają. — Poniatowski najtrudniejszy dług może w tej mierze zaciągnął, bo któż z nas bez westchnienia żalości zdoła wspomnieć tego króla z krwi jego, który chociaż może nie był przyczyną wszystkich klęsk i nieszczęść, owszem wskrzeszonym światłem usiłował odkryć tę drogę wartości narodowej, którą poprzednicza niedołężność dwuwieczną przykryła nocą: lecz nie umiał wynaleść w sobie, tych przymiotów mężkiej duszy, tak koniecznych królowi, królowi nieszczęśliwemu, królowi Polaków; nie umiał być pierwszym w owęj najwłaściwszej rodowi swemu enocie, i stąd ściągnął na siebie ów straszliwy i mocarzem świata nieprzepomny wyrok, że sądem ludu swego, wszystko zaciął, gdy przeżył zgon Polski. Wolność wyrzeczenia

równiej prawdy do chluby ludzkości i tronów należy. Ty więc święta prawdo, kieruj moim głosem, i powiedz czem był Poniatowski.

Mógłbym zasięgnąć młodzieńczych lat bohatera naszego, i wszystkie cnoty jego w samym ich zarodzie wyczytać. Pełne żywego interesu dla głębokiego badacza byłyby może owe rozważania, przez jakie okoliczności mąż ten przechodził w wiosnie życia swojego, co w nim zaszczepiło to silne uczucie honoru, tę czarowną uprzejmość, tę szlachetność i potęgę duszy, co rozkrzewiało tę nieograniczoną miłość ojczyzny. Ujrzelibyśmy może pierwsze tej chwały promienie, która później tak świetnie zajaśniać miała: może też pospolite znaleźlibyśmy przedmioty, bo większa część rodu człowieka, równie jak wszystkie natury owoce, potrzebuje przyjścia swojej pory, która jej dojrzenie i wartość nadaje. Szczupła jest bardzo liczba tych mężów, których geniusz w pierwszej raz porze, jak Minerwa z głowy Jowisza, występuje na scenę świata, uzbrojony w wszystkie przymioty Bóstwa. — Lecz niech kto inny ocenia wrodzone Poniatowskiemu dary. Mnie porywa ta miłość chwały, którą w zorzy dni jego spostrzegam. Jakby przewidział przyszłe nieszczęścia swojej ziemi, że kiedyś mścicieli zwywać będzie, porzuca miękkość dworów, obiera stan rycerski, unosi go świetność sławy Żółkiewskich, Czarnieckich, Chodkiewiczów, Zamoyskich, Tarnowskich, i o ich ślady się pyta. Chwała tych mężów musiała tak mocno zająć młodego Poniatowskiego, bo nieśmiertelność silnym jest powabem dla męża wznioślejszej duszy, bo piękna i porywająca jest owa nadzieja, po stu wiekach wywo-

lywanym być z grobu, wdzięcznym potomności głosem, i z przybytku wieczności słyszeć imię swoje ze czcią powtarzane, po wszystkich zakątkach ojczystej ziemi. Zaprawdę, nadzieja ta warta jest trudów nieoddzielnych od publicznego życia.

Ale Poniatowski urodził się w tym wieku, gdzie sztuka wojenna narodu jego w upadku była, i ile wygórowała w ościennych krajach, tyle zniżała Polskę, tyle jej groziła. Poniatowski wzorem Sobiekiego idzie pod obce sztandary, zrozumieć nowego ducha wojny, wyczerpać prawidła tej wielkiej sztuki, która trony wstrząsa, wzmacnia, i losy ludów stanowi. Pałający piękną sławą żądzą, rzuca się na jej krwawą drogę, i pierwszy na walach *Sabaczu*, pierwszą świetnością, pierwszą się raną ozdabia. Przypomnial Jana III-go, i drugi raz harde księżycy zaćmiły się przed blaskiem chwały Polaka. O wielkie cienie! mogłyścież wtenczas mniemać, że to imię o którego sławę walczyście, stanie się imieniem najjeźdźników Polski; że te siedliska, które mężstwem waszym ocalacie, wydadzą nowy ród Ulissa, na zagubę nieśczęśliwej Troi. Tak bracia, są wieki w których wszystkie szkarady i zbrodnie dziejami są świata. Lecz nie przyczyniamy sobie smutku, żalować straty Poniatowskiego, dostateczną jest na zajęcie wszystkich uczuć serca.

Szukajmy dalszych Jego śladów, a ujrzęm z radością, że nie ta sława, którą duma rodzi, a próżność podsyca, Jego sławą była, rozróżnił on błyskotki chwały od prawdziwego jej blasku, gdy poznał, że ta jedynie walka godna jest bohatera, która ma za cel naród własny; że godność nawet człowieka w równym tylko za-

miarze, dozwala poświęcić swoją wolność, zdolności i życie. Polacy! wyście w tej mierze najprawniejsi sędzie; powiedzcie! podobnaż byłoby wytrzymać te wszystkie trudy, zwyciężać nieszczęścia, których wy doznaliście, gdyby miłość Ojczyzny waszym nie była bodźcem? Sądźcie więc o uczuciach Poniatowskiego, kiedy polskim został żołnierzem.

Ale na pierwszym zaraz wstępie i najtrudniejszy bierze ciężar, i warte rozpaczycy znajduje zawady. Oddane mu zostało dowództwo naczelne wojska w Ukrainie, którą Kochowski moskiewskim naszedł żołnierzem. Dozwoliły mu wprowadzić losy pięknym Zieleniec uświetnić się bojem, uradować chwałą Dubienki, gdzie Kościuszko, pod Jego dowództwem będący, oddzielnie walczył. Ale sprzeczność wyższych rozkazów, ale brak źródeł nieodzownych do osiągnięcia założonego celu, ale nareszcie wyraźna Monarchy wola cofnięcia się z Ukrainy, nie przełomne położyły tamy pięknym młodzieńca zapalom. Daremne przedstawienia, daremne wyrazy owego pamiętnego listu do Króla, który tylko do zuchwałych policzono kroków, a nie oceniono duszy Poniatowskiego. O jak się serce jego mordowało pasowaniem, jak olbrzymie wytrzymał on walki, gdy mu przychodziło ważyć na jednej szali i posłuszeństwo żołnierza, i cnoty rycerskie, i miłość ojczyzny, — i honor. Jeżeli więc miała w nim później miejsce jaka nieufność w własnych siłach, a stąd może, mniej dobrym uleganie radom, których się rzadko i trony ustrzegają; tutaj szukamy ich źródła, i poznajmy, jaka jego chwała, gdy w dalszym życiu, przy tylu zewnętrznych zawadach, i te w sobie samym przełamywać

musiał, o których nam tak łatwo zapomnieć. — Zawieszenie broni, przystąpienie króla do konfederacji Targowickiej, związały resztę sił Poniatowskiego i wołał ujechać z granic ojczystych, niżeli przystąpić do układów, które polskie obrażały serce.

Rok 1794 przeznaczony był do obudzenia w Polakach, czucia zemsty i godności Narodowej. Uniesieni, jak sprawiedliwie powiedziano, więcej szlachetną rozpaczą, niż mamiącemi nadziejami, podnieśli sztandar wolności. Poniatowski nie mógł się oprzeć wrodzonym serca pociągom, wraca do Ojczyzny, ale Kościuszkę na czele powstania zastaje. Zazdrość zaszczytów chwały w sławnych nawet mężach silną ma potęgę; ale Poniatowski zaledwie przybył, biegnie do namiotu Naczelnika, i tego który pod nim walczył, prosi o oręż żołnierza. Skromność była wprawdzie zawsze ozdobą bohatera naszego, ale równa łatwość zwycięztwa nad sobą, równy tryumf miłości Ojczyzny, podnosi go do całej wielkości cnoty.

Różnemi walki i czyny wspierał Poniatowski to pamiętne Polaków dzieło, a po dumiejących wysileniach narodu z zgonem walczącego, kiedy przybyły nakoniec okropne dnie Maciejowic i Pragi, które przyniosły wyrok zaguby Polski, Poniatowski pomimo jęj stracenia, nie zdoła się oderwać od jęj ziemi, a kiedy już za nią nie walczy, daje jęj przynajmniej jedyny, który mu pozostał, cnót ojczystych przykład, trwoniąc swoje dostatki wspieraniem pokaleczonych i z Ojczyzny osieroconych rycerzy. Smutny to udział wojownika, że chwała jego często łyzy wyciska, Poniatowski doznał jęj rozkoszy, że je mógł ocierać. — W ten czas to pierwsi Europy Mo-

carze, starali się oderwać od nas bohatera naszego, ofiarąmi świetnych dostojęstw wojennych, i jakby nie dosyć było zagubić nasze ziemie, jeszcze i ten zaszczyt wydrzeć nam chcieli; ale dozwól Poniatowski, niechaj jęj cnoty nie wliczę do twoich zasług, boś się Polakiem urodził.

Te były dni życia bohatera naszego, aż do owego roku 1806, w którym pogromca Marengo i Austerlitzu, jako zwycięzca Jeny, na nadwiślańskie równiny, swoją przeniósł potęgę i do zaszczytów swojej wielkości, przydał myśl wzniesienia Polski. — *Pokażcie czyliście godni być Narodem*, to było hasło, które nam wydano. Dosyć rzeknąć dla naszej sławy, że w kilka tygodni, szczupła jeszcze cześć wolnych, wydała blisko 40,000 Polaków, godnych walki za ojczyznę; dosyć rzeknąć, że zwycięztwo Tczewa, naszym było dziełem, żeśmy łamali szanice Kolberga, żeśmy się przyłożyli do chwały zdobycia Gdańska i do laurów Fridlandu. Taki był wstęp Polaków.

Poniatowski jakby przeznaczony był najtrudniejsze zawsze łamać zawady, daremną goreję żądzą walczenia za Polskę, największe czekało go zwycięztwo, bo samego siebie. W nim to Mąż wielki rozpoznał tę należną dzielność, te gorliwe dla Ojczyzny czucia, które najsukuteczniej ułatwić mogą Polakom, założenie koniecznych zasad sile ich zbrojnej i dopełnienie jęj liczby wojowników, która wyraźnym była warunkiem narodowego ich bytu. Czuł to Poniatowski, że chwała rycerska najgodniej zdobywa się na polu śmierci, ale umiał też przemódz silną sławy żądę, gdy sprawa Ojczyzny żądała od niego odwodu tak bohatyrskiej cnoty. Nastąpił pokój tyłycki,

a Poniatowski nie tylko na urzędzie ministra wojny wyrokiem najcnotliwszego Króla potwierdzony, ale z radością narodu i naczelnym zostaje wodzem.

Lecz dozwólcie, niechaj ulegnę uniesieniom serca, niechaj przeminę krótki życia Jego przeciąg, abym tém prędzej przeniósł myśl moję, w ów rok 1809, które mi sława Jego wskazuje. Dotychczasowe czyny nie wyniosły go może jeszcze nad chwałę tylu bohaterów, których rzadko naszej zabrakło ziemi. Tutaj dopiero wstępuje na teatr prawdziwej swój sławy. Tutaj znajduje tę drogę nieśmiertelną, z której do zgonu nie zboczy.

Kiedy Polska w postaci jeszcze niemowlęcia, zaledwie pierwsze zagajała rany, zaledwie pierwsze zasady rządu swojego gruntować poczęła, wtenczas to, ręka losom naszym zawistna, zapaliła nowe niezgody pochodnie. Znikły nadzieje pokoju, dzień 14 kwietnia niszczy związki dwóch wielkich narodów, łamie przymierza, rozrywa traktaty i mocarz Germanów z siłą Xerksa, uderza na sprzymierzeńce Francji. Już zewsząd ryczą gromy, zaćmiewa się horyzont Europy, i jedna z owych czarnych burzy, zbliża się do Ojczyzny Poniatowskiego. Którędy biegły naddziady nasze na oswobodzenie Wiednia, tą drogą liczne Ferdynanda pułki niosą Polakom śmierć lub powtórne jarzmo. Wystawmy, albo raczej przypomnijmy sobie Poniatońskiego w tak okropnej chwili, pierwszy raz sam sobie zostawiony widzi przeciw sobie czterokrotnie mocniejszą potęgę, i gdy wszystko niebezpieczeństwem grozi, i może wieczną rokuje zagładę, Ojczyzna swoje oddaje mu losy, Polacy wołają o utrzymanie starożytną ich sławy, i uratowanie imienia. Cóż

uczyni Poniatowski? zaledwie 8 tysięcy zebrać może obrońców. Jedna część żołnierzy Cezara, gromi zastępy Karola, a druga jeszcze u granic Europy w obliczu Lizbony, krwawe zatyka sztandary. Do którychże ludów, do których tronów uda się po wsparcie dla niebezpieczliwej Polski; gdziekolwiek zwróci oczy za jej granice, wszędzie jej najezdźniki i morderce spostrzega. Jeżeli więc upadnie pod ciężarem losów, i na cóż zdały się te wszystkie wysilenia i tryumfy, to nowe odrodzenie się Polski, które tyle trudów, tyle poświęceń, tyle krwi bohaterskiej kosztowało.... Gdzież więc szukać będzie tej pomocy i gdzie ją znajdzie?... Szuka jej *w samym sobie* i tam ją znajduje. Wiedział on, że w dzielności serca, niezgiętości duszy, tam spoczywa cała potęga i niezwalczoneść nasza, tam to ręka przeznaczenia położyła zaród naszej wartości, a może i losy Narodów.

A cóż dopiero, gdy równe serce uzbroi się tą niczem niewypartą miłością ojczyzny, która innym ludom tak straszną zawsze była w Polaku i niepokonanym go czyniła. Poniatowski uczuł jej moc całą, gromadzi szczerą liczbę, wychodzi z murów stolicy, i śmiałością zamiaru, same nieprzyjaciółki zdumiewa. Nie chciał, nie mógł dozwolić, aby w stolicę królów polskich, wtargnięto bez oporu, aby zdeptano bezkarnie święte popioły tych mężów, co w jej obronie polegali: wstrzymuje nieprzyjaciela w pierwszym zaraz kroku, i w obliczu całej Warszawy, stacza ową morderczą walkę Raszyńska, która na nowo tę starą dowiodła prawdę, że tryumf nie zawsze udziałem jest liczby. — Dzień ten i mężstwa waszego,

i niezgiętości wodza, musiał zachwiać zuchwałość zamiarów nieprzyjaciela, poznał on z jakim ludem działać mu przychodzi, ile krwi jeszcze wytoczy, niżeli wolne do stolicy otworzy sobie wejście; może też uczuciem ludzkości wzbudzony, bo enota i w nieprzyjacielu piękna, wzywa Poniatowskiego do owęj pamiętnej umowy, która świetnością swoją same przewyższa zwycięztwa. Zapewnione więc zostały własności i wolność mieszkańców, i godną tego ocalona Warszawa. — Tym nowym ozdobiony laurem przechodzi Poniatowski Wisłę, użyzca wojsku chwilę odetchnienia, lecz wkrótce wsparty radą bohatera Tybru, układa nowe zamiary, zakreśla nowy zawód, i kiedy znikomym upojony tryumfem, rozlegają się w murach Warszawy zwycięzkie nieprzyjaciół pienia, on w ich granice uderza. Wsławiają się pola Radzimina, Grochowa, dobytą Górą, padają Zamość, Sandomierz, i już orzeł biały kieruje lot swój hardy ku niebotycznym Tatrom. Wielkość równego przedsięwzięcia zająć musiała wszystkich Polaków. Powstaje naród, i już rozerwane Ferdynanda hufce. Czuwanie nad duchem Warszawy, nieczynną uczyniło część potęgi, Toruń omyła nadzieje, jarzmione prowincye wznoszą głos wolności, dochodzą wieści pogromu Ratyzbony i cudów Dunaju, ginie porządek, miesząc się szyki, trwoga rozprasza szeregi, i owe niedawno tak piękne, tak liczne zastępy, zaledwie w 12,000 z granic naszych uchodzą, roznosząc swoją klęskę i sławę Polaków. Poniatowski nie traci chwili, nie trwoni czasu rozgłosem tryumfów, gromadzi swoje siły, łączą się bohaterzy Jedlińska, przychodzą liczne z ponad Warty meże, i o miłości ojczy-

zny, czegoż nie dokazesz! Polacy, w 30,000 mocni wciągają w mury Krakowa. Ocalone księstwo, oswobodzeni bracia, zdobyte groby królów Polaków, i Poniatowski pierwszy ojczystym głosem wita cienie Kazimierzów, Batorych, Sobieskich, wskazuje im bohaterzy swoje, opowiada krzywdy Polski, wielkość jej mściciela, i dalsze zaprzysięga wyzwolenie.

Oto są czyny Poniatowskiego, oto owoce niezłomności jego. Ocenił je wielki Zbawca rodu naszego, kiedy pierwszym zaszczytem pierś jego ozdobił, i gdy to same ramię co dźwignęło Polskę, uzbroiło go orężem honoru. Ale nie tu kres jego chwały, w nagrodzie Polski najpiękniejsze swoje uznaje zaszczyty. Pokój Wiedeński rozprze-strzenia granice księstwa, i wszystko co w czasie zawarcia jego zajęte jest wojskiem Poniatowskiego, łączy się z pierwszym zawiązkiem Polski i imie ojczyzny wymawia.

Gdyby Poniatowski dla chwały tylko działał, gdyby tylko rycerskich szukał zaszczytów, tu byłby zamknął księgę dziejów swoich. Okryty laury, nasycony sławą, mógł wrócić w powabne stolicy mieszkanie, i odtąd w spokojnym życiu używać tych chlubnych korzyści, które tryumfy nadają. Ale mógłże to być zamiar wodza Polaków? mógłże na to zezwolić owa miłość ojczyzny, która nie zna granic? Poniatowski rozumiał, że dopóty nic nie jest spełnione, dopóki co jeszcze do spełnienia zostaje. — Odtąd więc wszystkie swe chwile oddaje trudnym urzędowania swego powinnościom, wydoskonala wszystkie rodzaje broni, pomnaża wojsko narodowe, wynosi warownie Pragi, Modlina, Zamościa, Torunia, słow-

wem dopełnia wszystkiego, czego tylko obrona Polski, i wola zbawcy jęj wymaga. — Równemi czyny odliczył Poniatowski dni wszystkie aż do owego roku 1812-go, który miał ziścić ostatnie i wszystkie Polaka nadzieje. Zajaśniało dawne Lechitów słońce w całej swęj ozdobie, powstało 12 narodów, geniusz wieku kieruje tą olbrzymią potęgą i Poniatowskiego czeka ta chwala, że na wyzwolenie Polski, powiedzie tak wielką liczbę wojowników, jaką rzadko ziemia nasza wydała. Sława przeznaczycy zapewne męża jakiego z rodu naszego, który powie potomności wszystkie wysilenia i ofiary, jakimi naród nasz do utrzymania tęj wielkiej sprawy i wodza swojego wspierał i opiece wielkiego odpowiedział mściciela. Otwórzmy księgę świata, przebieżmy najświetniejsze narodów chwile i jakież tam znajdziem poświęcenia, którychby Polak nie poniósł na ołtarz Ojczyzny; byłaż jedna rodzina, któraby w szeregach Polskich nie liczyła swoich mężów, braci, synów lub ojców; tu się zbroją osiwiśle bohaterzy Zieleniec, Dubienki, tu powstają syny zemsty wołających Maciejowie cieniów, tu wnuki godne nadziadów, porywają zardzewiałe ich oręże, jeszcze z krwi mahomeckiej nie oschłe, wszystko się łączy, wszystkich niezbędna miłość rodowitej ziemi, ciągnie pod rozwinięte Polski chorągwie.

Zbliżył się wreszcie dzień 22-go czerwca, który był wstępem do tęj okropnej przyszłości, jaka świat czekała. Potężny Cezar podniósł rękę uzbrojoną w gromy, na ten ród srogi, co rozdarł ziemię naszą, w swoich turmach krespockich więził bohaterzy nasze i aby, nie ominął żadnej przemocy i gwałtu, z posród murów stolicy,

z posród obrad narodowych, porywał Senatory nasze, aby może na puszcach sybirskich wypokutowali swoją miłość ojczyzny, i niezgiętość cnoty. Z takiem to uczuciem, z takiem uniesieniem duszy, pełni tych krzywd i obelg, którym pamięć zaledwie wystarczy, występują Polacy pod wodzą Poniatowskiego, przewodniczy im sława Napoleona, łączą się z krociami jego żołnierza, i już przebyty Niemen, oswobodzona Litwa, i już brzegi Dźwiny i Borystenu widzą pierzchające Aleksandra orły. Poniatowski idąc po śladach Zygmunów, Chodkiewiczów, nie baczycy znojęw i trudów, biegnie z swojemi, i stawia pod murami starego Smoleńska. W jego to basztach dopiero zatrzymały się nieprzyjacielskie zastępy. Zbliżyły się już wtenczas do starych granic Rosyi, ujrzały nad nią wiszące nieszczęścia i klęski. Rosyianie! był to dzień kary! odezwała się w piersiach waszych ta sama godność narodowa, ta sama miłość rodowitej ziemi, która wam tak nieznosną była w Polaku, chcieliście ją wydrzeć z sere naszych, a wasz zapal staję się naszą zemstą, i sama cnota ryje wam zgryzoty. Daremne wasze męstwo i rozpacz szlachetna, odezwały się już działa Napoleona, Polacy do główniejszej przeznaczeni walki, i Poniatowski czuje, co jest być ich wodzem. Ale jestże tak silna wymowa, któraby wyrazić mogła wszystkie czucia Poniatowskiego, rzucającego pierwszy piorun zemsty, i walczącego pierwszy raz pod okiem Napoleona? Nigdy zwycięstwo nie było trudniejszym, w posród całej dnia jasności, Polacy na otwartem polu, nieprzyjaciela nieprzestępne zasłaniają mury; lecz dzielność bohaterska unosi naszych, ci uderzają w bramy, ci się cisną do



wyłomu Zygmunta, chwieje się Smoleńsk, powiększa się walka, padają liczne męże Polski, i północ zaledwie zdoła wstrzymać zapal rycerza, i przerwać boju zaciętość. Nie błysnęły jeszcze nazajutrz pierwsze słońca promienie, kiedy do nowej bitwy gotują się Napoleona hufce, ale już otwarte bramy miasta, ciemność nocy ułatwiła ujście Rossyan, i Smoleńsk dawne swe poznając pany, zgina się przed ich wybawcą. Już otwartą została droga do głębi cesarstwa, i już wstąpiły na nią zwycięzcy. Poniatowskiemu poruczoną została osłona prawego skrzydła armii. Tak ufnemu wezwaniu gorliwą przynosi dzielność, tylu marszami i bitwą smoleńską przerzedzone szeregi, trudność wyżywienia żołnierza, przykrość dróg ubocznych, codzienne potyczki, nie go nie wstrzymało, aby nie miał z innemi stanąć w obliczu Mozańska, na tych pamiętnych polach, które rozpacz Rossyan do drugiej i walnej przeznaczyła bitwy. Poniatowski zaledwie przybył w dniu 5-go Września, odbiera rozkaz rozpoczęcia tej wielkiej rozprawy; uderza, walczy i wydziera z rąk nieprzyjaciela okopy, które, zwycięstwo 7-go ułatwić mają. Przybył nareście ten dzień krwawy, zdrząły grody Petersburga, Moskwy, nigdy wysilenia dwóch wojsk nie mogły być mocniejsze, rzadko gromy śmierci tyle położyły ofiar, tych obrona kraju zapala, tych zemsta unosi szlachetna, tych bliskość ostatniego celu, ścierają się szyki, uderzają hufce, łamią się rycerze, cała niemal Europa walczy, i Bóg litości rzuca wzrok łaskawy, i wygrana sprawa Polski, i ustalone nadzieje upragnionego świata pokoju. Jak rozdarte wiatrem chmury, tak rozerwana Rosyi potęga, uchodzi przed piorunnemi

Napoleona wyrokami. Już złamane wszystkie zawady, przykleka potężna Moskwa, i Poniatowski mścicielowi rodu swego, polskimi laury ściele drogę, do tej starożytniej carów stolicy. O Polacy! zwróćcie jeszcze, jeżeli wam żalność dozwoli, pamięć waszą, na ten dzień wielki który dopełnił waszój i wodza waszego chwały, w którym Polska stanęła już u szczytu sławy i szczęścia, wspomnijcie sobie wasze porywające uniesienia, waszą radość bez granic, kiedy oczom waszym zaledwie wierzyć śmieliście, że to te same mury, ta sama Moskwa, w której niegdyś błyszczał pałasz Żółkiewskiego, i gdzie cary moskiewskie naszymi zostawały jeńcami. Równe przejście z nieszczęść do tryumfu, z grobu do najwyższej chwały, przechodziło wasze pojęcie, klęsk tylko pamiętne, i do nich już tylko przywykłe. Ubiegną liczne wieki, tysiączne zmieniają się pokolenia, ale chwała dnia tego, który upokorzył dumę Kremlina, w którym odgłos naszój broni i pieni radośnych, o dalekie Kaukazu odbijał się granity, i już go ludy Azji słyszały: dzień ten nie zginie w pamięci narodów.

Powinienbym przypomnieć tu jeszcze piękne Czerkowska i Rocznictwa walki, te świetne pomniki waszój i Poniatowskiego chwały, w których może najpiękniejsze Wodza rozwinął zdolności. Ale przebaczcie Polacy, głos mój słabnie... umysł upada... wszystkie rodzaje nieszczęść, wszystkie przeciwności, los, natura, wszystko się na was sprzysięga; wydarty wieniec zwycięztwa, omylone święte mściciela naszego zamiary; Bóg światów, kryjąc śmiertelnym woli swój powody, podniósł berło potęgi, i ta cała przestrzeń chwały którą niedawno prze-

biegliście, staje się teatrem całej wściekłości żywiołów, krwi, rozpacz i grobem większej części europejskiego żołnierza.

Zdaje się, iż wodza Polaków większe już ciosy uderzyć nie mogą. Poniatowskiego inne jeszcze przytłoczy nieszczęście. Wtenczas kiedy widok jego, jedyną zostaje rycerzom pociechą, kiedy głos jego tak koniecznym staje się do utrzymania porządku, do wzniecania bohaterskiej i godnej Polaków stałości, ciężkim upadem szwankuje z koniem, i ta co mu zawsze tak posłuszną była, sława nawet mu się przeniewierza, skąpiąc mu ową piękną chwałę, dowodzenia Polakami w krwawej Wiazmy, i okropnej Berezyny bitwie.

Już otąd nie masz walki, bo nie masz żołnierza, nieprzyjaciół ściga bez oporu, i Poniatowski niewysłowne zwyciężając trudy, wpośród tysiącznych niebezpieczeństw, zaledwie zdoła przybyć do Warszawy. O jak bolesną była to sercu jego chwila! Nie szukał on nigdy tryumfów, unikał pochwał, ale mógłże się spodziewać, że po tylu dniach świetnych, smutek i łzy, całém będą mu powitaniem. Gdziekolwiek zwróci oczy, wszędzie żałosne głosy wzywają obrony i przypominają dzień Pragi. Nie ugięła się jego dusza pod ciężarem losów, ojczyzna w każdym jego odetchnięciu, ojczyzna w każdej jego myśli. Gromadzi szczupłe szczątki pozostałych bohaterów, przemawia do narodu, stawia na czele siły jego zbrojnej, i nie pomny liczby, do nowych gotuje się bitew.

Ale wyrok nieszczęść naszych jeszcze nie był dopełniony, jeszcze zażartość losu najsrozsze swoje zacho-

wał grotę. Nieprzyjaciół przechodzi Wisłę, zajmuje Księstwo, i Poniatowski z połową swoich rycerzy odcięty zostaje od reszty sprzymierzonego wojska. Tu bracia wzywam waszego i surowego potomności sądu. Pomysłność losu ugładza trudną sławy drogę, i częstokroć w oczach ludów, umysł pospolity cechą wielkości oznacza; w nieszczęściu dopiero okazuje się cała dzielność duszy, nieszczęście jest tym probierczym kamieniem, który stanowi o wartości mężów i narodów. Poniatowski w ostatnim ojczyzny zamknięty powiecie, najzawistniejsze ludy przedzielają go od Napoleona, w pozostałych sprzymierzeńcach oczywiste czyta zdrady, wszystko nalega, aby uległ okolicznościom, i drogę niewdzięczności wskazuje; burzą się, powstają narody, ale Poniatowski się nie wzrusza, i na tę nawałnicę świata, spokojnym spoglądając okiem, nową wpośród niej zajaśniał świetnością. Tak zawsze wielcy działali mężowie, tak Czarniecki dobił się swojej sławy, tak niezgięty Kato przeszedł do nieśmiertelności.

Ręka czasu zdejmie kiedyś zasłonę z tej może najtrudniejszej chwili życia Poniatowskiego, pokaże ona światu chwałę jego w całej jej ozdobie, usprawiedliwi powody, które go później zmusiły do opuszczenia granic ojczystych. Nie lękam się wyroku prawdy, nie lęka i sława Poniatowskiego; ale wolno żądać, aby laur ten dopóty rósł w ukryciu, dopóki późny nie wstanie dziejopis, godny kierować piórem Plutarcha. On niechaj moje zastąpi usta, on niechaj wystawi ten smętny obraz żalu i rozpacz, Polaków opuszczających ojczyznę, Poniatowskiego, jak z łzą bohaterską w oku, z rozdartą

duszą, ostatni za niemi wychodzi z tej Polski, której już nigdy nie ujrzy. Niech powie, jak każde nadzieje chwyciły się zranionych serc naszych, i jakie uczucia wzbudziły w nas świetne Lützen i Hochkirchu zwycięstwa. Na polach to Austerlitzu ogłosił je rycerzom swoim Poniatowski, a wskazując nieśmiertelne Napoleona ślady, podniósł na nowo tę nadzieję, którą nasza miłość u tronu wielkości złożyła.

Przebył Poniatowski wszystkie kraje Austrii, i abym tego tak pięknego nieominął lauru, pomnijcie, wszakże żadna niechęć, żadna zawiść, nie zdołała jednym zarzutem nieładu lub niekarności, wojsko jego zaczepić. Złączył się wreszcie z armią, i użył wszystkich chwil zawieszenia broni, do polepszenia reszty wojska narodowego, a zaledwie Bellona wydała nowe hasło wojny, już zdobył wąwozy Gabel i gorliwie ich strzeże.

Wygrana pod Dreznem, jeszcze raz nam ukazała wszystkie powaby szczęścia; ale niestety! był to raz ostatni; bo czyli dla tego, że świetne dni Polski w łonie dalekiej dopiero spoczywają przyszłości, czyli dla tego, że walka z losami koniecznym wielkości udziałem być musi: wszystkie razem na zbawcę naszego uderzyły przeciwności, rozerwały świetność układów, i do cofnienia się zmusiły. Poniatowskiemu poruczona zostaje chwała wstrzymywania zapędów nieprzyjaciela na drodze od Altenburga wiodącej, odpowiada jój godnie, walczy pod Frobürgiem i Borną, i temi ozdobiony laury przybywa na wielkie Wachau i Lipska rozprawy. — Wysoki wprawdzie ozdobił go tam zaszczyt wojskowy, lecz przebog!

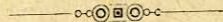
jakież to wspomnienie! tuż to ma być grób tego Męża, co był chlubą rodu swojego, którego życie, sławą jest Ojczyzny! Czyliż tyle trudów, tyle cierpień, tyle nie-szczęść, czyliż to przywiązanie bohaterów jego, niezdola go wyprosić zażartości losów! Czyliż już nigdy ziemi swojej nie ujrzy!... O Bracia! przewidywaliście zgon Jego, odciągając go od pola śmierci, unosiły się serca wasze, kiedy w pośród niebezpieczeństw i całej zaciętości bitwy jeszcze żyjącego widzieliście Józefa. Trzy dni równie walczyły i oręże, i serca wasze. Otoczyliście go w dniu ostatnim krwawej Lipska obrony. Na szczupłą waszą liczbę sześćkroć mocniejsza uderza potęga, ale wy z Poniatowskim na czele, niezłomni się rozumiecie. Trzykroć głębokie uderzają was hufce, trzykroć je Polskie zatrzymują piersi. Powstaje cała okropność bitwy, świst gromów, ryk spiży, głos rozpacz, jęki rannych, wszędzie śmierć, zniszczenie. — Daremne wysilenia, daremne męstwo, przełamane bohaterzy polskie, rozerwane szyki, łączy się zamięszanie; ci szukają ratunku, ci godnego ich zgonu, ci chlubne kalectwa za brzegi Elstry unoszą. Poniatowski jako wódz Polaków ostatni w cofaniu, zbiegiem okropności oddzielony od swoich, szuka śmierci, odbiera chlubne blizny, ale jeszcze żyje, ale znieść nie może, aby nieprzyjaciele Polski szczycili się jego zdobyciem, ale postrzega łączącą się za wodami świętą resztę Polaków, rzuca się w rzekę, przebywa pierwszą i już wyciąga do nas ręce, już rozumie, że nasze ściskają go dłonie, że go Polskie dotykają serca, kiedy go szumne Elstry porwały otchłanie.

Takim był zgon tego męża, taka strata Polski. Obciążył serca wasze smutek do grobu niezbyty. On to powiększył srogość losów waszych, nieśliście go z sobą w pośród tyle trudów, przez tyle krajów, on wam wszędzie towarzyszył, i aż tutaj do téj żałobnej przywłókł was świątyni. Odbierzcie należne dzięki za to przywiązanie, te poświęcenia i męstwo, których wy nie znaliście granic, a którym chwała jego tyle jest winna. — Plakany od was, od równych bohaterów, doszedł najpiękniejszego zakresu chwały wojownika. W tych samych żyje on sercach, w których ojczyzna nieśmiertelną się widzi. Nie, szanowny cieniu!... ty nie zamkniesz świetnego szeregu wielkich mężów Polski. Tą ręką, którą tyle przesiegając wieków, podajesz Chrobremu, wskaż w pośród nas, nowych Żółkiewskich, Czarnieckich, Chodkiewiczów, wymień godnego ciebie następcę; niechaj po skrwawionym grobie, w pośród gruzów świata, szuka naszej ziemi; niechaj twe święte prochy odniesie do tych grobów Wawelu, które niegdyś twój oręż odzyskał.

Ależ o Boże! czyliż nigdy żalów moich nie skończę, na próżnoż-to oko moje szuka Jego zwłoków! Gdzież jest to ciało, które tak piękna ożywiała dusza, gdzież to serce, co tylko dla was i dla ojczyzny biło? Gdzież ten oręż co nasze rozprzestrzeniał granice? Walczyły niegdyś pierwsze Grecyi wodze, o broń po Achillesie, a wam o nieszczęśliwi Polacy! i tego nawet zaszczytu, skąpi los zażarty.

Tak, nie masz Twego grobowca, bo też już nie masz i garstki polskiej ziemi, którą by twym zwłokom narzucić można; ale dzieje zostały i czucia Polaków.

Ty nas i za grobem nie zapominasz, ty, i w téj chwili spozierasz jeszcze na twoje rycerze, na ich smutek i klęskę. Ty z wielkimi cieniami Władysławów, Zygmunatów, Batorych, Sobieskich, otaczasz tron potężnego światów Boga, i wzywasz Jego litości i gromów, na odwrócenie niezasłużonych rodu twojego losów. — Ale jeżeli w wyrokach Nieba, zagłada ma być przeznaczeniem Polski, niechaj lepiej całą swą potęgą, zetrze z posady świata ten ród nieszczęśliwy, bo ostatni żyjący Polak, ojczyzny wołać nie przestanie.



Co się działo
w wojsku polskióm
po bitwie pod Lipskiem.

Smutną i przerażającą dla wojska polskiego była śmierć księcia Poniatowskiego, ale zgubniejszemi jeszcze w skutkach swoich intrygi i nieposłuszeństwo, które po jego zgonie wybuchły.

Aby jaśniej wystawić i lepiej dla Czytelnika uporządkować to nieszczęśliwe Drama, winienem go uprzedzić, że reorganizacya wojska polskiego po klęsce r. 1812 w dwóch punktach się odbywała. Główna część armii pod wodzą Poniatowskiego porządkowała się na nowo w Krakowie. Poniatowski przeszedłszy z nią kraj austriacki, złączył się z armią francuzką w Saksonii. Druga jej i mniejsza część składająca się z różnych oddziałów, a mianowicie z odciętych po bitwie pod Kaliszem, formowała się w Wiesbaden pod rozkazami Dąbrowskiego. Do téj części wcieloną została i brygada jazdy Krukowski. Poniatowski z korpusem swoim walczył w bitwie pod Lipskiem przy armii głównej francuzkiej. Dąbrowski zaś w téjże bitwie odpierał Szwedów z przeciwnéj strony miasta i tym sposobem oddzielną zupełnie

miał komendę, niezależną od rozkazów Poniatowskiego. Odbierał je wprost od Cesarza.

W dniu 17 października Dąbrowski wysłał Krukowieckiego z brygadą za Elstere w celu rozpoznania sił i ruchów nieprzyjaciela. Poszedł Krukowiecki, lecz zamiast wrócenia do swego korpusu, tegoż dnia z południa bez rozkazu, bez najmniejszego upoważnienia, zjawia się nagle przy korpusie Poniatowskiego mówiąc, że odciętym został przez nieprzyjaciela, choć wiadomym było, że generał Bertrand oczyścił był zupełnie lewy brzeg Elstery, a książę Raguzy ciągle się trzymał nad Partą, co jasno wywiedzionem zostało w dziełku: *Journal historique des operations militaires de la 7-me division de la cavalerie polonaise faisant partie du 4-me corps de la cavalerie de reserve*, zaraz po téjże wojnie wydanem w Paryżu. Książę Poniatowski, częścią przez słabość wrodzoną, częścią z potrzeby mienia więcej jazdy, nakoniec przez chęć skupienia w większą masę Polaków, po różnych korpusach armii rozproszonych, nadewszystko przecież dla pokrycia przed obcemi polskiego występkę, zezwolił na Krukowieckiego pozostanie i oddał go pod rozkazy Sokolnickiego, dywizją jazdy dowodzącego. Niezmierne to zgorszenie wzbudziło w wojsku polskiem, które od własnej Krukowieckiego brygady wywiedzieli się dokładnie o całej istocie rzeczy i najoczywistszém nieposłuszeństwie. Wcielony więc został Krukowiecki do korpusu Poniatowskiego, ale że z żadnym nad sobą starszym zgadzać się nie mógł nigdy, przeto jak dopiero co bez rozkazu porzucił Dąbrowskiego, tak natychmiast

i z Sokolnickim ścierać się zaczął i zaraz nazajutrz w bitwie 18-go, często wbrew jego rozkazom działał.

Gorący i stanowczy był dzień 18-go. Przybycie nowych sił rosyjskich na plac boju, powiększywszy sprzymierzoną armią, na jej stronę przechyliło szalę zwycięstwa. Nie tak łatwy przecież do przekonania był Napoleon. Wszystkie on swoje kolumny w takim utrzymywał związku i porządku, że żadna przemoc frontu jego przełamać nie mogła. Na próżno przemagającą ciśniono go siłą, na próżno pułk jazdy austriackiej Somariva na polską uderzył piechotę, a niemogąc jej złamać, między odstępami kolumn dwie ich linie przebiegłszy, aż na rezerwową artylerją napadł w tyle armii, gdzie przez dragonów francuzkich świeżo z Hiszpanii ściągniętych cały prawie rczsiekaný został, — napróżno stojący obok nas cały korpus saski w samym wirze bitwy najhaniebniejszą zdradą przeszedłszy do nieprzyjaciela, natychmiast przeciw nam swoje zwrócił działa, — wszystkiemu zaradziła czujność i geniusz cesarza. Zaledwie bowiem zdezertowali Sasi, już nowy korpus francuzki przerwę zostawioną zappełnił, a oburzenie armii całej, nowój dodało jej siły. Walczono aż do nocy, a cofanie się było tak oporne, nieznaczne i porządne, iż niejednemu zdawało się, że wojsko na tem samem zawsze walczy stanowisku. Wtem to dniu uderzony świetną odwagą i rozwinięciem wyższych zdolności wojennych Poniatowskiego, cesarz wśród gradu kul działowych mianował go marszałkiem. Sam Murat przybył do Poniatowskiego z oznajmieniem mu nowego zaszczytu. Zdziwił się nieco Poniatowski, lecz natychmiast mu odrzekł: Spodziewam

się iż ten zaszczyt nie pozbawi mnie dawniejszego i droższego nad wszystkie, to jest pozostania polskim generałem i dowódcą wojsk narodowych. *)

Nadszedł wreszcie i okropny dla nas dzień 19-go, który może tak srogich nie byłby miał skutków, gdyby wola Napoleona (podług tego co mówiono wówczas w armii) spełnioną była. Utrzymywano bowiem powszechnie, że cesarz jeździe kazał się już przeprawić przez Elstere 18-go o 8-mój wieczorem, co bardzo podobnem do prawdy być mogło. Nie mając i nie mogąc już mieć zamiaru wstrzymania się na placu boju w dniu następnym i ztąd zdecydowawszy się na cofnięcie, naturalnie bardzo mógł i powinien był cesarz jazdę całą posłać za rzekę, jako w samych murach Lipska już mu niepotrzebną, dla tego nakoniec aby nazajutrz z wolnym oporem cofającą się piechocie, wolne zostawiła miejsce. Berthier, jak mówiono, nie dość jasno wymienił godzinę 8-mą wieczorną w rozkazie przesłanym jeździe, sądzono że o 8-mój ranną mówił, i tak jedną za drugą wzięto. Ztąd ta cała armia spóźniła swoje cofanie, ztąd silniejszy nacisk nieprzyjaciela, krwawszy i dłuższy opór cofających się kolum, ztąd nareszcie tyle, tyle zamieszania, krwi, strat niezliczonych, a dla nas najsroższej w śmierci Poniatowskiego. Bez tego wypadku, bez tej jednej omyłki co do godziny 8-mój, nie byłby przymieszał się nieład do cofania się przez miasto, most może nie byłby przedwcześnie wysadzony. Poniatowski nie byłby zginął i wszy-

*) Obecny tej chwili, słowa te słyszałem wyraźnie i dobitnie powiedziane.

stko byłoby się najporządniej wycofało za rzekę. Ale dawne szczęście już oblubieńca swego odstąpiło, bladła dawna gwiazda i nowy wyrok na chmurniejszem już poczynął rozwidniać się niebie.

Nie wiele powiedzieć mogę o boju z dnia 19-go, bo już z rana przeszedłem z jazdą na drugą stronę rzeki i sama piechota broniła jeszcze Lipska. Szerzyła się za nami głośna i straszliwa wrzawa szturmów i odporu, z której to tylko nawiasem wspomnę, że wśród najzacieciej broniących się w murach miasta, najmężniej i najdłużej walczył pułkownik polski Bolesta i z wszystkich ostatni został przełamany i wzięty w niewolę. Staliśmy za rzeką z bijącym sercem i wyteżonem uchem na każdą wieść o toczącym się boju, kiedy zacny i waleczny, lecz najflegmatyczniejszy z ludzi, pułkownik artylerii Redel, zbliżył się do nas z wolna na koniu, na którym pewno w życiu nie zagalopował, i z zimną nigdy się niezmieniającą twarzą, te okropne do nas wyrzekł słowa: *Książę Poniatowski utonął*. Nie będę malował przerażenia serc naszych i przybicia na chwilę umysłów. Wieść ta nie tylko nad myślą naszą, ale i nad ojczyzną całą czarną rozpacz zawiesiła zasłonę. Dosłyszenie dopiero wszystkich szczegółów jego waleczności, bohaterskiej walki i zgonu, a zwłaszcza znane jego ostatnie słowa: *Bóg mi powierzył losy Polaków, Bogu samemu je oddam, nowem nas życiem, a nawet i dumą pokrzepiły*. Szczętne te słowa wyrzekł książę w gniewnem uniesieniu na uwagę, którą mu czyniono, że wszelki opór jest daremny i broń złożyć trzeba. Z temi to słowy raz ostatni podniósł oręż i uderzył na nieprzyjaciela. Wzniosłe wyrazy jakby dru-

tem elektrycznym przebiegły nasze i całe Napoleona wojska, szybkością nawet gromu do biednej doleciały Polski. Wszystkie je usta powtarzały, nad portretami księcia je zawieszano, po wszystkich domach polskich matki dzieci swoje na pamięć ich uczyły.

Jeszcześmy nie ochłonęli z pierwszego przerażenia, gdy znowu na koń do dalszego marszu wsieść nam kazano, a zaledwie nasze do pochodu wyciągnęliśmy szeregi, słyszę z boku daleki na mnie głos wołający: — „A wiesz ty gdzie ja jestem? Wystaw sobie w sławnym Altrantstaedt, miejscu głośnego traktatu.“ Był to Dąbrowski generał, który tamże po skończonej bitwie wojsko swoje zbierał i ku złączeniu się z nami dążył. Ledwie kilka słów z nim zamienił, spostrzegam z zdziwieniem zbliżający się ku mnie jakiś mały szwadronik w dziwnych i nieznanym mi dotąd mundurach. Komentant jego pospieszył ku mnie z oświadczeniem, że dowodzi szwadronem jazdy portugalskiej, i że odcięty od dywizji jazdy francuskiej, do której był przykomenderowanym, życzyłby w swoim sieroctwie przyłączyć się do nas, z nieszczęśliwymi do nieszczęśliwych. Nigdy nie wiedział, nie słyszał o Portugalczykach należących do składu armii francuskiej; smutne jednak wyrażenie się i zacność oblicza dowódcy niedozwalały mi prośby jego odrzucać. Jeżeli mię pamięć nie zawodzi, był to Markiz Pereira. Za wyższem zezwoleniem, przyłączyłem tę odrobinę tak dalekiego ludu do naszego korpusu, która wciąż szła z nami aż do Eisenach, gdzie od głównego sztabu całej armii inne otrzymała przeznaczenie. Drobny to wprawdzie wypadek, świadczy on przecie jaka to

burza wówczas całym miotała światem, kiedy z dwóch jego prawie kończyn na jedno pole bitwy napędziła Baszkirów i Portugalczyków, i wzajem z sobą walczyć im kazała.

Przykre z dnia tego zostało mi także wspomnienie zdarzenia na które wprawdzie nie patrzyłem, lecz później dowiedziałem się o niem, że gdy wojska sprzymierzone Lipsk opanowały, a cesarz Aleksander z licznym orszakiem na rynek miasta wjeżdżał, zacny i nieszczęśliwy król saski pozostały w Lipsku wraz z królową i królowną wyszedłszy z mieszkania swego, stanął w bramie kamienicy w celu powitania cesarza i odebrania od niego choć jednego słowa pociechy lub zaspokojenia. Ale ni obecność kobiet krwi monarszej, ni widok starca tyłu cnotami dostojnego, ni jego nieszczęście, ni ten czyn nawet pokory poświęcającej się dla ocalenia ludu swego, nie nie wzruszyło Aleksandra. Nie uczył go nawet jednym słowem, jednym uprzejmem pochyleniem głowy, nie uszanował królowej i jej córy, odwrócił się od nich tyłem i wojsku swemu przed sobą ciągnąć kazał. Trudno mi było długo uwierzyć w tę dziką i zimną srogość cesarza znanego z swej rycerskości i wyszukaną względności dla kobiet, z tyłu nawet innych wyższych uczuć słynnego, ale najświętsze zapewnienie kilkunastu naczynych tego świadków, nie pozwala mi powątpiewania o prawdzie, tem bardziej, że po 30 latach toż samo mi w Dreźnie, i to z temi samymi szczegółami opowiadano.

Ale wracając do nieszczęśliwych skutków zgonu Poniatowskiego, Sokolnicki, jako najstarszy w obozie generał, to jest nim jeszcze Dąbrowski z nami się złą-

czył, objął naczelne dowództwo, a objawszy wysłał natchmiał Krukowieckiego z brygadą jazdy, ku okryciu na niejaki czas głównej kwatery cesarskiej. Cóż czyni Krukowiecki? Opuszcza z brygadą korpus polski, idzie w wskazanym kierunku, gdy nagle go zmienia i wprost ku Lützen maszeruje, wygadując co tylko może przed swemi podkomendnymi na Sokolnickiego i Dąbrowskiego.

Lękając się przecie aby zawiadomiony o tem Sokolnicki aresztować go nie kazał, a myśląc, że pod księciem Sułkowskim łatwiej niż pod wspomnianymi dwoma generałami będzie mógł wszytkiem władać, z niesłychaną bezczelnością zbliża się do otwartego pojazdu cesarza i najbezwstydniejszym kłamstwem przedstawia mu się jako wysłaniec od wojska polskiego, z prośbą aby Sułkowskiemu naczelne dać raczył dowództwo. Cesarz nie lubił Sokolnickiego z powodu kilku zatarg, które ten miał z osobami do dworu jego należącemi, i ztąd nie wspominał go nawet. Ale gdy tenże Sokolnicki dowiedziawszy się o kroku Krukowieckiego, sam osobiście przybiegł do cesarza i o Dąbrowskiego na wodza naczelnego prosił, Krukowiecki coraz bezczelniej kłamiąc, tak silnie nalegał na cesarza i przy Sułkowskim obstawał, że przemógł podanie Sokolnickiego i Sułkowski dowództwo otrzymał.

Sułkowski dobrym był żołnierzem, pełnym honoru, patriotyzmu i nadzwyczajnej waleczności, lecz nie dość silnym się okazał do starcia Krukowieckiego, który oddaliwszy już Sokolnickiego i Dąbrowskiego, ciągle i coraz głośniej przeciw pójściu naprzód deklamował a Sułkowskiemu wystawiał, że surowo narodowi odpowie za

zgubę jego najświetniejszej młodzieży i pierwszych imion narodowych, bo jak mówił, Napoleon znowu nas jak niegdyś legie w żołdowniki swoje zamieni, i znowu tak gdzieś na zatrąę wysle jak niegdyś do St. Domingo. Zachwiało się Sułkowskiego sumienie, tem bardziej, że ciągłe spory i dyskusye w tej mierze szerzące się po szeregach wojska waśniły, osłabiały ducha, z czego naturalnie coraz większe wzrastało rozprężenie.

Nieszczęście chciało, że gdy przybyliśmy do miasta (pono Friburga) za Lipskiem i już przeszli most na rzeczce tam płynącej, Szwedzi nagle wówczas zaatakowali naszą tylną straż jeszcze za rzeką będącą, a artylerya i bagaże nie całkiem się jeszcze były przeprawiły i wszystko nową groziło Berezyną. Sam cesarz udał się na most dla przyspieszenia przeprawy dział i w tej chwili właśnie przysłano Sułkowskiemu rozkaz, aby na niejaki czas brygadę jazdy do innego odkomenderował korpusu, w celu osłony marszu armii. Wiadomo, że wojsko francuzkie w tej kampanii nadzwyczaj mało jazdy miało, której tak spieszenie jak piechoty nie można było uorganizować po wielkiej klęsce 1812 roku, naturalną więc bardzo rzeczą było, że cesarz w różnych kierunkach polskiej używał kawalerji. Już nawet Sułkowski, czując obowiązek posłuszeństwa, gotował się do wypełnienia rozkazu, kiedy Krukowiecki dowiedziawszy się o tem, przybiega nagle i dowodzi na poparcie swoich dotychczasowych domysłów, że cesarz już zaczyna dzieło naszej zguby, bo rozdziera nas na części, i że teraz jest obowiązkiem wodza Polaków przeszkadzać temu ile możności, jeżeli niechce być nieczulym na honor i na

to, co cały naród o nim powie. Młody więc i gorący Sułkowski biegnie natychmiast do cesarza, będącego na moście i nieco zbyt mocne robi mu przedstawienie. Cesarz nie przywykły do uwag tam gdzie każe i to jeszcze w chwili boju, rozdrażniony wreszcie kilkogodinnym niebezpieczeństwem swojej artylerii, ostro gromi Sułkowskiego i rozkaz wypełnić każe, co się natychmiast dzieje, lecz Sułkowski w pierwszym zapale po powrocie od cesarza, daje słowo honoru, że tylko do Renu odprowadzi Francuzów. To nieszczęśliwe słowo honoru słyszane przez całe wojsko nasze, stało się później parolem do oddalenia się jego i pozbawienia nas korzyści rzadkiej jego waleczności. Szliśmy ciągle dalej. Dzieliły się jednych umysły, drugich serca nieszczęściem hartowały. Chcąc wszystkich do jednego zwrócić mniewania, zaspokoić bojaźliwszych, a mocniejszych silniej jeszcze utwierdzić, podało nas kilku myśl, aby oświadczyć Napoleonowi naszą wdzięczność i wierność i prosić go o wzgląd na naszą troskliwość o rzeczy ojczyste i aby dozwolił zapytać siebie, czyli idących z nim do Francji uważać nas będzie za część francuskiej armii na żołdzie jego zostającej, czy za wojsko polskie zbrojne swój naród reprezentujące? Zwierzyliśmy się z tej myśli jednemu z najbliższych cesarza generałowi i czekaliśmy na odpowiedź. Zewsząd wówczas dochodziły nas wieści o zbieraniu się Bawarów pod rozkazem Wredego, w celu zamknięcia nam drogi do Francji. Już nawet korpus kozacki pod komendą Czerniszewa obszedłszy nasze prawo skrzydło, ciągle nas wyprzedzał dla połączenia się z niemi. W wigilią bitwy pod Hanau, Napo-

leon jadący konno przy armii, dojechał był naszego korpusu i stanawszy nad drogą kazał mu stanąć, celniejszym zbliżyć się oficerom i tak do nas przemówił:

„Doniesiono mi, że chcecie mnie widzieć! Nie chcecie mnie opuścić bez pomówienia ze mną, bez dowiedzenia się wprzód, czy jako wojsko polskie uważanymi będziecie w Francji, a w każdym przypadku odprowadzicie mię do Renu. Nie mogę żadnego czynić wam zarzutu. Otwarcie, godnie, szlachetnie postępujecie. Lecz słuchajcie mojej rady. Do kogo chcecie wrócić? Do ojczyzny? Ta zawojowana. Do króla waszego? On nie ma pędzi swojej ziemi. Dałem wam go za monarchę, należało dać wam wojownika, musiałem wybrać takiego, który by nie wzbudzał w sąsiadach waszych podejrzeń i obawy, musiałem dać wam Niemca. Rządząc wami wolę moją wykonywał. Szacowałem go i był istotnym moim przyjacielem. Chcecie powrócić, nie sprzeciwie się temu. Kilka tysięcy mniej lub więcej żołnierzy, tak nawet jak wy walecznych, nie są dla mnie stanowczymi, lecz strzeżcie się, aby wasi ziomkowie, potomność nie zarzucały wam kiedyś tej niestałości. Wróćcie wśród nieprzyjaciół z pokorą i schylonem czołem, wróćcie żebrzący łaski, kiedy zwycięzcami wrócić możecie. I cóż tym powrotem zyskacie dla was, dla ojczyzny? Jeżeli mię opuścicie, już nie będę miał prawa przemówienia za wami, a jednakże ile mi się zdaje, mimo wszystkie klęski, jestem jeszcze imieniem mojem najpotężniejszym z mocarzy europejskich. Patrzcie czym się już tak bardzo odmienił? Czy nie jestem dawniej mocy człowiekiem? Całe Niemcy powstają przeciw mnie, w tej chwili nawet

dowiedziałem się, że najdrobniejsze książątko niemieckie także mi wojnę wypowiada. Nie jest-że to ów lew umierający w bajce, którego i osieł swém kopytem potrąca? Fortuna jest kobietą a nawet nierządnicą, raz temu, drugi raz innemu się narzuca. Ale potrafię ja jeszcze pod moją ugiąć ją wolę. Jedna bitwa wygrana nad Renem, druga nad Odrą łatwo mnie do was doprowadzą. Może, iż wasza nieszczęśliwa gwiazda zaćmiła moją. Nie to się zawsze u was działo, czegom żądał. Pradt głupstwa robił, nie poznał was i położenia swego nie zrozumiał.“

W téj chwili wzniosła się z pod granatowego płaszcza naga, ranna i obandażowana ręka młodzieńca, siedzącego równie jak my na koniu, który temi słowy przerwał cesarzowi:

„Nigdy, najjaśniejszy panie, nie wystawiono ci w prawdziwém świetle całych zasług i wysień biednych Polaków. Gdyby cię była prawda doszła, gdybyśmy tyle przeszkód nie byli doznali od twoich podwładców, byłbyś dopiero ujrzał czegośmy zdolni dla ojczyzny i dla ciebie.“ Tym młodzieńcem był Jan Skrzynecki.

„Wierzę, wierzę, odrzekł Napoleon. Nie tylko w Księstwie Warszawskim, ale i na Litwie wszystko szło z tego powodu źle lub opornie. Nie mogłem o wszystkiém wiedzieć i być wszędzie. Ale wróćmy do obecnego stanu rzeczy. W skutku traktatów egzystujecie, w dalszych traktatach mogę wam być ten zapewnić, a jeżeli bym i tego nie zdołał, przynajmniej z bronią, honorem i szacunkiem nieprzyjaciół wróćcie do siebie. Chciałem

zawsze waszego istnienia, bom na wszystkich polach chwały w Włoszech, Egipcie, Hiszpanii i Niemczech widział przy sobie Polaków. Zawarłem był traktat z cesarzem austriackim, podług którego oddawałem Illiryą za Galicyą, którą do was przyłączyć chciałem. Gdybym był was chciał poświęcić, byłbym pokój zawarł w Dreźnie. W najniezwyklejszych czasach żyłście nadzieją, gdybyście się jój dziś wyrzekli, obwiniałyby was o lekkość i płochość, naród i dzieje. Uważać was zawsze będę jako wojsko Księstwa Warszawskiego, jako Polaków sprzymierzeńców. Cały wasz rząd z Stanisławem Potockim znajdziecie w Francyi, a więc wszyscy będziecie razem reprezentować wasz naród. Będziecie w stósunkach z moim ministrem spraw zewnętrznych. Daję wam słowo, że po największych klęskach nie zapomnę o was w traktacie. Takie są moje rady.“

Oto jest ta mowa, którą najpierwszy i to natychmiast skreśliłem, i wszyscy co ją odtąd drukiem ogłaszali, mniej więcej wierne tylko podali kopie tego com napisał. Oryginał jój francuzki oddałem generałowi Dąbrowskiemu. Zażądał jój odemnie później wielki książę Konstanty, wskazałem mu, gdzie jej ma szukać. Jeżeli była w domu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w sali Dąbrowskiego, łatwo zgadnąć co się z nią stało po r. 1831.

Zaledwie cesarz zakończył mowę swoją, najpierwszy generał Toliński, a za nim wszyscy zawołali — „Niech żyje cesarz! wszędzie z nim pójdziemy!“ Sam tylko Sułkowski zasmucił się wspomnieniem uroczystości danego słowa honoru, że za Ren nie przejdzie. Prosił więc o uwolnienie od służby, otrzymał je i zabrawszy z sobą

cały sztab swój, Henryka i Konstantego Zabiełłów, Zbiżewskiego, Dzierzbickiego i Kraszewskiego, udał się przez armię nieprzyjacielską do Polski. Chciał on abym i ja z nim się oddalił, jako dotychczasowy szef sztabu armii polskiej. Innem powodowany przekonaniem pozostałem przy wojsku. Nie miłem to było Sułkowskiemu, szanował przecież moje przekonanie, choć i zdaniu i zamiarowi jego przeciwnie. Ale cóż czyni w tej chwili Krukowiecki? Zapewne jako pierwszy poduszczyciel do opuszczenia cesarza, on co do tego kroku groźnemi deklamacjami zmusił Sułkowskiego, najpierwszy dołączył się i powrócił do kraju. Otóż nie; on najpierwszy go odstąpił i zostanie. Błysła dumie jego nadzieja, że oddalwszy już Sokolnickiego i Dąbrowskiego, teraz po oddalającym się Sułkowskim niezawodnie ogarnie dowództwo naczelne nad wojskiem polskiem i pozostał przy korpusie. Do zgonu mego nie zapomnę spojrzenia Sułkowskiego na niego, w którym zapłonął cały ogień gniewnego oburzenia. Odjechał Sułkowski, a oddalwszy się od nas na milę skreślił na prędce rozkaz dzienny, tłumaczący powody swego oddalenia się. Przysłał mi ten rozkaz przez adjutanta, z poleceniem ogłoszenia go wojsku. Ale wróciwszy z tym pismem do głównej kwatery polskiej, jużem zastał generała Dąbrowskiego, jako nowomianowanego przez cesarza dowódcę. Potwierdził mię w stopniu szefa sztabu swego, a ja naturalnie wówczas sądząc, że gdy już jest nowy dowódca nic mi bez jego wiedzy ogłaszać nie wolno, pokazałem mu rzeczony rozkaz dzienny. Dąbrowski odczytawszy go rzucił w ogień, mówiąc, iż usprawiedliwienie podobnego kroku mogłoby zachwiać

niektóre umysły, kiedy im owszem mocy do najdłuższego wytrzymania dodawać należy.

Nazajutrz zbliżyliśmy się do rozpoczętej z Bawarczykami bitwy pod Hanau i już pierwszymi kolumnami wstępowaliśmy na plac boju. Z obowiązku mego jako szef sztabu przybiegam do Dąbrowskiego po rozkaz, jaki kierunek mam nadać czołu korpusu. Na co tenże: Rozkazów wyższych niema, a więc na prawo zupełnie postaw korpus. — Ale tam, mówię, generale, niema nieprzyjaciela, oprócz kozaków Czerniszewa i do tego tak głębokim przedzielonych od nas parowem, że nigdy zerzeć się nie zdołamy i nie będziem wcale do tej bitwy należeć! — Właśnie tego potrzeba, odrzekł Dąbrowski, abyśmy nikogo nie stracili. Napoleon i bez nas przełamię Wredego i nam o to iść powinno, abyśmy ile możności w największej sile za Ren się dostali. Im więcej nas tam będzie, tém więcej znaczyć będziemy, zwłaszcza przy obecności naszego rządu w Paryżu. Jak życzył tak się stało, zaledwie kilka kul doleciało do nas przez całą bitwę i ani jednego nie straciliśmy człowieka.

Bitwa ta krótko trwała i wymagała pośpiechu, ponieważ idąca za nami od Lipska armia sprzymierzona mogła na nas z tyłu uderzyć. Za pozwoleniem Dąbrowskiego udałem się na miejsce najzaciętszego boju i właśnie w chwili stanowczej stanąłem przy orszaku Cesarza. Już artylerya bawarska wysunęła się była na przód lasu, a bardziej na prawo z tegoż lasu nieco rzadszego przezierać zaczęły masy jazdy Wredego, kiedy Cesarz przybywa do piechoty swojej gwardyi. Czterem batalionom każe iść krojem tegoż lasu, uderzyć na jazdę

i rześnistym zniszczyć ją ogniem, czterem zaś drugim batalionom, zrzucić proch z panewek i pójść wprost na działa nieprzyjacielskie.

Dziś jeszcze przypominam sobie ten odbity w duszy mojej groźny dźwięk głosu cesarza „proch z panewek,“ spokojnym i mężkim głosem dowódców batalionowych powtarzany. Widzę jeszcze te tłumy czarnych niedźwiedzi, ruszających z miejsca, tych starych żołnierzy Arkoli, Piramid i Austerlitzu, te żywe masy wrzące męstwem i groźbą, jak zwolna, bez najmniejszego wahania się postępują pod okiem ubóstwianego przez siebie Napoleona. Najuroczystsze milczenie panuje w orszaku cesarza. Wszystkie oczy w jeden punkt zwrócone, a im bliżej nieprzyjaciela zbliżają się czapki niedźwiedzie, tém wszystkie serca patrzących silniej biją, tém oddech każdego nawałniejszy, gorętszy. Rozpoczął się wreszcie atak stanowczy. War niesłychany w lesie. Zda się, że całe łany dębów raz po raz z trzaskiem i grzmotem walą się na ziemię. Dym rozległy, tentent, wrzawa piekielna. W godzinę wszystko ucichło. Ogromne tylko stosy ludzkich i końskich trupów sterczą po lesie. Działa bawarskie znikły, bitwa skończona, wygrana.

Na wolnej już drodze ku Francji pomaszerowaliśmy z armią Francuską do Moguncyi, gdzie marszałek Kellermann, dla uniknienia zamięszania w chwili przechodu przez miasto takiej liczby wojska, każdemu korpusowi inną ulicę przeznaczył, i każdą taką ulicę z obu stron szyldwachami zamknął. Każdy korpus odpowiadał za porządek stanowiska, które mu wskazano, każda ulica tymczasowym posiłkiem opatrzyła korpus na niej umie-

szczoney. Kilka tylko godzin trwało to rozporządzenie, zaraz bowiem wszystkie korpusy w oddzielnych rozeszły się kierunkach. Wojsko polskie udało się do Zweibrück, gdzie Dąbrowski nowy nadawszy skład brygadam i dywizjom korpusu, pomaszerował do Sedan podług otrzymanego na to rozkazu, i gdzie przysłany przez cesarza generał adjutant Flahault reorganizował cały korpus polski, odłączając tych oficerów co linią bojową iść mieli, od tych z których tak nazwane kompanie honorowe tym czasowo złożył, aż do powołania ich do szeregów czynnych w razie potrzeby. Kompanie te zostały pod dowództwem Dąbrowskiego aż do wzięcia Paryża.



Posąg księcia Józefa Poniatowskiego.

Nie mógł się długo utulić żal ludu polskiego po stracie księcia Józefa Poniatowskiego. Zabłyśły wprawdzie nowe nadzieje z wiele obiecujących wyrazów cesarza Alexandra I-go, nim przecie poddał im się naród, sumienie jego potrzebowało przedewszystkiem złożyć winny hołd pamięci i zasługom swego bohatera. Czuł lud polski, że tem godniejszym powinienby się wydać w oczach nowego dobroczyńcy, im czystszy się z wdzięczności swojej okaże dla męża tak znakomitęj zasługi, tak niezłomnego w boju, tak wiernego w niedoli, dla męża na koniec, który tak pięknością charakteru, świetną walecznością, jak i słynnym zgonem w nieprzyjaciółach nawet swoich umiał wzbudzić podziwienie. Jakby z jednego serca i duszy, tak z całego narodu wytrysła myśl wzniesienia mu posągu. Zebrano wkrótce ku temu celowi fundusz znakomity. Thorwaldsen podjął się wystawienia pomnika i szło już tylko o zezwolenie cesarza Alexandra. Wyprzedzając powszechną gorliwość narodu, podała w tej mierze prośbę do cesarza Alexandrowa wówczas Potocka, dziś generałowa Wąsowiczowa, i otrzymała natychmiast odpowiedź przychylną i godną wyższych uczuć

monarchy. Z całą gorliwością wielkiego artysty wziął się Thorwaldsen do dzieła, a gdy już było bliskiem wykończenia, sam zjechał do Warszawy w celu porozumienia się o wybór miejsca na pomnik. Nie łatwym był w tej mierze. Jeden z placów zdawał mu się za szczyt, drugi mający zanadto charakteru handlowego, trzeci nie dość świetnymi otoczony gmachami. Nad wszystko zdawał się przekładać plac rozległy przed koszarami Ujazdowskiemi. Dla wielu jednak przyczyn i przeszkód przemogła myśl nie dość szczęśliwa, umieszczono go przed pałacem namiestnika, niegdyś Radziwiłłów.

Odjechał do Rzymu sławny rzeźbiarz, a naród cały z wyteżoną tęsknotą i ciekawością oczekiwał pomnika swego ulubionego bohatera. Przysłał nakoniec Thorwaldsen model skończony do odlewu, który miał być uskuteczniiony w Warszawie. Wystawiono i odsłonięto ten model w jednej z sal starego teatru. Cała Warszawa cisnęła się, tłoczyła z ciekawością i sercem bijącym. Każdy chciał być najpierwszym w ujrzeniu tak znaną i drogią postaci. Ale jakie zdumienie i niechęć na wszystkich okazała się twarzach, jaki zawód dla ludu polskiego! Z względu czysto artystycznego był to jeden z najpiękniejszych posągów, lecz niczem, ni rysami oblicza, ni postawą, ni charakterem, ni wyrazem, ni szatą, słowem najmniejszą nawet drobnostką nie przypominał księcia. Był to po prostu piękny młodzieniec, jakiegoś wojownika scytyjskiego z orężem pod pachą, na wpół nagi i siedzący na koniu, który zarówno jak jego rycerz nie miał z żywości i udolności polskiej. Bronili Thorwaldsena tak zwani znawcy sztuki klasycznej wy-

szością rzeźbiarstwa nad malarstwem, mówiąc, że gdy to ostatnie nie zniża się poziomo nawet wystawiając przedmioty i postacie, byle je z możliwą wystawiało doskonałością i życiem, rzeźbiarstwo przeznaczone do uwiecznienia wielkich mężów, bohaterów i tak zwanych pół bogów, musi koniecznie wyzwolić się z rzeczywistości, wznieść się do ideału, przyjąć charakter apoteozy, do której nie bardzo przystają kurtka, ostroga i czapka. Nie chciał lud polski rozumieć tej teorii wyszukanej, chciał on mieć oczom przedstawione co w sercu pieścił, a w pamięci chował. I w samej rzeczy mógł być artysta uniknąć tej nieostrożności ubioru do posagu, wystawiając księcia w tej burce historycznej, którą zawsze w obozach nosił, z rysami oblicza tak pięknego i rycerskiego, i z tym orężem w rękę z którym poległ na pobojuwisku Lipska. W posagu tym nie było nic dla serca, pamięci i wspomnień. Mógł zarówno stać w Grecyi lub w Rzymie, w Warszawie nie miał żadnego znaczenia. Thorwaldsen pojął po mistrzowsku sztukę, nie pojął czucia narodowości i jej charakteru, nie pojął Polski chwytającej się w swą niedoli świetnych swych pamiątek i z rzewnością tulącej się do lepszej przeszłości.

Ale jakiegokolwiek było zdanie i uczucie narodu, przez wzgląd na wydanie funduszu tak znacznego i na sławę wielkiego artysty, posąg ten odlać polecono. Powstanie ostatnie wstrzymało wzniesienie jego, a po r. 1831 cesarz Mikołaj zakazał go wznosić. Nikogo nie było z otaczających go osób, któraby zwróciła jego uwagę, że książę był z krwi królewskiej, krwi jego poprzednika, że pra-

wój zawsze służył władzy i nie należał do rewolucyi 1830 r. Nie wiedząc co począć z tym posągiem, darował go księciu Paszkiewiczowi, a ten w dobrach go swoich postawił, i tak zdawał się i tam jeszcze czuwać nad nim, aby z rzymskiego rumaka, nie przesiadł się nagle na polskiego.

ŻYWOŃ
KAJETANA KOŹMIANA.

Każdy człowiek w chwili zgonu staje na granicy oddzielającej jego przeszłość od przyszłości. Na jednym krańcu zdaje rachunek Bogu samemu, na drugim ziemi na której działał. Nikt tych dwóch sądów uniknąć nie może. Boski tylko wyrok jest nieomylny, do ludzkiego przyczepia się nie raz pochlebstwo, potwarz lub niewiedomość. Szczęśliwy pisarz, kreślący dni zmarłego męża, jeżeli mu przychodzi w wiernym obrazie wystawić życie jasne, proste, wszystkim wiadome, życie ciągle szlachetne i cnotliwe, tę całą dobę od kołyski do grobu, oświetloną zasługami, tak w rodzinném jak i w obywatelskim kole. — Im większe w narodzie miał znaczenie zmarły, tém lud jego rodzinny silniej się domaga streszczonego obrazu jego działań publicznych — narodowe nawet modły o jego przyszłość mierzą się podług zasług, które po sobie zostawił. Zasług tych kłamać nie można, bo tyle świadków żyjących wartości jego pozostaje, bo nieostygłe jeszcze zwłoki zmarłego ze wzgardą by odrzuciły nieprawdę, i bo gdzie między zasługami wybierać tylko przychodzi, tam na rojenie ich silić się nie ma potrzeby. Wyświecić więc tylko czystą prawdę należy. Trafi ona

do dusz prawych, nieoślepych namiętnością i umiejących sumiennie ważyć i sądzić. O wyrok tych, których wszelka wyższość razi i poniża, nie dbać nam wolno.

Z cichego wioski ustronia, skromnego domku, z kryjącej się prawie przed światem siedziby, wydarł się nagle krzyk boleści rodzinnej, i odgłos jego rozlał się natychmiast po całej rozległości narodu, zagraniczne nawet pisma powtórzyły wieść żałobną, jak gdyby tém udziałem pocieszyć nas chciały w niedolach naszych, jak gdyby czuły, co to jest dla nas stracić jednego z świadków i wyobrazicieli naszej przeszłości. — Trzy wieńce zdobiły czoło zgasłego. Umarł człowiek pracy, zasłużony obywatel - urzędnik, i wieszcz znakomity. W całym ciągu życia zmieniał on tylko rodzaj zasług, nie przerwał ich nigdy, wytrwał do lat 85 w cnocie, czynności, przykładach.

Pójdźmy po śladach długiej jego pielgrzymki na ziemi, zbierajmy wdzięczną dłońią ten drogi kruszec zasługi po całej świecącej drodze, odczytajmy na nowo te karty nieśmiertelne, gdzie tyle wylał rzewności, tak gorąco wielkie głosił prawdy, tak wysoko wynosił chwałę narodową. Zaszczepiając kwiat ten na jego grobie, zaszczepimy go zarazem na mogile ojczyzny. Myśl ta doda wagi słowu naszemu, uroczystości żalowi, który niestety w skutku wiadomych przyczyn, wiele jeszcze osłabić, wiele zamilczeć musi i tak wyrzec się zupełnie hołdu tyłu zasługom winnego.

Kajetan Koźmian był synem Andrzeja, sędziego ziemskiego lubelskiego i Anny z Kiełczewskich. Urodził się 31 Grudnia 1771 roku we wsi Gałęzowie, w wo-

jewództwie lubelskiem. Zacność, prawość, światło i wziętość ojca, wielkimi być musiały, gdy nie tylko o nich polskie wspominają pamiętniki, nie tylko w tradycji województwa pozostały żyjące, ale jak świadczą dowody, sam król listownie starał się o jego wpływ przeważny w województwie.

Zacni zacnymi, światli światłymi otaczać się zwykli. — W szczęśliwej więc sferze umieściła Opatrzność młodego Koźmiana. Wszystkimi drogami wpływały w jego serce wzory naoczne. Wybił się na jego młodej duszy ten obraz starożytnej prostoty, zacności i powagi, które raz przejawszy, przez cały ciąg życia odznaczając się wszędzie przedstawiał.

Pierwsze nauki odebrał w Zamościu. Z rozwijającą się zdolnością przeniesiony został do szkół Lubelskich. Gorliwie on pochłaniał wszystkie tamże podówczas udzielane wiadomości, nadewszystko przecież z całym zapalem ukochał literaturę starożytną. Zanurzał się w jej głębi, myśl nią upożęśniał, duszę niezłomnością jej prawideł hartował. Kształcił smak wiekowemi jej wzorami, podziwiał porządek, a zwłaszcza ową piękną miarę uniesień poetycznych, chroniącą pomysł wielki od przesady i zdzieczenia. Tem to ostatni przymiot literatury starożytnej, napróżno podług niego szukany w nowszych, tak go utwierdził w mniemaniu o jej wyższości nad inne, że nigdy tego przekonania wyrzec się nie mógł. Jej więc całe życie hołdował, jej dzieła za wzory swoje obierał. Przeświadczenie to zaniósł z sobą do grobu. Jakiegolwiek może być nasze zdanie w tej mierze, przyznać musimy, że jest coś szacownego w tej wytrwałości, w tem

sumiennem postępowaniu, nawet w pracach umysłowych, które na chwilę nie dało mu zboczyć z drogi, którą głębokie wskazywało przekonanie. Żałować nam tylko wolno, że przy tylu górujących zdolnościach, nie dość własnemu zaufał popędowi, który go nigdy nie omylił, a tyle dał nam piękności.

Zabłysnął nowem wysileniem narodu rok 1794. Niezawodnie młodzieniec nasz musiał się już odznaczać światłem i gorącością uczuć, kiedy w tak wczesnych latach do służby publicznej w województwie zaufaniem ziomków powołany został,

Ufano jeszcze w ówczas w odziedziczenie szlachetności, w krew pocziwą i w te gniazdowe cnoty rodu, w których wróżbę i rękojmie zacności upatrywano. Zasób ten cnót domowych i zasług publicznych stanowił niejako pewien moralny majorat spadający na wszystkie potomki, z których żadnemu nie wolno było nie utracić z skarbu przez przodków zebranego, jako własności należącój do całej rodziny.

Po krótkich acz świetnych walkach narodu, po rozproszeniu wszelkich nadziei, wrócił nasz młodzieniec do rodzinnej zagrody. Zmuszony do zamknięcia się w ciśniejszym zakresie, wszystkich sił użył do zapewnienia go godnym i użytecznym trudem. Oddał się cały rolnictwu i naukom. Tu zapoznawszy się z dolą, charakterem i obyczajem wieśniaka polskiego, powziął to o nim przekonanie, że pocziwość przeważała jego wady, a te po wielkiej części pochodziły z jego nędzy, ucisku lub mylnego nim kierowania. Ulitował się nad nim, złagodził władzę, starał się oświecać, ukochał, z wymo-

wnym bronił zapałem. Tu to zapewne zawiązał się w jego sercu pierwszy zaród przyszłego poematu Ziemiaństwa. Zbierał uwagi, rozżarzał płomień natchnienia, i już w myśli porządkował dzieło, które tak pięknym kiedyś miał wyśpiewać rymem. Skromny z natury, nie ufał jeszcze sobie, nie czuł się dojrzałym do wyższego zawodu. Mawiał on sobie, że jak są dary, któremi szciodra z bogaca natura, tak są i takie, których pracą tylko dokopać się można. Zaprawiać więc zaczął się na przekładach Horacego i Tybulla. I w nim zapewne silnie biło serce młodego poety, i on czuł potrzebę wyłania uczuć wezbranych, obrazowania rojących się pomysłów, nie rzucił się przecież od razu zuchwale na pole utworów oryginalnych. Sądził, że nie zbawienniejszego nad długie rozważanie wzorów i że na nich należy kształcić i wyrabiać zdolność wrodzoną. Czuł, że przez łamanie się z trudami i sprzecznością dwóch języków najlepiej wykształca się własny, najpewniej zyskuje się na precyzyi wyrażenia, i że na koniec na tej drodze nauczymy się jednoczyć rozagę z zapałem. Czuł, że piękność wymaga jasności, ognia bez dymu, forma artystycznego kształtu, a cała budowa tego ładu i prawdy, bez których genialnemu nawet autorowi powiekować trudno. — Wśród tych prac i rojeń, nagła śmierć wydarła mu ukochanego ojca. Serce tak rzewne i gorące potrzebowało miłość miłością zastąpić. W roku 1802 połączył się dozgonnym węzłem z Anną Mossakowską. Zaznał w całej prawdzie szczęście domowe, które wkrótce uzupełniło się urodzeniem córki i syna. Sądząc podług obrachunku ludzkiego, zdawałoby się, że w nagrodę

tylu nieszczęść publicznych, Bóg mógłby w Swój dobroci przedłużyć i mocniej utrwalać nasze domowe szczęście. Lecz że nie do nas należy wyznaczać miarę, rodzaj i długość prób przez które przechodzić mamy, Kajetan Koźmian już w roku 1806 miał zapłakać nad grobem młodej, uroczej i cnotliwej małżonki, wkrótce nawet i nad mogilką córki. Doszedł on od razu tego kresu cierpień gdzie człowiek się dowiaduje, iż są straty tak głęboko w serce wryte, że późniejsze nawet szczęście nigdy ich wynagrodzić nie zdoła. Przybity ogromem niedoli, nie mógł w tem nadmiarze boleści pochwycić zrazu lutni, dla wynucenia serca żałoby, czekał chwili pierwszego odetchnięcia po tylu cierpieniach, kiedy nagły i już bliżki odgłos trąb nowego cesarza, wyrwał go nagle z tej nocy smutku, i słoneczne nowym nadziejom roztworzył pole. Nie trzeba nam nurtować po jego duszy, aby wyobrazić sobie, z jaką potęgą w tej wielkiej uniosła się chwili. Dość zajrzeć w tak żywe jeszcze nasze wspomnienia.

Nie pojmą tych uniesień ludy szczęśliwe, bo boleści naszych nie zaznały. — Uczuł i przejrzał Koźmian, że do wyższego zawodu powołanym być może, że odłączyć mu się przyjdzie od prac literackich, od miłych mu wieśniaków, od syna jedyne. Nie chcąc osieroczonego po matce, osierocić jeszcze i z ojca, szukał mu drugiej matki i jakby Bóg sam błogosławił pocziwój trosce ojcowskiej, znalazł ją wzorową, pełną religijnego poświęcenia i cnót niewieścich, w siostrze zmarłej żony, która przyniosłszy mu w małżeństwie 45 lat niezakłóconego

szczęścia, sędziwość jego do ostatniego tchu życia wypielegnowała przykładnie.

W roku 1809, po zajęciu Krakowa i nowej Galicyi, Koźmian jak przewidywał, powołany został istotnie do usług publicznych, i to od razu na wiceprezesa komisyi lubelskiej. Jakąż to pełnością życia pierś jego zawrzała, jak umysł spoteźniał, gdy nie tylko suchym i trudnym urzędu wydołał mozołom, ale i z nieznaną dotąd w literaturze naszej siłą lirycznem i dwukrotnem odezwał się pieniem, na zawieszenie orłów polskich i zawarcie pokoju. Rozległ się po całym narodzie odgłos tak znakomitych tworów. Podziwiali oświeceńsi niesłychaną dotąd potęgę śpiewu polskiego, powtarzano szczytne strofy, cały lud polski udumniał śpiewakiem swojej chwały. Mężki dźwięk lutni jego godnie odpowiedział grzmotom dział zwycięzkich i wielkości głoszonego męża. Dwie te gwiazdy w literaturze polskiej, pomimo wszelkie zmiany, teorye i szkoły, przez jakie jeszcze przechodzić może, niezgasłym nigdy blaskiem jaśnieć będą, bo prawdziwa piękność nie zna przedawnienia, wieki zwycięża.

Nie spłynął jeszcze rok ten pamiętny, a już Koźmian wezwany został do zasiadania w stopniu referendarza w radzie stanu W. Księstwa Warszawskiego. Zaledwie zajaśniał w stolicy, już i Towarzystwo przyjaciół nauk powołało go do zajęcia miejsca w swém poważnym gronie, gdzie poleconą sobie pochwałę Nagurczewskiego, pierwszego tłumacza Iliady, na publicznem odczytał zebraniu, a potem tylokrotnie górnemi rymy tłumne uświetniał posiedzenia. Przeniósł się wprawdzie do Warszawy, lecz z żalem serca zwracał się zawsze ku rodzin-

nęj zagrodzie i drogim sobie włościąnom. Tęsknota ta, podała mu pióro do ręki, aby przynajmniej w pieśni snutej z duszy żyć z niemi, o nich marzyć, dla nich rozbudzać współczucie, i tém pocziwem rojeniem pocieszać serce, nie raz nad krajem i ludźmi bolejące. Uderzył więc w lutnię i zaczął Ziemianstwo.

Każda treść poetyczna może być rozmaicie pojęta i snuta. Każda wprowadzie już z naturą przedmiotu, przynosi w łonie swoim ukrytą formę, podług której rozwinąć by ją należało, ale któż zawsze pewnym być może, że tę właściwą formę odgadł niezawodnie? Wieszczeni naszemu zdawało się najstósowniejszem iść za śladem najdoskonalszego dzieła najcelniejszego poety rzymskiego. Wieszczeni łaciński był przecież jego drogowskazem tylko, natchnienie, obrazy, ustępy, wspomnienia historyczne, z natury polskiej czerpane były. Gdziekolwiek wieszcz nasz szedł za torem Wirgila, tam go najczęściej doścignął, gdzie za własnem natchnieniem, tam był nieporównany, bo serdecznie polski i podług treści, którą opiewał, wzniosły, rzewny, nadzwyczaj malowniczy, a zawsze poetyczny i prawdziwy. Szkoda wielka, że autor Ziemianstwa silny ustęp o Chmielnickim odciął od swego poematu, lecz że twórca dzieła najlepiej czuć może co mu wybrać należy, co lepiej wiąże się z układem i co bardziej godzi z charakterem całości, przeto się spierać z nim nie będę. Nalegałbym tylko na przyszłego wydawcę wszystkich pism Koźmiana, aby w aneksie do tego poematu, tym pięknym obdarzył nas ustępem.

Miłym jest obraz człowieka, tak czującego i działającego jak pisze. Nie mówię nigdy, ale nadzwyczaj

rzadko widziałem tyle zgodności pióra z czynem, jak u wieszca naszego. Trzeba go było widzieć w jego ulubionych Piotrowicach, chwilach wolnych od urzędowania w stolicy. Patrychalny to rodzic do dzieci swoich zawitał, dobroczyńca, pocieszyciel do strapiionych klęską. Dzień jego przybycia był wzajemną uroczystością. Jakże uprzejmie z poważnymi naradzał się knieciami, jak czule z matkami licznych rodzin, jak w każdej chacie serdecznie witany, radował się z szczęśliwszymi, z smutnymi smucił. Znajome mu były wszystkie stosunki i węzły wieśniaków. Znał wszystkich i nazywał po imieniu. Głośno chwalił, w ciszy strofował, najczęściej śmiejącym żartem ścigał ich złe nałogi i wybryki. Słowem umiał łagodzić, sprawiedliwość bronić od ucisku, litować się, kochać, wspierać, zapłakać nawet po pocziwych. Niepojętem było dla wielu, jak z niedosiężnej szczytności lirycznej, tak łatwo zestępował aż do dziecięcej prawie dobroci, ale bo choć umysł jego tak był górującym, a zdolność potężną, któż wie czy ich nie przeważało serce szlachetne, wzniosłe, rzędne i prawdziwie chrześcijańskie i polskie. Jeżeli kto był stworzony do pisania Ziemianstwa, to Koźmian niezawodnie.

Wielu powstaje przeciw dydaktycznym tworom. Pojmuję ich zarzuty. Prosta budowa i rozkład podobnych poematów, nie ma zwykle pełnej poezji dramatyczniejszej. Nadużyty był wreszcie ten rodzaj, zwłaszcza przez mierne talenta w Francji. Same opisywania, choćby najpoetyczniejsze, musiały znudzić nakoniec. Nie możemy przecież do wieszczów tylko opisujących liczyć Wirgila ni Koźmiana, jak to trafnie powiedział Lucyan Siemień-

ski, wyższe im przyznający cele i znaczne powody do obrania téj osnowy a nie innéj. Ale jak Wirgili tak i Koźmian raz wybrawszy treść swoją, nie mogli uniknąć opisowości od podobnych przedmiotów nie odłącznej, a dla tego treść tę wybrali, iż po tylu krwawych bojach i zniszczeniu włości, chcieli wzbudzić zamięłowanie do pracy, wykazać szlachetność, podnieść z różnietwem rólnika, przyczynić się choć w jednéj części przynajmniej do podźwignienia ziemi rodzinnej. — Przemijam niedosiężną sztukę artystycznych opisów Koźmiana, lecz trudno odwrócić oczy od tego bogactwa obrazów prawdziwie poetycznych, trudno nie widzieć, nie uczuć jak polskimi całe dzieło oblekł barwami, jak polskim rozgrzał je duchem. Nie bez powodu musiał je drukować za krajem w którym mieszkał. Cóż bardziej polskiego nad obraz wieśniaczki, karmicielki syna pańskiego, nad po grzeb rólnika, nad zarysy rozmaitych dziedziców włości, nad łowy na wilka, okrężne, obraz pomoru ludzi z tylu pamiątek wyczerpany, i ów tak prawdziwy i częsty niegdys pożar lasów, opis nakoniec konia, a nadewszystko ów ustęp spotkania się rycerza z rólnikiem przed drukiem jeszcze w wszystkich sercach i ustach będący. Cóż wdzięczniej poetycznego nad obraz żniwa ptaków, wróżb zmian powietrza a zwłaszcza tych pszczół, które choć po Wirgilu i Szekspirze, tak po mistrzowsku opisał? O! gorąco ten kochał kraj swój i wieśniaka, kto takie poema z serca swego wylał. Nie kochał on go poduszczaniem do zawiści i zniechęcenia wszelkiéj władzy nad sobą, lecz uszlachetniając w oczach narodu jego pracowitość i broniąc go od ucisku możniejszych.

Ale jak mówiłem, potępiono wszelkie poemata dydaktyczne. Nic łatwiej jak potępić jaki rodzaj poezyi. Nie jeden teraz sędzia literacki, a zawsze nową otwierający epokę mniemałby, że z nie dość wysokiego stanowiska patrzy się na literaturę, gdyby zaraz z góry, jakiego dzieła lub rodzaju poezyi z wieków istniejącego kondemnata swoją nie zamordował. Rzekłbyś, że przeskadzają rodzącą się jego sławie, z taką potępią je nienawiścią i wzgardą. Mógłby przecież pomnieć, że dla każdego jest miejsce na świecie, że w czasie przejścia z jednéj szkoły do drugie, tworzy obydwóch koniecznie krzyżować się musiały, i że nakoniec te potępione przez niego dzieła, przez tyle oświeconych wieków wzorami były, a najcelniejsi poeci ich twórcami. Czemuż wreszcie ocieśniać wolność i granice poezyi, czemu jéj zabraniać rozmaitości? Nadużycia potępiamy, a nie różnorodność tworów. Był to po części błąd dawnych u nas poetów względem nowych, dziś nowi względem dawniejszych tę samą powtarzają wadę, zbyt śmieszną aby długo potrwać miała. Co jest prawdziwie piękném, tego wyrokiem naszym nie zabijem. Trzech rzeczy potrzeba, mawiał Byron, aby każdy najdrobniejszy nawet utwór poetyczny żył na zawsze, doskonałości w pomyśle, doskonałości w egzekucyi i zgodności z moralnością. Mówił to, przytaczając Georgiki Wirgilego jako tym warunkom odpowiadające. Nie dziw więc, że i Koźmian mógł być tegoż zdania.

W parze z tworam poetycznemi autora, szły i prace urzędnicze. Znakomitęj pracowitości i światła jego dowodzą, ten szczególny szacunek dla niego wszystkich nadwładnych, to w miarę rosnących zasług posuwanie

go na coraz wyższe stopnie, a mianowicie to obciążanie go pracami, które i wielkiej sumiennosci i zdolności wyższych wymagały. Jemu to rząd powierzał wszystkie odezwy do narodu, jemu redakcyą zdawania sprawy publicznej stanom sejmującym, jemu wyższego wyrobu potrzebujące referaty. Nieznużony czytelnik Tacyty, na nim prozę swoją zaprawiał. Odnaczał się też między znakomitymi nawet, jasnością, ścisłością, harmonią, potęgą wyrazu i myśli. W całym biegu swego urzędowania, kraj swój i kraj jedynie mający na celu, nie ograniczał się na surowem pełnieniu własnych powinności, chciał on i dla przyszłości jego zapewnić władzców światłych, godnych i gorliwych. Zdolniejszych więc swoich podwładnych kierował zachęcaniem, przykładem i radą. Przelewał w nich tę piękną żądzę poświęcania się służbie publicznej, którą sam tak gorąco pałał. Widzimy to w ich żalu po nim, czytaliśmy w pięknym nekrologu pisanym przez hrabiego Andrzeja Zamojskiego, równie przynoszącym zaszczyt zasługom zmarłego, jak i piszącemu wdzięczności.

Brzemienny wielką dla kraju, choć znowu zawieszoną przyszłości nadzieją, nadszedł rok 1812. Miał on być ostatniem i najwyższem wysileniem narodu, dążącego do wielkiego celu. Wskazano mu jako drogę najwłaściwszą i konieczną skonfederowanie się jego pod tarczą szczęśliwego dotąd zwycięzcy. Z całym zapalem i wiarą chwycono się tyle wróżącego pomysłu wielkiego męża. Sejmowi, na którym akt ten uroczysty przyszedł do skutku, przewodniczył książę jenerał ziem Podolskich Czartoryski. Sekretarzem konfederacyi mianowany

został Kajetan Koźmian. Znane są dzieje tej konfederacyi, znane działania zacnych jej członków, akta, protokoly i liczne odezwy, po większej części piórem znakomitę naszego wieszczą skreślone, a więc jednością i miłością kraju i wyższem uniesieniem dla toczącej się sprawy tchnące. Uniesiony wagą tak stanowczej pory, porwany zapalem serca i ludu całego, nie mógł, nie chciał przestać na tym jednym środku podnoszenia ducha narodowego. Dołączył głos swój do głosów Osińskiego, Wężyka, Niemcewicza, Tymowskiego i innych i z niemi razem wzniosłymi hymny święty rozniecał płomień. Pięknaż to była chwila! Dostrojone do dźwięku broni i huku dział bratnich, grały wszystkie lutnie narodowe uroczystą pieśń zwycięstwa, powtarzały ją z całym ludem wszystkie góry, lasy, rzeki i mogiły polskie. Wszystkie świątecznie brzmiały hymnem dziękczynienia Bogu!

Wiadomy światu tryumf, wiadomą i klęska straszliwa. Wojsko, rząd, członki konfederacyi zmuszone do ustąpienia z kraju, zatrzymały się jeszcze na chwilę w Krakowie, gdzie z nowem wysileniem do nowego zbrojono się boju. Wszystkie serca i domy w Krakowie w grubiej zatonęły żalobie. Sam tylko rezydent francuski Bignon, jakby dla pokrycia smutnego rzeczy położenia, głośnie u siebie urządzał bale. Szli na nie zrazu jakby zmuszeni, szli z sercem zakrwawionem, gdy nagle z rosnącą wesołością dała się młodzież płci obojg porwać szalowi hucznej zabawy. Wieszcz nasz poważny z natury, oburzył się, i zwracając nieszczęście do przynależnego mu uczucia godności, skreślił wiersz na tań-

cujący Kraków. W kilka dni skreślił i drugi na zgon pocziwego człowieka, którego zwłokom nikt nie towarzyszył do grobu. Pierwszy był pełen złośliwego dowcipu, drugi rzewności. Oba te plody bezimienne wielki rozgłos zyskały. Dąsano się u Bignona, śledzono autora dotkliwej satyry, nikt przecież nie odgadł, nie domyślał się nawet, że były pióra Koźmiana, tak z toku i natury swojej niepodobne były do znanych wieszczów naszego płodów. Nie wiedziano, że prawdziwy poeta nie zawsze w jedną strunę uderza, nie nuży tożsamością, lecz umie gęśl swoją nastrojać podług osnowy, którą ma śpiewać, umie być rozmaitym, nie myślano, aby ów cichy, słodki i potulny Koźmian, takim gromem uderzył w krzywdzących wielką niedolę narodową.

Skreślił on jeszcze w tymże czasie i trzeci wiersz nadzwyczaj wzniosły, a w ostatniej strofie przesięgający prawie wszelką dotąd znaną wielkość liryczną. W niewymownym żalu, że nowy Cezar jego, przez dumę czepiącą się zwykle każdej wielkości, zmarnował tyle darów, któremi go Bóg obdarzył, potęgę w którą go uzbroił, w żalu tem cięższym, że pewne już i tak bliskie odrodzenie się całej ojczyzny w niwecz obrócił przez swoją pychę jedynie, wystawił upadek dumnego, lecz i w tym żalu idąc za wrodzoną serca szlachetnością, przez wygórowane uczucia wyższej delikatności, zachował plód ten w ukryciu. Przeczekał wielkiego męża kłęski, niewolę i śmierć. Przeczekał aż do chwili, gdy stanowczy wyrok dziejów przywrócił całą świetność jego sławie i wielkości, przeczekał od 1813 do 1839 r. z wydaniem tego wiersza na widok publiczny. Sądzę że tę

piękną wstrzemięźliwość dołączyć można do zasług jego charakteru i uczciwości.

Opuściwszy Kraków, schronił się Koźmian do siedziby uczonego Jana Tarnowskiego w Galicyi, gdzie korzystając z zmuszonego spoczynku, przełożył *Eklogi* Wirgilego, a pożegnawszy wreszcie i dom przyjaciela, wrócił do swojej ulubionej włości, do której zawsze niezbędny nęcił go pociąg. Chciał się zamknąć w zaciszy domowej, i kołem rodzinnego otaczając szczęścia, przestać na mierności i swobodzie niepokalaną duszy, kiedy już w 1815 roku powołany został na rektora akademii krakowskiej. Nikt zapewne godniej nie mógł stanąć na jej czele. Skromność przecie, wrodzona jego własność, do odmowy go skłoniła. Zdało mu się, że po Śniadeckich i Kołłątajach godności tej bez zarzeczności przyjąć mu nie wolno. Na inną więc drogę szukano sposobu odzyskania dla służby publicznej męża tylu zdolności i zasług. Mianowany został radzcą stanu w nowym składzie rządu królestwa Polskiego, prezesem delegacji administracyjnej, później dyrektorem generalnym krajowej w ministerium spraw wewnętrznych, a nakoniec i na krzesło senatorskie powołany został. Wówczas to w chwilach wolnych od pracy urzędowej dokonał *Ziemianstwa*, wówczas z polecenia Towarzystwa przyjaciół nauk skreślił życie Jana Henryka Dąbrowskiego, *biografię* Tadeusza Kościuszki i *Księcia* generała ziem Podolskich, uczył mową pogrzebową zwłoki przyjaciela Marcina Badeniego i Stanisława Mokronowskiego, zacnego i słynnego wodza z 1794 roku, którego nie mógł wyżej i słuszniej uwielbić, jak licząc go do szczupłego grona

tych prawych mężów, którzy składają sumienie narodowe. — Szczęśliwy, kto na taką pochwałę zasłuży, szczęśliwy kto ją nad grobem swoim z ust podobnych słyszy.

Okolony uszanowaniem i podziwem ziomków, Koźmian jednego jeszcze wieńca sławy jako wieszcz znakomity potrzebował i znalazł go. Wzbudził przeciw sobie niechęć i zawiść młodych pisarzy. Miał nieprzyjaciół. — Nowy, młody i genialny wieszcz nowym idącym torem zajaśniał wśród ludu polskiego. Sam głęboki znawca literatury greckiej i łacińskiej, byłby winną cześć oddając jęj zasłużonym naśladowcom, swobodnie i zgodnie obranym przez siebie dążył torem, nadzieję przeświadczenia i przemiany zostawiając czasowi. Bardziej nowość niż genialność jego pędziła zuchwałą mierność w ślady młodego wieszczka, która nie mogąc go doścignąć wystawiała się na pośmiech znawców. Koźmian przywykł do doskonałości swych wzorów, oceniał piękne prawdziwie miejsca w Mickiewiczu, podziwiał szczytne pomysły, lecz bolał nad tem nieładem i bezdrożami, nad zniewagą rozsądku, skażeniem języka i smaku, które w zarozumiałych jego widział naśladowcach. Śmiał wytykać niebezpieczeństwa danego kierunku, śmiał niechwalić niedorzeczności. Ci co obojętność względem siebie byliby za grzech poczytali, niedarowany widzieli występki w naganie, o której przecież z ubocza tylko zasłyszeli. Podszuwając się pod sławę Mickiewicza, zaczęli poniżać, szydzić z tak nazwanych klasyków, jątrzyć obie strony. Koźmian z natury cichy i spokojny, mniej baczył na te pigmejską wrzawę. W domowych on tylko dyskusjach szczerze zdanie swoje wynurzał, nikt w owym czasie

żadnego rymu szydzącego, żadnego wiersza druku nie mógł przytoczyć, którymby złe chciał zgromić publicznie. I on także chciał zostawić czasowi powrót do rozważań. Nic zabawniejszego nad te wówczas gazeciarskie zaczepki i szale zaciekle, na które przecież nikt nie odpowiadał. Miano innych wrogów do wyboru, uderzono w Koźmiana, bo mniemano, że tak potężny obalając posąg, całą dawną szkołę zetrze się od razu.

Ucichły od dawna te blahe zatargi w skutku przemian krajowych po roku 1830. Schronił się już po nich na zawsze Koźmian do swych Piotrowic, i tu dopiero rozpoczął życie do którego ciągle tęsknił, a które skromnym jego żądom i potrzebom najlepiej odpowiadało. Stłoczony klęską powszechną, chciał on zrazu roztrząsać na zawsze lutnię swoją i zapomniany przez wszystkich, zapomnieć i o nich. Ale i jedno i drugie miejsca mieć nie mogło. Nikt nie zubożył dla jego zasług i serca, ani serce jego nie ostygło dla pewnych i cnotliwych mężów, bo są węzły, które się nigdy nie rozrywają, kiedy są oparte na wzajemnej wartości i pocziwają, między stronami przeszłości. Wspólność nawet nieszczęścia utwierdza je, wzmacnia, a śmiercią rozerwane, jakby najpiękniejszym przekazane dziedzictwem, między młodszymi zawięzują się pokoleniami. Nie mógł przytem wieszcz nasz zniweczyć i zgasić w sobie tego żaru poetycznego, którym mimowolnie płonął. Nie wyśpiewał był jeszcze tyle uczuć wezbranych, nie wylał z siebie całej rzewności serca, nie wyobrażał wszystkich pomysłów rojących się w nim tak płomiennie. Przemogła potrzeba pisania i Bard nasz już ku sędziwości dążący,

ozwał się na nowo. Pierwszym przecież pociągiem jego pióra był list prozą w kształcie rozprawy do Bogumiła Linde, o stanie ówczesnym języka i literatury polskiej, później skreślił rys życia przyjaciela Jana Tarnowskiego, a później i generała Stanisława Małachowskiego, najobszerniej jednak rozciągnął się nad zasługami Biskupa, brata rodzonego. Jedne z tych pism wydane były na ulgę własnej boleści, drugie na zlagodzenie żalu rodziny, a wszystkie dla oddania hołdu zasłudze zgastych przyjaciół, jak bowiem cenić i kochać za życia, tak i nad zgonem zapłakać umiał.

Przyjaźń jego każda ten szczególny miała charakter, że z obu stron dozgonną była, nigdy nie słabiejącą, a tak chlubną, że kogo on zaszczycił nią raczył, ten w obliczu narodu za zacnego uchodził.

Szcześliwym trafem wziął się w tym czasie Koźmian do odczytania życia Stefana Czarnieckiego przez Krajewskiego, a choć już tylokrotnie je przebiegł, czy szczególnem zdarzeniem, czy rozważą nad podobieństwem obecnego położenia kraju z ówczesnym uderzony, nigdy silniej nie uczuł, że obraz przedstawiający czyny takiego właśnie męża najtrafniejszem do śpiewu może być wyborem. Mimo sędziwych już leciech, przedsięwziął wielki zamiar wykonać. Przebiegł Kochowskiego, Rudawskiego, Puffendorfa dzieła, rosła przed nim co dzień postać wojownika, coraz żywszym ojaśniała się blaskiem, stanął do odrysu przed wielkim wieszczem wielki bohater z całym bogactwem sławy i zasługi. Od dnia tego nigdy go z oczu nie stracił, całą potęgę ducha, wszystkie skarby serca, całą miłość ojczyzny ku cześci jego zwrócił, życie

swoje zlał z jego życiem. Ostrzegały go mnogie lata o długości podobnej pracy, odchęcało podzieranie pism jego, niepodobieństwo głoszenia go drukiem w kraju w którym mieszkał, wszystko przemógł zapał odmłodzony. Zdawało się, że dopiero teraz wstąpił na pole sercu i zdolności swojej odpowiednie.

Zajmującym był obraz naszego poety w ciągu siedm-nastoletniego odlewu tego posagu dziejowego. Zamknięty w włości swojej już do zgonu, odstąpił całej swęj własności synowi i obrał sobie najskromniejszą komnatkę w domu mieszkalnym. Zapełnił ją stółkami ksiąg, droższymi upominki, przybrał ją w ryciny wszystkich przyjaciół, z których każdą przyozdobił rymowym napisem. Nad łóżem zawiesił obraz ojca, nad stołem na którym pracował, piękny wizerunek Czarnieckiego. Tak żył ciągle w towarzystwie najśodszych pamiątek, umilających mu życie, wyczytywał w rysach swego bohatera ślady jego wielkich uczuć, poświęceń i nadludzkiej prawie niezłomności. Stworzył on sobie w tej komnatce świat z gruzów swojej przeszłości. Ukochał ją tą żalonną miłością, z jaką wdowa Hektora swoją małą ukochała Troję. Nie wydalał się z niej do zgonu, w niej marzył, zakreślał, szykował obrazy przodków historycznych, w niej rodzinnem otaczał się szczęściem, zacnymi sąsiadami, tam z stolicy uczęszczali godniejsi, tam daleki przyjaciel jak na uroczystość dążył. Codzień on przybyłym odczytywał dzienną swoją pracę, i ten co miał prawo wszystkich sądzić, wszystkich się radził. — Ileżkroć on pomny na swoją sędziwość zegnał się rzezywnym żalem z tém dziecięciem swojej myśli i serca,

Sądził za każdą pieśnią, że już jój nie dokończy, a przecież z tym zapalem zaczynał, jak gdyby przeczuwał, że dla chwały narodu Bóg mu coraz więcej dni doliczać będzie. Rosło więc z każdą chwilą dzieło iliadowego rozmiaru, przyspieszał je zapal, czuwały księgi historyków nad prawdą zdarzeń i charakterów. Był on bowiem z liczby tych pisarzy, którzy głęboko czują powinność wystawienia śpiewanego bohatera takim, jakim był istotnie, bez przybierania go w barwę nowszego czasu, bez nakręcania jego charakteru i czynów do potrzeb i opinii obecnej. Czuł, że wziąwszy na siebie wielki obowiązek przedstawienia męża narodu przed jego ludem i światem, wszystkich sił dobyć z siebie winien, aby w niczem nie zmniejszyć jego zasłużonej sławy, nie przyciąć jednego promyka jego nieśmiertelności.

Nie będę rozbierał tego niedrukowanego a celnego poematu naszego wieszczą, aby nie uprzedzać zdania czytelników. Naśladować nawet skromność autora, nie nadam pieśniom jego należnego im literackiego imienia. Zdaje on się na sąd ludu polskiego i od niego czeka wyroku i nazwy.

Będą zapewne, będą niezawodnie sporne z sobą zdania i krytyki ścierać się o wartość tego poematu. Każde ważne dzieło musi podobne wywołać spory. Jedni będą je może nadzwyczaj wynosić, dla drugich forma nadto trącić będzie starożytnym kształtem, inni nadto mów i opowiadań wyrzucać mu będą. Wszystkie poemata podobnego rozmiaru, od Homera zaczawszy, mniej więcej tym zarzutom podległy. Niektóre nawet przejść mu-

siały epokę pogardy i zapomnienia, nim sprawiedliwsi od przodków następcy powołali je znowu do życia i sławy. Zdarzało się i to wreszcie, iż kiedy lud jego rodzimy odmówił wieszczowi swemu wieńca mu należnego, obce narody hołdem go swoim wynagradzały. Ale jakkolwiek słuszne czynionoby zarzuty śpiewakowi Czarneckiego, nikt zapewne nie będzie śmiał mu zaprzeczyć potężnej zdolności, miłości ziemi rodzinnej, ognia świętego, bogactw obrazów, piękności poetycznej i pewnej majestatyczności zgodnej z wielkością przedmiotu. Nikt wreszcie nie zarzuci mu wykrzywienia historyi. Nie od rzeczy będzie może nakoniec zwrócić na to godnego czytelnika uwagę, że dzieło tak olbrzymiego rozmiaru a tak ciągle poetyczne i treści narodowej będące, szczególnie i wielkiej wagi zjawiskiem w każdej byłoby literaturze, tem bardziej więc może w naszej byćby niem powinno.

Po tylu wzniosłych lirykach, po dwóch wielkich poematach, po tylu pismach prozą i urzędowych zasługach, w wieku już dziewiątym krzyżykiem oznaczonym, miał wieszcz nasz prawo spocząć pod tyłu laurami, duch jego przecież tak był czynnym, umysł rojnym, siła niezłamaną, Bóg przytem taką go obdarzył czerstwością, że żaden dzień nie spłynął bez odliczenia nowego skarbu rymem lub prozą. Nigdy częścięć nie władał piórem, nigdy bardziej nie czuł potrzeby pisania. Został nam między inne z téj epoki rymami śliczny wiersz do autora Nieboskiej komedyi, najrzeczniejszy z wszystkich jakimkolwiek ułał, i drugi do zacnego plebana miejscowego, w którym przenosi się już myślą w nadziemskie krainy.

Odczytując teraz wiersz ten, zdaje się że prorockiem duchem przepowiedział zgon swój tak piękny, spokojny i religijny.

Zwyczajem ludzi w głęboką starość posuniętych, pociągnął on okiem po całej swojej długiej przeszłości, po ludziach których zaznał, po zdarzeniach których był świadkiem i w części współdziałaczem. Rozciągnął się przed nim ten rozległy obszar dziejowy z całą rozmaistością wypadków, sławy, nędzy, krwi, burz i tylu pogasłych gwiazd nadziei. Stała przed nim nie rozszarpana jeszcze Polska, poważne postacie osób znakomitych w narodzie, jego wielkie przymioty, błędy, rozpaczne powstania i zatrata. Bolała dusza jego nad ogromem tylu niedoli, bolała nad spaceniem historii ówczesnej nie dość rozjaśnionej jeszcze, bolała nakoniec i nad wyrokami obłąkaniej namiętnością opinii publicznej co do niektórych mężów. Bogaty doświadczeniem, silny przekonaniem, uczuł się nagle sumiennie obowiązany do wystawienia takiego obrazu, takiej prawdy, jaka mu się w duszy przedstawiała. Wziął się więc do pisania pamiętników. — Pisma podobnego rodzaju w innych krajach liczniej wychodzące, ścierają się z sobą sprzecznością zdań o wypadki, powody, charaktery osób działających, nim z tej ich niezgodności poważny dziejopis nie wydobędzie jądra prawdy rzetelnej. Różność stanowisk powoduje różność widzenia i sądzenia rzeczy ziemskich. Nie dziwnymby więc być powinno, jeżeli zdania Koźmiana o niektórych mężach, czynach i zdarzeniach z jego czasów, odmiennymi będą od istniejących, a między innemi i o stanie rzeczy w roku 1830. Życzylibyśmy może aby

autor złagodził niektóre zbyt ostro wyrażone twierdzenia, szanować je przecież musim. pomnąc na głębokość jego przeświadczenia, na prawdę uczucia, a zwłaszcza, że z tak pięknej, polskiej, bolejącej wypłynęły duszy. Trzeba było znać Koźmiana aby wiedzieć, jak niezłomnym był w swoich prawidłach tak moralnych, społecznych jak i literackich nawet. Wszędzie mu przewodniczyło owe Justum ac tenacem, od którego na krok nie odstępował. Miał on, przyznać musim, prawo do utworzenia sobie sądu oddzielnego choć z naszym spornego. Uważniało go do tego wiekowe prawie doświadczenie, zupełna wolność przez całe życie od stronnicych namiętności, spokojność i powaga każdego sądu w wszystkich jego pismach, a zwłaszcza ta uwaga, że nad grobem już stojący, syty sławy i niczego już od świata i ludzi nie żądający, pismo swoje kreślił. Na takich to pisarzy stronę, przeważa się zwykle historyk szukający prawdy. — A jakiegokolwiek było zdanie naszego autora względem tej epoki, skoro akt ten za narodowy uznano, nie odłączył się od krwi bratniej, poddał wolę swoją pod wolę wszystkich, a idąc z innymi na ofiarę, wyrzekł te pamiętne słowa: „Lepiej cierpieć z ogółem, jak z kilkoma triumfować.“

Po uzupełnieniu pism ostatnich płynęły jeszcze dni naszego starca tem nigdy nie zbaczającym korytem, które mu jego prawość wyręczała, ale i niestety, coraz powolniejszym prądem. Zsuwając się z wyżyn życia ku grobowi, spojrział na dno jego z spokojnością mędrca, nadzieją Syna Chrystusowego. Chyląc się podnosił, — słabiejac mężniał. Zawsze on zdrowem okiem na ziem-

skie spoglądał zaszczyty, a przecież im więcej zbliżał się do kresu, tem bardziej jeszcze drobniały, bladły lub nikły. Zamiast tylu słońc pogasłych, jedna już tylko została mu gwiazda i ta wystarczała za wszystko. Zdało się że im bardziej wzrok jego słabiał, tem jaśniej widział prawdę, im bardziej słuch jego tępał, tem bardziej słyszał owe potężne słowo Vanitas Vanitatum, a im więcej głos jego tracił na brzmieniu światowem, tem bardziej nastrojał się do zagrobowej z przodkami rozmowy. Jest coś majestatycznego w widoku prawego męża, w tak głębokie posuniętego lata. Jaka powaga oblicza, jaki skarb doświadczeń, jaki zbiór długich czasu jego dziejów, jaki na pochyłonych barkach ogrom jego przeszłości. Ileż to myśli, uczuć, nieszczęść, zwiedzionych nadziei duszę jego przemiotowało, kilka pokoleń groby go swemi obiegło.

Zaledwie oczom naszych wierzymy, że jeszcze do nas należy; że patrzym na świadka tylu wielkich zdarzeń z dziejów już tylko nam znanych. Każde słowo jego ma tyle wagi, każde westchnienie tyle boleści, każda ufność w Bogu tyle nadziei. Popęd serca i podziwu przynagła nas prawie do przykłonienia przed tą siwizną, która taką postać pokrywa!

Nadszedł wreszcie ten rok stanowczy, który miał zamknąć szereg lat tak licznych. Uczuł to nas starzec po stygnięciu życia i po tym głosie wewnętrznym, którym Ojciec niebieski wybranych swoich zwykł ostrzegać synów. Nie wyjawiał on swego przecucia, nie smucił innych wróżbą zgonu bliskiego. Zajrzał w najdalszą głębię sumienia, przeniósł się myślą przed tron Boga, i klękną-

wszy przed jego zastępcą, rozłożył przed nim całą księgę żywota. Cóż wyższego, coś uroczystsze nad ten obraz Sędziwca, zdającego sprawę z 80 letniego zawodu, co wstecznym przebiegając krokiem całą drogę życia aż do lat dziecięcych, zbiera po niej ulomność swoje, i rzewną pokorą miłosiernemu je Bogu podaje.

Któż zgoni jego myśl, kto wypowie uczucia téj chwili! Dusza zdolna tak wysokich uniesień poetycznych w świecie złudzenia, jakże górniej daleko szczeblować musiała po krainach prawdy odwiecznej. Widok starców podobnych, którzy dopiero co usprawiedliwili się Bogu, zacerpali z samego źródła prawdziwego życia, przyjęli chleb aniołów, nie przypominają nam Mojżesza zstępującego z góry Synaj, z czołem ojaśnionem jeszcze odbłaskiem Boga żywego, napełnionego Bogiem i Bogiem przemawiającego!

Mało mu już chwil odtąd pozostało, lecz i te jeszcze pracy poświęcił, najpocziwszej z wszystkich. Czując, że pisma jego najgłośniejszym po nim zostaną zabytkiem, ziębniejącą już prawie ręką, zebrał wszystkie pióra swego płody. Nie szło mu już o ostateczne ich wydoskonalenie, lecz o sumienne przekonanie się, czyli gdziekolwiek nie kazi je jaka plama fałszu, nieobyczajności lub niewiary. Nie chciał on, aby coś zmacanego weszło do tego królestwa prawdy, do którego rozszerzenia powołani są wszyscy pisarze, pojmujący wielkie swoje posłannictwo na ziemi. Złożył wreszcie na zawsze spracowane pióro, i upadł pod lat ciężarem, osłonięty cnotą, uzbrojony Najświętszemi Sakramentami, śmiertelne zaległ łóżę. Bóg dobry, pokojem jakiego

świat ten nie daje, ułatwiał mu przejście do wyższego życia, łagodną ręką rozwiązywał z wolna wszystkie węzły łączące go z ziemią, ojcowskim przywoływał głosem, i nakoniec dodał skrzydeł niewidzialnych do ulotu w krainy nieznane. Bez trwogi, bez cierpień prawie zakończył nasz starzec życie zgonem najspokojniejszym jaki kiedykolwiek widziano. Umarł 7-go marca 1856 roku.

Roztworzono wolę ostateczną, Nic już nie miał do dania prócz błogosławieństwa. Wzbronił okazałości pogrzebowych, mów pochwalnych, wspomnienia ziemskich zaszczytów. Nie dozwolił zapraszania na smutny obrząd, karawanu nawet na któremby zbyt widocznie zwłoki jego wywyższone zostały. Jak żył i umarł cicho, tak cicho i skromnie chciał się zsunąć do grobu. Spełniono jego wolę. Nie przewidział atoli, że okazalszy nad najświetniejsze pogrzeby hołd go oczekuje. Własnym nagłone popędem zbiegły się liczne kapłany z mnogimi tłumy okolicznego ludu, i na przemian rodzina, obywatele i włościanie nieśli na barkach swoich drogie zwłoki przez milową blisko przestrzeń do parafialnego kościoła.

Zacny, prawy i zasłużony starcze, półwiekowy twój przyjaciel rzuca ci na trumnę tę garść ziemskiej pochwały łzami serca zlanej. O czemuż nie możesz stracić na chwilę kryjącego Cię wieka, dla powiedzenia nam, jaką nagrodą Bóg uwieńczy zasługi twoim podobne! — Spoczywaj w pamięci twego ludu, spoczywaj w łonie tej ziemi, którąś tak ukochał. Jak ją przybrałeś w swoją piękną chwałę tak i ona grób ci daje z godłami zasłuzde twój należnemi, lutnią poety, wieńcem obywatelskim i krzyżem chrześcijańskim.

Ludwik Plater.

Smutna wiadomość obila się o serca prawe. Dzwon pogrzebowy ogłosił śmierć zacnego Ludwika Platara. Znowu więc jeden rycerz naszej ciężkiej walki legł na bojowisku, znowu jeden kamień z baszty ojczystej zapadł w przepaść wieczności. Nie ma już u nas szkół samo-domowych, każdy zmarły młodzian jest wydartą wszystkim nadzieją, każdy zgon wojaka, wytraconym orężem, każda śmierć starca przypomnieniem naszych wysileń, sławy, błędów, cnót i całego szeregu nieszczyć krajowych. Wszystkie nasze boleści tak są spokrewnione, że cierpieniem jednego wszyscy cierpiem, a tak posplatane z sobą, że dotykając jednę, dotykamy wszystkich. Minęły już czasy szumnych pochwał i pochlebstw pogrzebowych. Świat coraz w surowszą przybierając się postać, nie tylko ostrzejszym wzrokiem ściga żyjących, ale z każdym zadźwiękiem dzwonu żałobnego, w groźną sędziego obleka się tożę. My z słusznych powodów zwiększyliśmy te ostrość dla siebie. Nie wolno nam dla samych domów naszych ni żyć, ni umierać, nie same pokrewne serca sądzić nas będą. Surowość to, o ile nie przekracza pobbazania chrześcijańskiego, postępem być

może; sprostuje się przez nią droga działania. Czyny nasze obwarują się ostrożnością, nie będziem chęcią znaczenia bezcenic spraw publicznej, nie będziem szaleń płochości, najświętszych zabijać nadziei, chwila nawet pogrzebowa zyska nakoniec na prawdzie, zwiększy się jej uroczystość, godność, a więc i religijniejsze zostawi wrażenie. Przyznanie takich korzyści ostrym światu sądom w chwili, gdy mam mówić o zmarłym, dowodzi jaką wartość życiu jego nadaje.

Ludwik Plater był synem kasztelana Trockiego, pierwsza jego młodość spłynęła w Warszawie, a jakie w domu rodzicielskim zaszczerpiono w nim zasady, jakie duch publiczny rozżarzał uczucia, jak szlachetnym serce jego poddało się pociągom, poświęca najchętniej ten zapal, który go w 1792 roku ku ojczystym porwał szeregom. Zbyt młodość stanęła na zawadzie tak pięknemu popędowi, nie mogło serce rodzicielskie zezwolić na zniszczenie pierwszym trudem obozowym przyszłych domu i kraju nadziei.

Zawiedziona na nowo została w tej wyprawie świętna otucha wyjarzmiienia się z pod obcej i ciężkiej opieki, upadał gmach narodowy, a serce Ludwika najsroźszym rozdarte zostało ciosem. Ojciec jego nie odpowiedział tej wyższości silnego charakteru, tej doskonałości obywatelskiej cnoty, którą z takim rozmiłowaniem synowskiem dotąd w nim uwielbiał. Czy nie przypuszczał okropnych skutków sejmu grodzieńskiego, czy omamiony ułudą króla wymową, czy podchwycony podstępem i zastraszone groźbą wielowładnego wówczas ambasadora obcej potęgi, w chwili słabości dał się zmusić do przyjęcia kanclerstwa na tym

nies częstliwym sejmie. Potępiono czyn słabości, z żalem przecież nad człowiekiem, bo znano jego uczucia, przeszłość, wiedzano że nie żądza smutnej godności przywiodła go do tego kroku, widziano na koniec i tę rozpacz daremną, której wszelkie drogi cofnięcia zamknięto. Ale zbliżała się, przyszła na koniec chwila wielkiego zbudzenia się narodowego, a sam war zaburzenia po polskiej huczał stolicy. Słuszne i niesłuszne wyroki śmierci szerzą. Potwarz zawsze tak potężna, a w chwilach podobnych stojąca tuż przy toporze kata podaje swego jadu do oskarżeń ojca Ludwika. Kryje się trwożna przyjaźń, słabiej siła truchlejącej obrony, rośnie burza ludu i już ma gromy swemi uderzyć obwinionego, kiedy młodzieńczy jeszcze Ludwik stawia jej czoło. Rzuca się z taką odwagą w sam zamęt orkanu, nie uważa na groźby, miecze i mordem dyszących podżegaczy, najpotężniejszych dobywa sił rozumu, najgorętszych słów serca, i o wzorowy rozsądek i łagodności ludu! o cudzie synowskiej wymowy! Mięczy, przekonywa, zwycięża i ojciec ocalony! Nieznam innych czynów młodości Ludwika, lecz ten mi za wszystkie stanie i zaręczy. Wonnym dym podobnej ofiary wzniosłszy się aż do stóp Przedwiecznego, musiał opaść napowrót błogosławieństwem na głowę Ludwika.

Jeden krok w młodości silnie na drodze cnoty postawiony, zbyt często na całe życie stanowczym bywa. Piękność wspomnienia ratuje przyszłość naszą, nie łatwo podniósłszy się, zniżyć, uszlachetniwszy, zbezcznić. Miłość własna, uczucie godności, a nad wszystko rozkosz zakosztowana cnoty, utrzymują nas na drodze prawości i ofiary nam ułatwiają. Takim był udział Ludwika Pla-

tera. Nie dość mu było na jedném bohaterstwie, zapragnął drugiego, stanął pod rozwiniętym sztandarem boju rozpaczy. Jako przybocznik dzielnego jenerała Sierakowskiego, walczył pod Słonimem, Krupczycami, Terepolem a po nieszczęśliwej bitwie Maciejowickiej, przeszedł do sztabu Tomasza Wawrzeckiego, następcy Kościuszki.

Krew, łzy, więzy, zwaliska i mogiły pozostały jedynie z wysilenia całego ludu. Rozbite nadzieje domierały w sercach. Zapadłe nad całym narodem wieko grobowe tłumilo życia ostatki. Smutne boleści są wspomnienia owych czasów, bo nie tylko naród upadł, ale i godność, nieugiętość duszy polskiej. Nie nauczyliśmy się jeszcze byli długim lat przeciągiem cierpieć z godnością. Mało zwłaszcza wśród umłodzieży pozostałej w kraju wyższych widziano uczuć. Rozpacz ją zgłębiła, rozpacz od wiary odwiodła, rozpacz na drogę lenistwa i wstydnęj rzuciło wesołości. Do liczby nie wielu wybrańców należał Ludwik Plater. Mniej jak zdobytą, więcej jak zmiekkzoną i brudzącą się rzuciwszy stolicę, zamknął się z rodzicami w ich posiadłości na Litwie. Ciężyły szeroko prawa zdobyczy, godniejsze dusze w doli rolników szukały niepodległości spokojniejszej. Nie znano, nie dorozumiano się nawet wówczas, téj nowój wygórowanej zbrodni wypierania mordem z ostatnich zakątów życia domowego. Plater więc również, jak lepsza młodzież oddał się pracy rolniczej, podnosząc ją nauką, uczniając zwiększoną o wieśniaka troską.

Ale mijały lata, wojny i liczne przemiany europejskie. Walczono i znów stanowiono ugody, przychylniejsze nam nawet rządy z zdobywcami ziem naszych za-

wierały traktaty, o nas ani wspomniano. Zdało się, że gdy zorza nowego światła i życia z takim blaskiem rozjaśniła Zachód, spędzone ku nam ciemności grubą na ziemi naszej nocą zapomnienia legły. Wrzawa bojęw świata zagłuszyła skargę nieszczęścia, prawa całego ludu, odrzucono między drobnostki niegodne dyplomacyi rządów chrześcijańskich, i w tak to okropném położeniu, bez nadziei i ratunku, kilku mężów powzięło myśl zaciągnięcia się, pod zdobywcą nawet władzę, w ten rodzaj służby publicznej, któryby ziomkom najwięcej przyniósł korzyści, nowe w zgębionych zbudził życie i kiedyś może do narodowych przygotował usług. Oświata krajowa pierwszym ich działań była przedmiotem. Kierowali nią Czartoryski i Czacki w częściach przez Rosyą zajętych, Plater obowiązek wizytatora szkół przyjął na siebie. Jakie cuda korzyści stworzyło to znane przewodnictwo, ile zapału do nauk, ile szlachetniejszych uczuć wzbudziło, jak wzrosła świetna nadzieja z młodzieńcami Krzemieńca i Wilna, świadkowie tylko tych czasów wiedzieć to mogą, i żadna siła z księgi dziejów karty téj nie wydrze. Rozpogodziło się niebo nad tą bujnością przyszłego żniwa i godniejszym przynajmniej żyliśmy życiem. Ale nieznużonej gorliwości Platera praca ta nie była dostateczną. Wykształciwszy się wysoko w nauce wyższego leśnictwa, dał się powołać do zarządu lasów, niegdyś do rządu polskiego należących. Otworzenie nowego zawodu rodakom jedynym będąc jego celem, za pierwszy warunek położył przybranie samych ziomków za podrzędnych sobie pomocników. Przyjęto żądanie, aby obowiązek przyjął, lecz gdy już wszelkie ulepszenia

i nowy rozwinął porządek, niedotrzymanie przez władzę warunku stanowczego zmusiło go do podania się o uwolnienie i wrócenie znowu do ciszy domowej.

Wywołał go z niej rok 1812. Własna wola, prze-moc lub okoliczności daremnie często skazują wyższego człowieka na cichą skrytość, obwód ścięsniony. Nadchodzą zdarzenia, gdzie każdy zwraca się po czyn lub radę, tam gdzie jest światło i enota. Są chwile, gdzie każdy rząd, choćby nawet najmniej moralny, doświadczonęj prawości szuka. Odsuwa on na chwilę wstret lub nieufność, ulega potrzebie i godniejszy wybór czyni. Nieraz w życiu Platera dojrzymy téj prawdy. Dziwnym był los jego. Zawsze był i odpychany i przyciągany razem przez nieufną mu władzę. Zasługą jego było, że nie zrażał się jedném, nie udumniał drugim. Nad-szedł, jak rzekłem, rok 1812. Dwóch cesarzy na czele wojsk potężnych wyzywało się do walki światowej. Cesarz Północy, chcąc uskarbić sobie przychylność Litwinów, ustanowił komitet obywatelski, pośredniczący między jego wodzami a właścicielami ziemi, dla zabezpieczenia od nadużyć. Dołączył on i dalszy cel, mienia ciągle pod okiem znakomitszych Litwinów do tegoż komitetu wybranych. Ludwika Platera umieszczono w jego składzie, a gdy wojska rosyjskie cofać się zaczęły i komitetowi z nimi ustępować kazano. Po opuszczeniu zaś Litwy odesłano go do Petersburga, gdzie z taką nadzieją, uniesieniem a nakoniec i rozdarciem duszy dalekim być musiał świadkiem i olbrzymiego boju i wających się losów narodów, i świat głuszącego upadku.

Przybył nakoniec rok 1815. Dla silniejszego serc polskich zajęcia i poparcia tą nową siłą dążeń swoich na kongresie wiedeńskim, cesarz Aleksander to do tymczasowego rządu, to do przyszłej rady stanu znakomitszych, z ziem dawniej od nas oderwanych, wybierał obywateli i do Warszawy odsyłał. Młodzież Litwy i Wołynia przyjmowano w szeregach nowo tworzonych, przyszłych nawet polskich, z tamecznych stron, wskazywano nam Senatorów. Zdało się, że cała Polska zlewała się na nowo. Słowa monarsze do coraz pewnością uprawniali nadziei. Mimo tkwiącego w sercach niedowierzania, rosły przecieź te nadzieje, po tylu klęskach i zatratach tak łatwe do wyrozumienia. Nie dziw więc, że i Plater, powołany do Rady stanu, dzielił je z innemi. Szczęśliwy, że raz przecie w formach narodowych z ziolkami i dla ziolków publicznej poświęci się usłudze. Ale gdy już obrady kongresowe swego doszły kresu, gdy powtórna walką zgnieciony został olbrzym świat wstrząsający, gdy przyrzeczona ustawa konstytucyjna dla utwierdzenia wziętości europejskiej nowego monarchy nadaną była przez niego, z zdziwieniem naprzód, a potem ze smutkiem i rozpaczą ujrzano tych krótkich złudzeń gaśnięcie. Władza brata monarszego nie chciała ograniczyć się samém dowódstwem wojska, a przydany do nowego rządu dozorca rosyjski, przeciwne nowym prawom rościł żądania, codzień z śmielszą odwagą i zręcznością rozwijał podstępne dzieło niszczenia swobód nadanych. Nie ubliżając zasługom innych, śmiało rzec mogę, że Ludwik Plater na tém nowém bojowisku z celującym walczył męztwem

i godne swojej prawości odnosił z niej podejrzenia, zarzuty i groźby. Znana jego miłość pracy była tak wielką, że do kilku razem wydziałów powołany został, do zawiadowania lasami rządowymi, do dozorowania dóbr narodowych i do edukacji publicznej. Nie długo przecież ani w wydziale oświecenia, ani dóbr narodowych nie mógł pozostać człowiek, dla którego przepis niezbochną drogą, dobro publiczne ciągłym celem, a prawo religijnym prawie było dogmatem. Usunięto go z edukacji, a w zarządzie dóbr krajowych dany mu był za wpływem dozorca rosyjskiego następcą najohydniejszym słynny cynizmem. Nie jeden na podobną walkę wystawiony ulega, jak mówi, okolicznościom, inny broniąc niby niepodległości swojej, odsuwa się od dalszej usługi krajowej. Plater nie dał się zachwiać swojej gorliwości, nie lękał się utraty godności osobistej; z podwojonym zapałem poświęcił się zostawionemu wydziałowi lasów rządowych. Dopóki tylko w czémkolwiek mógł służyć krajowi, nie czuł się poniżonym. On pierwszy utworzył wyższe leśnictwo w Królestwie, to rozmiarem i uporządkowaniem, to kształceniem ku temu celowi młodzieży krajowej, to wydawaniem „Sylwana“, najlepszego wówczas pisma peryodycznego, bo najdokładniej odpowiadającego potrzebom. Ale jakkolwiek od miłych, bo usłużnych krajowi odsunięty został zatrudnień, jakkolwiek tak nadzwyczajną z natury czynność na tak ciasny skazano okrąg, były przecież chwile, gdzie potrzeba jego światła i pracowitości zmuszała niechętną mu władzę do przyzywania go do siebie. Ilekroć szło

o wyrobienie projektu do prawa, wymową i wyższem rozumowaniem popierania go na sejmie, Platera najczęściej na tej narodowej stawiano widowni, i wówczas mniemanych względów i łask chwilowych stawał się przedmiotem.

W skutku to podobnych zasług nadano mu godność senatora. Wybór ten zyskał potwierdzenie w pochvale narodu, choć razem z Platerem głęboko zasmuconego, przestąpieniem przy tej łasce form konstytucyi, w tym samym dniu przez monarchę zaprzysiężonej.

Tyle zalet, zasług a zwłaszcza potrzeba jego światła i nieznużoności, byłyby może skłoniły władzę wyższą do pojednania się z Platerem, ale przemożniejszą była jej nieufność i podejrzliwość drażliwa: do takiego nawet w końcu wyrosła wstrętu, że gdyby ostatni minister skarbu, twardym wówczas oporem prześladowcom Platera groźny, tarczą go swoją nie zasłonił, na zawsze byłby odepchnięty od wszelkiej nawet sposobności służenia krajowi. W tej to nie ustawniej walce i zdobyczej i odpornej przepracował dni swoje Plater aż do roku 1830, kiedy jedna noc listopada całą postać narodu zmieniła. Nowe życie wytrysło z bruków Warszawy, aż po ostatnich starć Polski zadrgnęło kończynach. Po wszystkich żyłach ciała narodowego zatętniła krew nawalna. Jakby na drugiej dolinie Józefata, żyjący jeszcze polskim życiem, łączyli się z wychodzącymi z grobów przeszłości. Wszystko zlewało się w jeden obóz ludowy. Te same wiatry co powiewały sztandarami Ty-szowców i Racławic, przez całą Polskę zawiąły. Nie zapomniał wówczas i Plater o swojej powinności. Nie

usuwał się, nie obliczał z trwogą i stratami, nie oglądał się na przyszłą zemstę możliwego zwycięzcy. Wysłany z starym i zacnym Kniaziwiczem dla popierania sprawy ziomek u nowego rządu Francji, wszystkie dni, nocy, myśli, czucia i kroki ku temu jednemu zwracał celowi. Zdawało się, że łączność interesów, świeżość wspomnień świetnych, współczucie całego ludu i głosy tak zacnych mężów wymogą jakieś śmiałe przedsięwzięcie. Polityka Francji w ciasnym zasklepiała się obrębem i Polska pod przemocą padła. Odtąd to Plater pozostał w Paryżu, dzieląc dolę szlachetnych wygnańców naszych, aby zaś w żadnej ofierze nie pozostał za ziomekami, co jeszcze posiadał z pozostałości ojcowiskiej poszło na łup zwycięzcy.

Czynność jego w tak smutnym nawet położeniu nowe działaniu swemu otworzyła pole. Gdzie tylko znalazła się potrzeba przemówienia za ziemią ojczystą, gdzie zdanie polityczne, błąd historyczny sprostować, nową myśl rzucić ku dobru wygnańców lub kraju wypadało, tam pewno Plater pracą swoją zapełniał pisma publiczne. Należał do twórców towarzystwa literackiego, do wspierania pracą i gorliwością każdego szlachetnego zamiaru. Lecz co mu szczególną i jemu właściwą nadawało wybitność, to ta łagodność sporne braci kojąca namiętności, to wszelki brak zazdrości, to nie należenie do nikogo, prócz ojczyzny, to zamknięcie się jedynie w cichą i użyteczną pracę, to pokój w boleści.

Ale zwykła u tylu wygnańców wróżba bliskiego zgonu, niezwykła tęsknota do ziemi rodzinnej i jego trawić zaczęła. Nie mógł już do pokrewnych sobie serc

powrócić, przytulił się przynajmniej do polskiej ziemi i popiołów przeszłości. O! z jaką radością rozpatrywał się on za swym przybyciem w twarzach naszych, jak rzewnym wiódł okiem po zostającym obyczaju polskim, po wnętrzu dworców naszych.

Łza jego radości witająca tę ziemię, może porównać się tylko z tą łzą wygnanego także Niemcewicza, którą to w Wielkiej Polsce po raz ostatni żegnał ostatnią Polski granicę. Nie odetchnął jeszcze z tej radości Plater, kiedy po tej pracy serca już nową dla siebie wymarza, układa i wydaje obszerne dzieło statystyczne tej części Polski, która go tak czule przyjęła, a ledwie co dokonał tego pisma, już nadgrobowa nawet jego pracowitość zbiera materiały do przyszłych jego pamiętników. Świadek tylu przemian, jakież bogactwo wspomnień byłby nam zostawił, a jak wszystko byłoby pełne prawdy pocziw! Pozazdrościły nam losy, śmierć nie dozwoliła tak miłej puścizny.

Liczne zasługi życia publicznego nie pozwoliły mi dotąd przyłączyć nie mniej ważny, choć skromny wieńiec cnoty domowej. Trzydzieści lat patrzący w Warszawie na jego życie rodzinne, piękniemi tylko duszę poilem przykłady. W wzorowych nawet domach za wzór je wskazywano. O! nie mało przyczyniają się te ciche zasługi do dania nieomylnego wyroku o mężu krajowym. Trudnym jest dojście do rzetelnej prawdy. Życie ludzkie tak tajemniczymi węzły i tylu sprzecznościami powikłane, miłość własna tak usilnie za dni naszych pokrywa błędy, tyle błyszczącą wybitności drobnym dodaje zasługom i zręcznym pozorem ćmi istoty

czynu. Ciągłe tylko pełnienie cnót domowych ręczy nam za szczerość publicznych, w każdym z domów naszych leży w skarbcu rodzinnym ten kamień probierczy surowo odróżniający, co było pobudką czynów publicznych, czy pochwała, czy sumienie, chęć znaczeń i wziętości, czy prawość obywatelska, niskość ziemskiego celu, czy uczucie religijne? Kto te co dzień, co chwila pełni obowiązki cnoty i ofiary, nigdy przez świat nie widziane, nie nagradzane pochwałą, ludziom obojętne, przez rodzinę nawet jego nigdy dostatecznie nie odpłacone, kto nieczym się nie zraża, dla drugich tylko żyje, przestaje na nagrodzie serca i w Bogu ufa nad wszystko, o! ten nie mylnie i w życie publiczne zaniesie tę prawość, miłość i łatwość ofiary. Wszystkie inne dowody o szczerości człowieka publicznego mogą być w części oparte na prawdzie, mogą też być i błędne, ten jeden nigdy nie zawiedzie.

Oto są dni Ludwika tak długie, pełne i w tak drobny zebrane obraz. Nie żąda odemnie skromność jego, abym mu wieniec wielkości spletał, nie żąda cień zacny, abym zapierał błędów od ludzkiej nie odłączonych natury, ale kto tyle jako mąż, ojciec, syn, żołnierz, urzędnik, senator, autor, wygnaniec i chrześcianin różnych do korony swojej zostawia zasług, kto tyle serca, duszy, umysłu, zdrowia, pracy i ofiar ciągle przynosił ojczyźnie, o! ten nie był pospolitym jej synem, ten przez całą przestrzeń Polski godny jest pamięci!



Ostatni pobyt Karpińskiego w Warszawie.

(Wyjątek z rękopismu „Moje wspomnienia“.)



Gruchnęła wieść po stolicy, że Karpiński w nią się zjawiał. Wzbudziła dość żywą ciekawość, ale tylko w literatach, poetach. Gdy przecież kilka dni upłynęło, a nikt go nie widział, wieść tę wzięto za fałszywą, i zagłuszona wreszcie tysiącem leących po sobie nowości, ucichła zupełnie. Nim śp. czcigodny Staszic obdarzył towarzystwo przyjaciół nauk wspaniałym gmachem na Krakowskiem przedmieściu, posiedzenia jego publiczne odbywały się na tak zwanych Kanoniach. Przypadło właśnie wówczas podobne posiedzenie, zebrała się mnoga publiczność, liczba nawet członków towarzystwa nie była szczupłą.

Wszedłem i ja za drugimi, a nie widząc w gronie uczonych żadnej nieznanej mi twarzy, tém bardziej się upewniłem, że wieść przybycia starego wieszczka zmyśloną została. Malowniczym był widok rzeczonego posiedzenia. Najznakomitsze damy stolicy zasiadały pierwsze ławy, za niemi różni dygnitarze, wojskowi, kapłani, uczeni, obywatele, a za tymi młodzież uniwersytetu. Miejsce, przeznaczone dla członków towarzystwa, odcięte było długim, wązkim i zielonym stołem, za którym

w środku siedział Staszic, ówczasowy prezes towarzystwa, cały czarno przybrany, z obliczem mędrca greckiego; po lewej jego stronie Stanisław Potocki, w bogatym futrze sobolowém, zrzuconém z jednego ramienia jakby dla odsłonięcia gwiazdy, na aksamitnym surducie błyszczący; po prawej zaś Staszica, Niemcewicz, to cieszący się każdą nową myślą czytających, to na drobnym świstku podający jakiś dowcip ołówkiem skreślony siedzącym przed nim damom. Obok Potockiego siedział, ile pomnać mogę, żyd Stern z Hrubieszowa, w szacie polskiego izraelity, z brodą czarno-rudawą, przy nim pułkownik Chodkiewicz, w mundurze sztabu gwardyi z rozpostartemi wzorami płatów, krajowym czerwcem ubarwionych, dalej i w drugim rzędzie reszta uczonych. Ściany przybrane były w popiersia sławnych niegdyś piórem mężów, w głębi zaś wielki portret Fryderyka Augusta, pędzla Bacciarellego.

Odczytał już był Staszic swoje zagajenie, zbliżał się i Potocki do końca rozprawy, kiedy w tém jakąś niespokojność ujrzałem na twarzy Niemcewicza, jakąś niecierpliwość, której sobie wytłómaczyć nie mogłem. Zrozumiałem ją wreszcie; zaledwie bowiem Potocki ostatnie wyrzekł słowa, powstał Niemcewicz i donośnym zawołał głosem: „Panie Karpiński, prosim między siebie, prosim zająć należne mu miejsce, zaszczycić nasze grono.“ Zwróciliśmy wszyscy oczy w stronę, którą Niemcewicz wzrokiem swym oznaczył i ujrzeliśmy przy drzwiach jakąś niską, potulną figurkę, która zawstydzona tak publiczném wezwaniem coraz głębiej chroniła się w swój zakątek. Trzeba było powtórnego wezwania

Niemcewicza, aby zmusić nareszcie Karpińskiego do udania się na miejsce wskazane.

Nie, nigdy nie zapomnę téj chwili, tak mię żywo zajmującej. Szedł powoli blady i wychudły staruszek, w zielony surdut z pętlcami przybrany, opierając się na grubej i wysokiej trzcinie z gałką kościaną. Pomieszanie jego było tak uroczém, kroki już drżące. Rozstępowano się wszędzie przez uszanowanie dla tego zgrzybiałego kochanka Justyny, dla téj osiwiiałej już sielanki, niegdyś po całym kraju tak brzmiącej!

Gdzież były te miłostki, które opiewał! Zdawało się, że przychodzi młodszym wieszczom zdawać tę lutnią starożytną, z narodowego jeszcze wystruganą jaworu, a z której tak serdeczne wywołał dźwięki. Uderzyliśmy oba z Brodzińskim w dłonie na przyjęcie go oklaskami, lecz czyli niezwykłość podobnego witania w towarzystwie, czy téż w części zapomnienie już wielkich zasług Karpińskiego, nikt oklaskom naszym nie odpowiedział. Powstało tylko całe towarzystwo uczonych za zbliżeniem się jego; wskazano mu miejsce w pierwszym rzędzie; obrał najskrytsze.

Przeminięło posiedzenie, Karpiński bocznemi wyszedł drzwiami, wszyscy wracali do domów, mówiąc o rozprawach, rymach czytanych, rzadko kto o naszym staruszkę. Dowiedziawszy się, że stoi w pałacu Chodkiewicza na Miodowej ulicy, udałem się z Brodzińskim wieczorem do właściciela domu, aby nas zaznajomił z Karpińskim. Poprowadził nas do jego pomieszkania, lecz gdyśmy już zbliżyli się ku drzwiom jego, zatrzymaliśmy się nagle i w najgłębszej stanęli ciszy, usłyszeliśmy bowiem

starca naszego, przygrywającego na gitarze i nucącego swoją piosnkę: „Rzeka w górę nie popłynie. Nie powrócą moje lata...“ Nie wiem, czy są w świecie dźwięki, któreby głębiej w duszę moją uderzyły, zwłaszcza téż, gdy przy końcu każdej strofy, wracał do owéj zwrotki:

Schylam się już do wieczora,
Już ja nie ten, com był wczora.

Kilka dziesiątków lat minęło, jak gdzieś tam na pograniczu Szląska słyszałem tę piosnkę po domach szlacheckich śpiewaną i dziś mi wróciła jako echo mego ranka i wróciła przez usta tego wieszczą, który ją z serca swego wydobył. Piosnka ta, tysiąc razy pielgrzymką swoją okrążyła Polskę całą, przebiła się przez wszystkie francuszczyzny, przez wszystkie burze, szczęki broni i znów tak świeża i wdzięczna, jak niegdyś. Jesienny to tylko listek z jego życia uleciał, a przecież tak uroczy, ileż to serca i prawdy w téj łzie, co na nim spoczywa, a w której tak oémione już odbija się niebo! Zaledwie ucichł, weszliśmy do niego. Ale jakież było nasze zadziwienie, gdy odwiedziny nasze nie zdawały mu się być przyjemnemi. Przyczyną tego w części była odwykłość już od świata; w części téż i ten niełatwy humor, o który sam poniekąd w pamiętnikach swoich się oskarża. Kilka chwil przecież, kilka słów przez Brodzińskiego wyrzeczonych, sprowadziły nagle zmianę, rozruchał się, jak to mówią, nasz staruszek, a naopowiadawszy się wiele o Warszawie, jaką była za jego czasów, i o której tak jeszcze sądził, jak w swojej prześlicznej elegii: „Powrót na wieś“, dodał nakoniec: „Wiele to

teraz rzeczy inaczej jak dawniej, moi panowie; wiele z tego, co widzę i słyszę, zdaje mi się nieco lepszém; rozumniejsze wychowanie po szkołach, świetniejsze gmachy stolicy, to nawet, co się za mojej pamięci tak ohydnie rozprzegało, zlewa się jakoś w mocniejszą całość, ale jak my mieliśmy nasze „*mea culpa*“, tak i wy je macie. Może to moje widzimisie; powiem przecież, że, jak mi się zdaje, naród ten jakoś nie z siebie, lecz obok siebie rośnie. Toż samo i z literaturą. Drzewo to, nie z Bolesławowego wyrasta już łanu. Grunt-ci to niby polski, ale słońce i powietrze pożyczane; i dziwnym zdarzeniem my starzy, figurujemy na własnej ziemi jakby egzotyczne planty. Pojmuję ja, że biorą od obcych, bo, kiedy pustki w własnej spiżarni, toć trzeba od innych pożyczać, ale i o oddatku myślećby trzeba i to z procentem, a tu nie zanoszą się na to. Mała to rzecz zapewne, ale i to mnie zboleć musiało. Byłem wczoraj zaproszony na obiad. Żeby też jedna potrawa, coby się po ludzku nazywała. Jakieś melszpajzy, plumpudyngi, pocziwa nawet sztuka mięsa w jakiś dziki przekabaciła się bifszytk, a wina, Boże odpuść, w jakichsiś rogatych kapeluszach, mankietach, same Francuzy, Hiszpany i Niemcy; nigdzie owe *hungaricum*, które jako z słowiańskiej wyrosłe ziemi, lepiejby się z naszą zgodziło naturą, i już z pradziadów naszych krwią się zlewało.

— Ale nie ma złego, coby na dobre nie wyszło — przerwał pan Brodziński. Nie mogąc zapewne pić tych kwasów w wielkiej ilości, zaniechano ogromnych kielichów, ustały dawne pijatyki.

— Prawdać i to — odpowiedział Karpiński — lecz jeżeli Polska wytrzeźwiała, czemu nie z wszystkiego, czemu opija się znowu obczyzną, gorszym nad wszystkie jadem. Ale źródło tego już tak dawne, że trudno je będzie zatrzymać.

Zgadalo się o nowych sztukach teatralnych. Podobal się niezmiernie Karpińskiemu *Samolub* Niemcewicz. „Otóż to — rzekł — z żywój natury wzięte. Nie znam ja teraz waszój stolicy, ale łatwo mi pojąć, że ten *Samolub* jest tu figurą miejscową, tyle w nim trafności i prawdy widzę. Spostrzegłem ja, że błędy nawet Francuzów mieć będziemy, którzy jakimś niepojętym trafem tak dowcipnie chwytają charaktery komiczne, a w tragediach skreślić ich nie umięją. Otóż wiedźcie, moi panowie, gdybym nie był starym, byłbym i ja się odważył na komedijkę prawdziwie polską, a wiecież zkądby był wziął treść do nięj? Oto po prostu z bajeczki Krasickiego. Zgadnijcie z jakiej?”

Bawił się staruszek czas niejaki memi i Brodzińskiego domysłami, rzekł nakoniec, że bajką tą są *Przyjaciele*, gdzie jeden drugiego z całą ufnością posyła w swaty do swojej Bogdanki:

..... Jakoż się nie lenił,
Poszedł, poznał Irenę i sam się ożenił.

Zajęło nas dojrzenie tak prawdziwój treści w drobnej bajeczce. Opowiadałem później tę anekdotę Malczewskiemu (autorowi *Maryi*), która tak mu się podobała, że w kilka dni przyniósł mi plan na tej bajce

przez siebie osnuty; nie słyszałem przecież, aby później zamiaru swego dokonał.

Odważyłem się zapytać Karpińskiego, czyli jeszcze czasem nie pisze wierszy, dodając, że każdy dźwięk jego tak mile byłby przyjętym.

— Wątpię bardzo — odpowiedział — co było w młodej duszy, to już wyśpiewała; a co później żalów i boleści przybyło, nadto by może obrażało, gdybym chciał z tego wiersze robić. Lepiej więc milczeć i jak to Krasicki mówi:

Osloniwszy się ciszą,
Patrząc, jak też drudzy piszą.

Zwróciłem w téj chwili uwagę jego na małą karteczkę, świeżo wierszami zapisaną, której zapewne ukryć zapomniał. — Błazeństwo! swawola! — odrzekł Karpiński. — Bawiły mnie te jednosylabowe rymy, które u was teraz w modę wchodzą i właśnie przed godziną zrobiłem je dla jednéj dziewczynki, co tu zawsze do mnie zagląda. I wziął owe wierszyki i odczytał nam:

Przyszłaś lubciu do mnie znów,
Kusisz oczkiem, wdziękiem słów.
Na urodzie twój się znasz
I ztąd z starém sercem grasz.
O! nie wdawaj się w ten bój,
Bądź ostrożnym, kwiatku mój!
Czynisz sobie ze mnie żart,
A ja może — stary czart,

Zachowawszy rymy te w pamięci, złożyłem je na papierze z myślą, że może już ostatnim barda naszego będą tworem.

Bylibyśmy jeszcze dłużej bawili u Karpińskiego, bo i nam tak błogo z nim było i on téż w towarzystwie naszym smakować się zdawał, gdy w tém nadszedł jakiś stary znajomy, kontuszowy jeszcze obywatel, na pogadankę zapewne wieczorną i maryasika, wszystko nawet do tego przyrządzoném się zdało. Pożegnaliśmy więc naszego wieszca, a ja z tym większym żalem, że nazajutrz na długo oddalałem się z Warszawy. Nie zastałem go już za moim powrotem. Z boleścią tylko serca dowiedziałem się, że ani towarzystwo, ani teatr, ani żaden poeta, głośniejszym nieco hołdem nie uczcił jego pobytu. Czemuż nie było tego kwiatu przedgrobowego rzucić mu pod stopy? czemuż nie umilić wieczoru życia tak zasłużonego? Czytałem w kilkanaście lat później o wystawném przez towarzystwo przyjęciu obcego literata, i z łzami przypominał mi się Karpiński.



ŚNIADANIE U DĄBROWSKIEGO.

(Wyjątek z moich wspomnień)

Jan Henryk Dąbrowski znanym jest dotąd jedynie z swoich czynów wojennych, nikt go nam jeszcze nie wystawił w jego codzienném pożyciu. Wkrótce, i bardzo wkrótce przyjdzie czas, gdzie już nie będzie tych, co go zaznali, rzućmy więc choć kilka rysów tego obrazu, który już blednieje w pamięci, a który najdalszym nawet rodu naszego potomkom miłym być może.

Dnia jednego po paradzie wojskowej w Warszawie, która co dzień za w. księcia na saskim odbywała się placu, rzekł Dąbrowski do nas kilku bliżej stojących: „Chłopcy, pójdźcie do mnie na śniadanie; wybyście woleli pobiedz do Szowota, ale nie, trzeba i starego odwieźć i pogawędzić razem. Dam wam śledzi, sera i wódki. Wszakże i tego nie zawsze bywało w obozie.“ Chętni wezwaniu posłaliśmy za nim; ale nimeśmy doszli do poczty, gdzie wówczas na pierwszym pięttrze mieszkał, już po drodze odznaczył się kilku rysami, jemu tylko właściwemi.

Księgarz Zawadzki miał wówczas sklep swój przy pałacu Stanisława Potockiego, przechodząc więc obok niego, wstąpił, popytał o różne dzieła nowo wyszłe,

rozповідаł różne anegdoty o dawnych księgarzach naszych, tak stałych jak i wózkowych, a nakoniec kazał sobie podać siedm dzieł wojskowych, każde innéj treści, i siedm egzemplarzy życia Czarneckiego. Nie dziwiły nas pierwsze siedm dzieł wojskowych, bo każdy z nas wiedział jak lubił czytać dzieła tego rodzaju, lecz pojąc nie mogliśmy tych siedmiu Czarneckich. Zdziwienie nasze bawiło go nie mało, rzekł więc po kilku chwilach: „Panie Zawadzki, tych panów jest siedmiu, dla każdego więc jedno dzieło militarne i dla każdego jeden Czarnecki. Odeszlij im to do ich mieszkania, ja za każdego rękę, lecz tylko do 1-go przyszłego miesiąca. Odbierają żołąd wtenczas, niechże zapłacą.“ I odwróciwszy się do nas, rzekł: „Chłopcy, effectivement wy musicie czytać i kampanie Fryderyka i marszałka de Saxe i Guiberta i tylu innych, ale nadewszystko Czarneckiego. Czarnecki i 30-letnia wojna nie odstępowały mnie nigdy w bojach. Wielkimi wodzami byli zapewne Zamojski, Chodkiewicz; ale podług mnie pierwszym hetmanem i takim właśnie, jakiegobyśmy najbardziej potrzebowali, był Czarnecki. Wielu z naszych mędrków zowie go tylko szczęśliwym partyzantem, ale przyjdzie czas, gdzie mu wymierzą sprawiedliwość. Trudnaż to rzecz ta sprawiedliwość na świecie, nie dość być wielkim, trzeba być uznanym za niego.“

Wyszedszy z księgarni, postępowaliśmy za nim zwolna; mówię zwolna, bo zawsze było trzeba coś poprawiać w jego toalecie, która do najnieszcześniejszych należała; to ostroga się odpięła, to szarfa nazbyt opadła, to pióro groziło upadkiem, jeden tylko pałasz

jakby z nim zrodzony, trzymał się dzielnie znajomego sobie boku, a jeżeli czasem jęknął po bruku, to jakby z żalu po téj kurcie, której już nie widział przy sobie.

Byliśmy już prawie na wchodzie do mieszkania Dąbrowskiego, kiedy nagle ujrzelśmy idącą ku nam poważną matronę i prześliczną obok córę. Udawały się zapewne na przechadzkę do Saskiego ogrodu. Wszystkie nas uderzyła piękność tak nadzwyczajna, a gdy jeden z naszych dla krótkiego wzroku chcąc bliżej w tak cudowne wpatrzeć się oblicze, zajrzał nieco pod kapełusz słońcący jęj wdzięki, krasna dziewica przybrawszy się nagle w surową dostojność takim go powitała marsem, że się aż cofnąć musiał. Stary nasz wódz uśmieł się serdecznie i rzekł: „Dobrze ci tak! Nieprawdaz, dodał, że nasze Polki mają coś właściwego sobie, jakąś godność wrodzoną, której nie łatwo zaimponować, każda z nich zda się mówić: a co mi zrobisz! Adjutantiki moje kiedy tylko mogły wybierały mi zawsze na główną kwaterę w marszu wioseczkę, gdzie zdala widać było przy dworcu kilka topoli włoskich, gdyż zawsze się trafiło, że tam był fortepianik i panienki. Otóż to w takich drewnianych dworcach, w których tylko sąsiedzka bywała szlachta a z których przez całe życie nie wyjeżdżano, chyba na imieniny jakie, święta lub odpusty, w takich, mówię, dworcach zdarzało mi się często bardzo spotkać panienkę tak zgrabną, tak pełną godności i gracy, tak mile naturalną i tak skromnie lecz gustownie przybraną, jak gdyby wśród najpiękniejszego, jak to mówią, świata wychowaną była. Często

dziewice podobne nie miały guwernantek i przez matki tylko kształcone były; matki dobre gosposie, pocziwe kobiety, zabite Polki, ale najmniej powołane do podobnego wychowania córek. Jak to być mogło? jak się to stało? nigdy pojąć nie mogłem. Zdaje się, że natura już im to nadała, a traf szczególny, instynkt, takt wrodzony rozwinął i dopełnił. Tém bardziej się dziwiłem, że takich zjawisk tylko w Polsce dostrzegłem. Ale co dziwniejszego jeszcze, że w żadném piśmie mówiącém o kobietach, w żadnym romansie, poezyi naszej, nie znalazłem tych odrębnych rysów, które same tylko Polki cechują, a przecież jest w nich coś innego zupełnie, jakiś w mowie, ruchu, spojrzeniu wyraz narodowy, przebijający się nawet przez francuzką salonową ogładę, jakiś wdzięk udzielny, który wszyscy widzimy, czujemy, kochamy, a przecież nikt go nam dotąd wytłumaczyć nie umiał. Pojąć Polki, jest to pojąć większą połowę narodu. Póki nie pochwycą ich znamion charakterystycznych, póty nie będziemy mieli poezyi narodowej. Będą to ideały niemieckie, francuzkie, ale nie Polki.“

Tu podciągnawszy nieco zbyt szerokie szarawary, wszedł na wschody i wkrótce ujrzelśmy się w pierwszym czyli służbowym jego salonie, gdzie zastaliśmy starych dwóch wásali po cywilnemu ubranych i oczekujących na niego. Jeden z nich był stary żołnierz, kaleka, drugi zdawał się być wyższej niegdyś rangi wojskowym.

Zwrócił się ku pierwszemu i taka między nimi powstała rozmowa.

— Kto ty jesteś?

— A ja z panem jednoralem różne landy deptałem.

— Gdzieś był?

— Najprzód, jak mnie od cesarskich zagarnęli, byłem u Francuza i zaraz biliśmy się tam... gdzie to... ale to człowiek już tych italskich przezwisk spamiętać nie może... hm... tam, gdzie to żubra zabito.

— Jak to? Żubra? W batalii żubra?

— Tak jest, JWy Jednorale, żubra.

— Ale zwaryowałeś, kochanku, gdzie żubry we Włoszech i któżby je w czasie bitwy gonił? — Wreszcie, uderzywszy się w czoło i głośno rozśmiawszy, dodał: — Zapewne, gdzie generał Joubert zginął.

— Tak jest, żubr, JWy Jenerale.

— No i cóż dalej, mój Żubrze?

— Potém do legionów nas transportowali i służyłem za naszych.

— W czyjój kompanii?

— Poplewskiego, JWy Jenerale.

— Poplewskiego?

— Tak jest, tego, co go to pod Trebią zagarnęli, jak Francuz zbankrutował.

— I czegoż ty chcesz, mój kochanku, zapewne pensyi? Trudno teraz o nią, zwłaszcza dla legionisty.

— Juźci, żeby dali, toby człowiek przyjął, aleć mogą się i obejść jeszcze bez niej. Mam przy zięciu przytułek, a na tabakę toć jakoś się zarobi. Ja tylko chciałem pana Jednorala zobaczyć i, Bogu dzięki, jeszcze nam dobrze wygląda. (Tu obejrzał się ku drzwiom, czy kto nie podsłuchuje.) Może téż, panie Jednorale, będzie kiedyś jaka zrywka, ruchawka, to stary Wawrzyn zawsze gotów do wojaczki.

— Jużci, że będzie, to będzie kiedyś, ale naprzód cicho o tém, a potem już my podobno tego obaj nie doczekamy, mój Wawrzynie, Bóg ci zapłać, mój stary, żeś mię odwiedził, masz tu talarka, idź do domu, a jak będziesz w prawdziwej biedzie, to przyjdź do mnie.

Pocałował go żołnierz w kolano i wyszedł szczęśliwy.

— A Waćpan czego chcesz? — zapytał Dąbrowski drugiego.

Ten, zamiast odpowiedzi, cało-arkuszkową podał suplikę. Rzucił Dąbrowski wzrok na podpis i papier.

— Waćpan — rzecze — chcesz pensyi?

— Tak jest, panie Generale, ojcie nas biedaków!

— Otóż z tego nic nie będzie. Byłeś złym kapitanem, złym ubiorczym, złym komendantem placu, złym dozorcą lazaretu. Bądź kontent, że się na dymisi skończyło. Ani słowa za tobą nie powiem, nic nie dostaniesz.

— Jakto, panie Generale! Ja, co 30 lat ojczyźnie służyłem!

— Właśnie dla tego, że jej 30 lat służyłeś! Cóż ci ta ojczyzna zrobiła, abyś przez tyle lat ją krzywdził, brał płacę, a tak niepoczcziwie się jęj odwodził. Bądź zdrow i proszę mię więcej nie nachodzić.

Zostaliśmy więc sami, przyniesiono zapowiedziane śniadanie, lecz z dodatkiem hultajskiego bigosu i barszczu w filiżankach.

— Jakże, czy dobry barszczyk? — zapytał Dąbrowski, wypiwszy swoją czarękę. Nie zawsze on tak smakował. Przypominam sobie, jak będąc w Medyolanie,

zaprosilem na wielki obiad najznakomitszych Włochów. Chciałem ich ukarać za niektóre figle, które nam płatili; mając więc kucharza, starego Polonusa, same im polskie potrawy przyrządzić kazałem a obiad umyślnie spóźniać, aby tém gorliwiej potem zajadali. Krzywili się z początku moi goście, ale częścią z głodu, częścią polską zmuszeni przynuką, żadnej nie opuszczali potrawy. Nie doszliśmy jeszcze połowy obiadu, kiedy jedni kręcić się, drudzy blednieć zaczynają, a nie czekając końca, wszyscy chwytają się za żołądki i uciekają jak szaleni. Co my się też wtenczas z Redlem i Pokoszem naśmiali! Stawamy przy drzwiach, zwracamy, prosimy, błagamy, gdzie tam! ani odwołać, ani uprosić podobna. Chorowało to wszystko przez kilka dni i myślało, że potruće. Przez całe trzy miesiące o polskim tylko obiedzie rozprawiano w Medyolanie, dodając: *barbara gente! barbara gente!* Mówią, że i Suwarów zrobił im coś podobnego, ale czy prawda, nie wiem.

Tu przeszedłszy się kilka razy około okrągłego stołu i spojrzawszy na butelkę gdańskiej wódki, rzecze:

— Szkoda, że temu staremu żołnierzowi nie kazałem dać choć kieliszek. Zabawiali mię oni nieraz ci żołnierze nasi, nie umiejący ani słowa po włosku. Idąc raz przez ulicę, widzę stojących naszych dwóch w sklepiu i o wódkę się pytających, ale nie podobna się porozumieć z Włochem. Różne im rzeczy wynosi, podaje, nigdy to, czego żądają, aż nareszcie po długiej umowie, znakach, migach, przynosi im wódkę. Zaledwie zawąchnęli, każą sobie nalewać, pytając, jak to się po włosku nazywa, na co Włoch: *Aquavita*. No patrz,

Jaśku, rzecze jeden do drugiego, jakto głupie Włozyska naszą okowitę przezwalały! Dobrze to były chłopaki a zwłaszcza kiedy jeść co miały; ale broń Boże niedostatku, bili się wprawdzie zawsze dobrze, ale też i mruczeli. Pamiętam jak raz jechałem wzdłuż maszerujących batalionów. Witano mnie jak zwykle moim mazurkiem; przecież gdy wszyscy śpiewali: *za twoim przewodem złączym się z narodem*, jeden wisus Krakowiak ozwał się: *za twoim przewodem wszyscy pomrzem głodem*, i nuż za nim drudzy powtarzać i całemi to śpiewać batalionami. Udawałem, że nie słyszę, konia puściłem w galop, a tymczasem zaczęła się bitwa, po której znowu wszystkiego było dostatkiem.

Wszczęła się rozmowa o kampanii 1809 r. Przypominano różne jej szczegóły, zaciętość Raszyńska, bohaterską obronę Sandomirza, śmierć Lubomirskiego, gdy wtém jeden z naszych przywiódł na pamięć radę wojenną w starym Modlinie po opuszczeniu Warszawy, gdzie Dąbrowski te tylko rzekł słowa: „moją radą oni do nas my do nich“ i wszystkich na swoją stronę przyciągnął i całą stworzył kampanią.

— Wszystko to prawda — rzecze Dąbrowski — ale bez wzięcia mostu pod Górą nieby z mego planu nie było. Siemiątkowski powziął pierwszy i to niezmiernie zrzęcznie wiadomość o niedokończeniu mostu, a Sokolnicki, któremu o tém doniósł, zrozumiał, że tu o każdą minutę chodzi. Ruszył więc natychmiast, zdobył szaniec przedmostowy i przeszkodził przejściu nieprzyjaciela na prawy brzeg Wisły, na którym jedynie działać mogliśmy; inny generał byłby się namyślał, raportował, pytał, le-

kał odpowiedzialności; on doniósł, że poszedł, a drugi raz, że zwyciężył. Dziwnym losem, tak zręcznego jak Siemiątkowski i tak spiesznego stanowczego jak Sokolnicki trzeba było w tém zdarzeniu, i obaj się znaleźli. Ale co do całej kampanii, powiem wam, czego może ani się domyslać, że rezultata jej byłyby dla kraju daleko ważniejsze, gdyby jeden człowiek nie był wszystkiego zepsuł. Przykro mi mówić o tém, gdyż jako żołnierz był najmężniejszym, jako Polak najgorliwszym, a jako człowiek najpocziwszym, najszlachetniejszym; was zwłaszcza hałaśne młodziki trzymał w ryzie i porządku. Tym człowiekiem był generał Fiszer, ówczesny szef sztabu głównego — tak jest Fiszer.

Tu uchylił drzwi do głównego salonu i zawołał:

— Basiu! Każ mi przynieść tę mapę, co na samym wierzchu u mnie leży, zaraz pod wierszami Molskiego.

Przyniesiono bezzwłocznie, a Dąbrowski rozłożywszy ją na stole, tak dalej mówił:

— Patrzcie, jak daleko Kamiński i Roźniecki byli się już posunęli w Galicyi, patrzcie, gdzie już za Lwowem byli! Otóż ten cały kraj byłby przyłączony do Księstwa Warszawskiego, gdyż w skutku układów późniejszych wszystko, co przez nasze wojsko zajętem było, do nas należeć miało. Nie było tak gwałtownego powodu do ściągania ztamtąd całej naszej jazdy, ale na nieszczęście, Fiszer wyzdrowiał z rany otrzymanej pod Raszynem, właśnie w téj chwili, gdzie Szaurot zbliżał się od Warszawy, ku obsadzonemu przez nas Sandomierzowi. Przeląkł się tak rozległego działania naszego wojska,

i mimo że Ferdynand, zaczynający się dopiero cofać od Warszawy, dalekim jeszcze był od przechodzenia na prawy brzeg Wisły pod Wisłoką, mimo że korpus Galicya, żółwim wprawdzie krokiem, zawsze przecież ku osłonie naszego lewego skrzydła postępował, mimo nakoniec wielkich zwycięstw Napoleona, które spowodowały arcyksięcia do spiesznego i koniecznego łączenia się z główną armią austriacką, i z kąd nigdy wielkiego postępu Ferdynanda na prawym brzegu Wisły lękać się nie wypadało, przecież Fiszer wpływem swoim tyle dokazał, że całą jazdę ściągnięto aż z za Lwowa ku Wiśle; i tak, gdy nadszedł pokój, nie mogliśmy już tego otrzymać, cośmy sami opuścili. Pytam się teraz, gdybyśmy nie byli tyle piechoty i jazdy zamykali niepotrzebnie w Sandomirzu, który cofający się na gwałt nieprzyjaciół po krótkim zajęciu musiałby był opuścić; gdybyśmy mieli San i Wisłę, po naszej lewej Galicya, a całą jazdę w okolicach Lwowa zebraną, zagrażającą tak okropnie cofającemu się nieprzyjacielowi, byłaby arcyksiążę wdawał się w tę bitwę nad Sanem również dla niego jak dla nas niepotrzebną, niekorzystną? Jakże to daleko ważniejsze skutki byłyby dalszych naszych operacji wojennych! Gdybym ja był wówczas w Trześni, nigdybym tego nie był dopuścił. Wiem ja zawczasu, że niejedną okrzyki się przeciw rozdwojeniu siły zbrojnej, lecz w tém położeniu rzeczy, jakie wówczas było, słusność na mojej byłaby stronie.

Kilka chwil jeszcze mówiono o różnych czynach waleczności, w téjże wojnie, to o zręcznym ukradzeniu nocnym nieprzyjacielskiego generała całem zasłonięgo

wojskiem, to o owęj markietance 2-go pułku piechoty, co z bronią w rękę szturmując z innymi do Zamościa, w obec wojska krzyżem wojskowym ozdobioną została, to nakoniec i o owym wołyżerze polskim, co za pozwoleniem wodza naczelnego przeprawił się przebrany za Wisłę, i tak dobrze wnął się do armii austriackiej, że nawet za masztalerza do arcyksięcia przystawszy, wszystko przejrzał, policzył i już dziesiątego dnia z najdokładniejszym raportem o sile i ruchu nieprzyjaciela stawiał się przed Poniatowskim. Przytaczano wreszcie tyle dowodów męstwa, tyle wyliczano zwycięstw, iż Dąbrowski rzekł nakoniec:

— Wszystko to prawda, moi panowie, biliście się walecznie, więcéj może nawet niż kiedykolwiek rozwinęliście życia narodowego, przecież mojm zdaniem nadto cokolwiek rozgłaszaliśmy nasze tryumfy. Mimo wszystkich naszych wysiłów i tylu pięknych czynów nie byłby tak łatwo i spiesźnie nieprzyjaciół ustąpił. Cofnął się on zupełnie, ale najwięcéj w skutku bitew Ratyzbony i Dunaju. Był tu onegdaj u mnie Niemcewicz i czytał mi bajkę swoją: *Gęś i osieł*, w której i rodzaj téj wojny i naszą przesadzoną chwałbę odmalował. Muszę go o nią prosić, dla pokazania jój wam. Wojna ta będzie sławną, ale nie z samego męstwa i zapału, bo nie raz już na świecie bito się tak walecznie, nie z planu, bo i ten w sobie nic tak bardzo oryginalnego nie miał, ale z tego umiarkowania wodza nieprzyjacielskiego, i obchodzenia się jego wojska z mieszkańcami, które do najrzadszych zjawisk należą. Żałuję bardzo, że nie znam osobiście arcyksięcia, musi to być najszlachetniejsza dusza. Ten tylko co był zdolny tak

śmiałego, godnego i prawdziwie książęcego czynu pod Ulmem, ten tylko mógł się zdobyć u nas na tak piękne umiarkowanie. Mamy wieńce obywatelskie, wojskowe, nie mamy odpowiedniego takiej sławie. Byłby to laur europejski, laur ludzkości. Szczęściem jest, że nie tak łatwo ginie pamięć czynów pięknych. Zapytajcie naprzykład tu w Warszawie każdego mieszkańca, każdą przekupkę, doróźkarza, co wam powie o Kellerze. Jakąż on godnością w oczach moich jaśnieje wśród tego rozhukanego na żydów pospólstwa w czasie procesyi Bożego Ciała! Jakże to trzeba było być ludzkim, szlachetnym, cnotliwym, aby słowa jednych ust i w takiej chwili wyrzeczone, tyle miały potęgi! Nie wiem, jakby Żandr a nawet ktoś wyższy wyszedł na miejscu Kellera.

Wspomnienie czynu arcyksięcia pod Ulmem naprowadziło nas naturalnie na rozmowę o honorze wojskowym, kiedy w tém drzwi się otworzyły i wszedł Wybicki. Po zwykłym powitaniu — O czemże to mówicie? — zapytał. — O honorze, — odrzekł Dąbrowski. Właśnie jeden z tych panów utrzymuje, że ani Grecy, ani Rzymianie nie mieli naszego wyobrażenia honoru, a przecież tak wielkiem wślawili się poświęceniam. Musi to być przecież coś wziętego z natury ludzkiej, kiedy tak szeroko, tak potężnie i tak trwale panuje. Pięknaż to gwiazda tak uroczym przyświecająca blaskiem wiekom rycerstwa. Wreszcie moi panowie, ileż to ludzi znamy, którzy wszystko w burzy życia stracili, cnotę, religią, moralność, a przecież honor ich jeszcze jakkolwiek na lepszej utrzymuje drodze. Czemuż im odejmować tę ostatnią deseczkę ratunku? Wreszcie, któż wie czy

teraz właśnie nie jest on najpotrzebniejszy, odkąd wszędzie tak sprawiedliwie równość w obliczu prawa zaprowadzają. Pan Wybicki i stróż jego, w twarz uderzeni, równą i tą samą od prawa zyskują satysfakcyą, przecież nie jest w nich równem zupełnie uczucie obrazy, które zawsze w wykształconym człowieku silniejszym będzie. Otóż w takich razach honor znajduje się tą drogą, która dopełni tego czemu prawo nie wystarcza, i wystarczać nie może.

— Wszystko to pięknie — rzekł Wybicki; powiem wam przecież, zem i ja raz z jednym proboszczem mówił o honorze. Nie mógł on nigdy pojąć tego, jak mówił, nowo wymarzonego uczucia, którego śladu ani w starym, ani w nowym testamencie nie znalazł. Utrzymywał on, że ludzie zawsze popsują to, co Bóg zrobił, i tak Bóg stworzył wino i cnotę, a oni honor i piwo. Jedno jest niezrozumiałem, a drugie niemieckim mętem.

Śmialiśmy się serdecznie z tak trafnego porównania pocziwego proboszcza, gdy Dąbrowski z założonemi w tył chodząc rękami, stanął nagle i tak się odezwał: „Najdziwniejsze w téj mierze zdarzenie zaszło u mnie w legionach. Miałem dwóch oficerów w jednym batalionie razem służących, którzy bez siebie żyć nie mogli. Razem zawsze mieszkali, na wszelkich przechadzkach, zabawach, nigdy nie widziano jednego bez drugiego. Gdy jeden z nich na niebezpieczne stanowisko lub wyprawę był wysłany, trzeba było i drugiemu zezwolić na dziełenie z nim niebezpieczeństwa. W bitwach z oką prawie jeden drugiego nie spuszczał, tak iż przyjaźń ich stała się niejako przysłowiem w legionach. Raz nawet

w pewnej bitwie obaj ranni byli i obaj w prawe ramiona, jak gdyby niebo samo podobnym obudwóch znamieniem nacechować chciało. Zresztą byli to młodzieńcy najuczciwsi, najszlachetniejsi i sławnie waleczni. Przyjaźń tak gorąca i niezmienna trwała przez lat wiele i nikt nie pomyślał nawet, aby kiedy zakłócić się mogła. Zakłóciła się przecie. Dnia pewnego przed świtem przychodzą obaj do jednego z oficerów z prośbą, ażeby im w rozprawie honorowej, w której jeden z nich musi umrzeć koniecznie — służył za świadka. Ten wzięwszy to naturalnie za żart ułożony, wzajemnym też odpłacał im żartem. Gdy jednak w ciągu dni następnych z tą samą zawsze i coraz żywszą powracali próbą, silnym naleganiem o istocie rzeczy przekonany, wszelkich do zgodzenia ich wzywał sposobów, lecz wszystko nadaremnie. Tém trudniejszym było ich pojednanie, że mimo próób, błagań i gorących zaklęć, żaden przyczyny sporu wyjawić nie chciał. Lecz co najdziwniejszego w tym względzie, że nie mogąc między swymi towarzyszami broni skłonić żadnego do przyjęcia w tak smutnym i nadzwyczajnym zdarzeniu roli świadka, ciągle jeszcze przez miesiąc cały aż do ostatecznego rozstrzygnięcia téj sprawy razem mieszkali, razem wszędzie chodzili i czulszą jeszcze niż dawniej zdali się kochać przyjaźnią, jak gdyby myśl tak bliskiego i strasznego rozdziału wzmogła jeszcze siłę ich przywiązania i rzetelność troski. Nadszedł nakoniec dzień stanowczy, gdzie w towarzystwie uproszonego przez nich cudzoziemca z zachodzącym już słońcem udali się nad rzekę. Długo i długo jeszcze w niejakiem od świadka oddaleniu roz-

mawiali z sobą. Nie było tam widać żadnej oznaki skarg, wyrzutów, żadnego uniesienia, zapалу. Niekiedy tylko czułe ściśnienie ręki i łza w oku błyszcząca tkliwszą ich rozmowy zaświadczały rzetelność. Po silnym wreszcie i długim uścisku wziął jeden z nich dwie drobne słomki, jedną krótszą, drugą dłuższą, i wyrównawszy ich końce nad dłoń wystające, podał drugiemu do wyboru. Starszy nieco wiekiem wybierał i wybrał trawę dłuższą, która była wyrokiem śmierci. Straszliwa zwykle uroczystość chwili podobnej okropniejszą jeszcze nasiąkała tragicznością przez ten charakter nadzwyczajności, który odtąd przybrali na siebie. Żadna łza — żaden wyraz żalu — żadna zmiana twarzy — jakaś zimna, rozdzierająca rezygnacja — dziwna, trupia, nieznośna spokojność, jakaś niepojęta wiara w konieczność śmierci, władały nimi jedynie. Słowa nawet jednego nie rzekli do siebie. Mający umrzeć zdejmował z siebie szaty, a gdy zdał się niecierpliwie oporem niektórych części ubioru, drugi mu do ich zdjęcia dopomagał, szukał nawet okiem największej przy nadbrzeżu głębi i tę mu wskazał z daleka. Rozebrał się nakoniec pierwszy, stanął nad brzegiem i raz jeszcze spojrzawszy po świecie, długi i żałośny wzrok wrył w przyjaciela, kiedy nagle dał się słyszeć krzyk nadbiegających z miasta oficerów. Rzucili się sobie wzajem na szyję, oderwał się starszy, wskoczył w rzekę i zniknął.

Nie przeżył drugi po nim i miesiąca jednego nawet. Ranka jednego znaleziono go umarłego w łożu. Z pozostałych papierów najdrobniejszego nie było można utworzyć domysłu. Nikt w całej okolicy nie słyszał

o żadném zdarzeniu, kłótni, najmniejszym nawet powodzie do nieporozumienia. Żadna piękność miejscowa żalobną nie okryła się szatą. Z śmiercią obu przyjaciół znikła na zawsze okropna i niepojęta ich sporu tajemnica.

Byłby dłużej jeszcze Dąbrowski rzecz tę prowadził, kiedy nagle wejście generała Kuruty przeszkodziło temu. Pzybył on z doniesieniem o ważnej zmianie w kroju pantalonów i sznurowém po wszystkich szeregach jazdy wyrównaniu wąsów. A że wyrok ten stanowczy i nieodmienny natychmiast na niektórych kompaniach miał być wyegzekwowany, przeto i Dąbrowski na ten uroczysty obchód na plac Brühlowski zaproszony został. Z wyjściem generałów rozeszli się wszyscy.



RYS Z ŻYCIA NIEMCEWICZA.

(Wyjątek z moich wspomnień.)

Po ostatnim swoim powrocie z Ameryki osiadł Niemcewicz na zawsze w Warszawie. Wrócił z całym urokiem tyloletnich nieszczęść i sławy, jak Polak wzorowy, jak wieszcz wówczas najwięcej narodowy, jak więzień petersburski, towarzysz i przybocznik Kościuszki i wreszcie jako obywatel wolnej wówczas jedynie Ameryki. Wrócił z dawną lutnią w ręku tak znaną narodowi i tak stęsknionemu do niej. Otaczano go też czcią powszechną, wskazywano za przykład, z zachwyceniem słuchano jego dźwięków smętnych, serdecznych, polskich. Cieszył się Niemcewicz na widok tylu młodych talentów, a zwłaszcza tego zapалу, z którym uczeńsi rodacy rzucili się do obrony mowy rodzinnej i rozkrzewienia nauk. Narzekał tylko na brak wszelkiej krytyki, jako potrzebnej do nadania należnego kierunku rozwijającemu się życiu literackiemu. Gorliwie do niej zachęcał znane już w piśmiennictwie polskim zdolności. Zbytńia atoli drażliwość nie przywykłych jeszcze do krytyki autorów, stała na przeszkodzie. Jedni bali się przytłumiać twórczego płomienia, który dopiero iskrzyć się zaczynał, drudzy zabijać w zarodzie wykluwające się dopiero talenta.

Nie brakło wymówek. Żadne rozumowania, zachęty, przykłady innych literatur nie pomogły. nikt nie chciał sądzić, aby nie być sądzonym.

Nie zupełnie przecież bez skutku były te rady i zachęty. Zjawiła się w kilka dni potem najzjadliwsza krytyka w jednej z gazet warszawskich, pełna wyższego sądu, ale zarazem i szyderstwa dotkliwego. Krytyka ta padała na pisma Niemcewicz a samego. Zaledwie oczom wierzyć chciano, że na ulubieńca narodu tak raniące rzucono pociski. Oburzenie stolicy było powszechne, zwłaszcza że krytyk nadzwyczaj dowcipnie podchwycił jako śmieszności osobiste wszystkie przed publicznością głoszone w przemowach Niemcewicz a wymówki, iż umysł skolatany tyłu klęskami, więzieniem, wygnaniem i stratą ojczyzny, nie da mu tak wydoskonalić płodów jego jakby należało. Powstał więc krytyk przeciw tym wygodnym dla lenistwa ekskuzom i z całą wyszydził je złością. Szukano, domyślano się i Bóg wie kogo posadzano o ten utwór niegodziwy. Zdało się, że cały lud polski obrażono w jego ukochanym wieszczu, wzorowym patryocie; i to w pierwszym jego po tylu niedolach wytchnieniu, w pierwszej chwili przytulenia się do tej ziemi rodzinnej, za którą tyle ucierpiał. Najgorliwszym obrońcą zdeptanego na miazgę Niemcewicz a okazał się Chodkiewicz, znany jako chemik, poeta, a później pułkownik i senator. Rozżalenie jego było bez granic, a gniewne uniesienie tak wielkie, że na śmierć z krytykiem bić się postanowił. Gdy przecież wszelkie poszukiwania stały się daremnymi i nie odkryto zbrodniarza, ciskającego się na męża czci powszechniej,

Chodkiewicz powziął myśl publicznym okazem wynagrodzenia mu tej krzywdy. Zbiera więc liczną deputacyą, złożoną z uczeńszych stolicy mędrców, stawia na jej czele i przewiódłszy ją przez celniejsze miasta ulice, wchodzi z nią do Niemcewicz a. Uderza ich jego smutek głęboki, przygnębienie i jakaś niechęć do wszystkiego, co naturalnie biorą za skutek niegodziwej krytyki. Z większym więc jeszcze żalem oznajmiamą mu swój udział w jego tak słusznym oburzeniu, pocieszają go przygotowanymi ku temu mowami, unoszą się nad jego tak rozliczną zasługą, pełnym potokiem łez leje się ich boleść, lży już dalej mówić bronią.

Łatwo wyobrazić sobie, z jaką uprzejmością i czu ciem przyjął Niemcewicz ten wyraz hołdu publicznego z ust tylu znakomitości stołecznych. Zdało się, że zapłacie z wdzięczności. — Wystawcie sobie, rzecz, bezczelność zuchwałego pismaka, który nie przestając na druku, sam oryginał swojej krytyki przesłał mi na pamiętkę. Nie jestże to największym szyderstwem, pogardą? Prawda, że pisma moje pełne są błędów i niedbałości, lecz nie należało przy wypowiedzeniu prawdy więcej miary zachować w naganie? Otworzyła mi oczy ta krytyka i widzę, że już nadal pisać nie należy. Któżby mnie odtąd chciał czytać? Przebaczenie, że was tyle nudził. — „Gdzież jest ten oryginał, gdzie? — woła rozjadły Chodkiewicz — niech wiemy, kto nas wszystkich skrzywdził w Niemcewicz u?“ — Oto jest — rzecz Niemcewicz z ławym głosem, podając papier leżący na stole. Cisną się wszyscy, wytrzeszczają oczy na owe *Corpus delicti*, kiedy wtem nagle spojrzą po so-

bie i jednoznacznie zakrzykną: „a wszakże to ręka samego pana Niemcewicza!“ — Tak jest, moja — odpowiada wieszcz nasz z uśmiechem. Przepraszam za wybieg: Sam napisałem na siebie, dla dania przykładu jak najzjadliwszą nawet krytykę dla dobra literatury znieść należy. Zdziwienie więc i osłupienie było ogólném. Rozpogodzone oblicze autora i śmiech jego serdeczny rozweselił wszystkich. Cieszono się z omyłki, wieść o dowcipnej mistyfikacji rozbiegła się po całej Warszawie, śmiano się z pocziwego Chodkiewicza, ścigano go złościami epigramatami, których jednakże nie umiał znieść tak spokojnie, jak go piękny Niemcewicz nauczał przykład.



Anegdoty o Krasickim.



Nie wszyscy mamy chęć, sposobność i nie wszyscy jesteśmy w stanie pisania pamiętników; rzadko się przecież znajdzie taki, któryby od ojców swoich nie słyszał jakiego zajmującego zdarzenia, jakich dowcipnych odpowiedzi dawniejszych osób, jakich powieści gminnych, miejscowych, familijnych i jakiego nakoniec opowiadania dawnych czasów, które dotąd rozproszone giną marnie, umieszczone zaś w jakim piśmie peryodyczném, ułatwiałyby skreślenie charakterystyki osób i wieku. Radbym zwrócił uwagę ziomków moich na ten nowy skład ojczy-
stych skarbów, które bez wielkiego trudu wydobyćby się dały. Mnogie byłem uzbierał w téj mierze foliały, zaginęły one skutkiem ostatnich zaburzeń. Pojedyncze tylko zostały mi w pamięci anegdoty, z których dziś niektóre z Krasickiego życia jako dotąd może nie znane, przesyłam redakcyi.

Długo Krasicki bywał ulubieńcem tak Stanisława Augusta, jak i Fryderyka wielkiego. Za przybyciem jego do Potsdamu, przeznaczył mu Fryderyk pokoje, które dawniej Wolter zamieszkiwał, mówiąc, iż czyni to

dla wzbudzenia w nim natchnienia do nowego dzieła poetycznego. Utrzymują współcześni Krasickiego, że, wierny wezwaniu króla, celniejszego z dzieł swoich tamże dokonał, a monarcha nieraz z żartem oświadczał, że i on jest w części twórcą poematu polskiego. Znana nam jest dowcipna odpowiedź Krasickiego, dana Fryderykowi względem obciętego płaszczyka. Słowem, wszystkie nam znajome szczegóły pobytu jego w Potsdamie, dowodzą, ile miłym był królowi i jak swobodnie tamże przepędzał chwile. Raz przecież, nie pomnę, czy z Warszawy, czy też z Potsdamu, mniej zadowolony wracał do Heilsberga, a przez czas popasu w jednej wiosce, przechadzając się blisko wodnego młyna, takie na nim skreślił i zostawił wierszyki:

Życie u dworu jak woda przy młynie.
Wznosi się, szumi, upada i ginie.

Krasicki w czasie pobytu swego w Warszawie zapraszał nieraz na obiady celniejszych wówczas poetów. Na jednym z tych wszczęła się rozmowa o wpływie poezji na życie narodowe. Przyznawano Krasickiemu, że walcząc bronią śmieszności z wielu przywar kraj swój uleczył. „Może być“, rzekł Krasicki, „lecz cóż dotąd uczyniono na wykorzenienie gęszczących się zbrodni? Gdybym miał siłę i czerstwość stylu Naruszewicza lub Trębeckiego, nie małobym był gromów naciskał. Wstydem jest prawdziwie, że dotąd nic dość jędrnego w tej mierze nie mamy.“ „Mamy“, zawoła Dmochowski. „Znam ja wiersze na podłą i przedajną duszę, którychby nam każda pozazdrościła literatura:

Mały złodziej wart chłosty, lecz ten co kraj zdradza,
Lubo tyle za sobą hańb, sromot sprowadza,
Iż owe sławne sosny z nadbrzeża Pilicy
Jeszcze małe do składu jego szubienicy;
Przecież filut, wisielec, na co patrzeć zgroza,
Nosi wstęgi na szyi, co warte powroza.

To Juwenal! Krzyknie Krasicki. — Nie Juwenal, rzecze Dmóchowski, ale Krasicki, który tyle pięknych dzieł utworzywszy, mógł kilku własnych wierszy zapomnieć. — Jeśli istotnie są moje i zapomniałem ich, odpowie Krasicki:

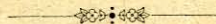
Chylącego się wieku zwykle to przywary,
Wzniosłeś mnie jak poetę, przypomniał, żem stary;
Słabym tylko płomyczkiem dawny ogień pała,
Zerwana już ta strona, co dźwięk ten wydała.
Niegdyś rzeka spieniona, dziś strumyk wążutki,
Pomruczeń tylko mogę i to na czas krótki.

Ktokolwiek przed czterdziestu laty po naszych jeździł drogach, pamięta zapewne ich stan nieszcześliwy, a zwłaszcza owe wązkie grobelki i węższe jeszcze na nich mostki. Zawsze prawie była przed mostkiem kałuża, za mostkiem kałuża, bałe zaś prawie nigdy nie przybite, tak iż koniecznie trzeba było samym środkiem mostku jechać, aby się nie przeważać i nie wpaść w błoto po uszy. W tak smutném właśnie położeniu zastał starego szlachcica Krasicki objeżdżający swoje dobra biskupie, a rozkazawszy służącym wydobyć mały wózek, tak się odezwał do podróżnego: „złe, panie bracie, mamy drogi, a gorsze pono jeszcze mosty.“ — Ita est, reverende domine, odpowiedział szlachcic nieznający Krasickiego. Noster episcopus est bonus episcopus, sed malus pontifex.

Zaproszony raz został Krasicki na łowy, gdzie w gro-
nie polujących znajdował się i Stecki, kawaler Maltań-
ski, znany z nadzwyczajnie krótkiego wzroku. Kiedy
więc wszyscy zajmowali swoje stanowiska w kniei, wy-
znaczono i dla Steckiego jedno, najmniej znaczące, z pe-
wnością, że żaden zwierz na niego wyjść nie może. Lecz
jakież było wszystkich zdumienie, gdy wśród powsze-
chniej jeszcze ciszy usłyszano nagle strzał w stronie Ste-
ckiego a po nim krzyki przeraźliwe. Pewni, że kawa-
lerowi naszemu zdarzyło się nieszczęście, biegną ku nie-
mu z przestrachem, który wkrótce w najweselszy się
śmiech zamienił. Zaledwie bowiem stanął Stecki na
swojem miejscu, usłyszał jakiś szelest w krzaku a pe-
wny, że w zwierza uderzy, strzelił i w miejsce trudne
do wymienienia, śpiącą tam babę ugodził. Nagrodzono
sowicie babinkę, zaledwie draśniętą, a Krasicki natych-
miast następujący improwizował czworowiersz:

Przyzwyczajony do wojny tureckiej
Pięknie się spisał nasz kawaler Stecki;
Jakże w nim widać odwagę maltańską,
Choć sam — uderzył w Portę otomańską.

KILKA SŁÓW O TREMBECKIM.



Zdarzyło mi się przed kilku miesiącami widzieć Polkę, która w pierwszej swjej młodości знаła Trembeckiego. *) Łatwo pojąć, jak starannie wypytywałem ją o wszystkie szczegóły, dotyczące się naszego poety, których tem bardziej byłem ciekawy, że tak mało nam dotąd o nim powiedziano. Niewiele i ja dodam nowego, przecież i to kiedyś do wypełnienia obrazu posłużyć może, szkoda tylko, że ani tego dowcipu powtórzyć, ani słowa moje w te lotne wdzięki rozmowy przystroić nie zdołam, które zwykle niewieście umilają opowiadania. Wiadomość, której mi udzieliła, była następująca:

„Ujrzałam nagle w salonach Tulczyna człowieka na sześć stóp wysokiego, z twarzą pełną wyrazu i powagi. Ubiór jego był francuzki, włosy w tył zaczesane, które w dni świetniejsze w czarny z tyłu ujmował woreczek (catogan). Niepospolita grzeczność oznaczała człowieka wyższych towarzystw świadomego, usta krasił uśmiech, lecz nieco złośliwy. Był to Trembecki, niedługo do

*) Prawdopodobnie hr. Konstancja z Potockich Edwardowa Raczyńska, córka Szczęsnego Potockiego.

(Przyp. Wyd.)

dworu i towarzystwa Stanisława Augusta należący. Z tego powodu pobierał pensję od Rosyi która przecież swobodnego nie zabezpieczała mu bytu, i ztąd widział się zmuszonym do przyjęcia mieszkania w Granowie, posiadłości księcia Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich, o cztery mile od Tulczyna leżące. Ztamtąd to Trembecki pisał do Jana Potockiego o pożyczenie mu książek, i wyjednanie przystępu do biblioteki tulczyńskiej. Chętnie Feliks Potocki, właściciel Tulczyna, skłonił się do życzeń poety, zaprosił go nawet do swego domu, gdzie liczne towarzystwo i księgozbiór otwarty, tyle dlań miały ponęty, iż wkrótce na dobre osiadł w Tulczynie, i już go do zgonu nie opuścił. Było to, jeżeli się nie mylę, 1802 roku.

„Czytywano często razem w towarzystwie tulczyńskiem. Ulubionym wówczas poetą był Delille. Po odcytaniu każdej pieśni ziemianina francuzkiego, co przez kilka wieczorów trwało, Trembecki powtarzał nam z pamięci całe pieśni Zofiówki, nad którą właśnie pracował. Nie słyszałam przecież, aby przez te 7 czy 8 lat które przebawił w Tulczynie, jakkolwiekby inną poezją ułożył. Zdaje się, iż z ostatniem wierszem Zofiówki, lutnia jego na zawsze zamilkła. Trembecki namiętnie lubił karty, i codziennie wieczorem przybywał do pałacu, gdzie zawsze sobie znalazł kogoś do grania. W niedostatku podobnej osoby, brał się do szachów, w których tak był mocnym, że zawsze wygrywał, wyjąwszy gdy damę miał za przeciwnika; całą bowiem zalotność dawnego eleganta francuzkiego, aż do podeszłego wieku, zachował wiernie. Ze smutkiem wyznać trzeba, iż za-

dnym oznaków pobożności nie dostrzeżono w nim nigdy; nie bywał nawet w świątyniach. Brano go powszechnie za materyalistę. Lubił mówić o swoich miłostkach i wziętości za młodu. Zachorowawszy mocno w 50 roku życia, opuszczony już nawet przez lekarzy, sam się najściślej uratował dyetą, i od tego to czasu nie używał na pokarm nic takiego, co by, jak mówił, żyło; pił tylko wodę i mleko, mnóstwo kawy. Zwyczajną jego strawą były żółtka jaj, owoce i warzywa. Nie dotknął przecież nigdy grochu ni fasoli.

Przekonanym był że zachowując tę dyetę dojdzie do 140 lat życia; utrzymywał nawet, że gdyby od dzieciństwa takich tylko używał pokarmów, z pewnością byłby dosięgnął lat trzech set, jako kresu, który natura wiekowi ludzkiemu oznaczyła.

Takie wiódł życie Trembecki w czasie pobytu swego w Tulczynie. Dwa lata przed zgonem, podarował hrabiance Zofii Potockiej wszystkie swoje rękopisma, w ogromnej zamkniętej skrzyni, z prośbą, aby ją dopiero po śmierci jego otworzono; gdyby się bowiem nieprzyjaciele dowiedzieli o treści pism jego, niezawodnieby go ukamienowali. Słyszałam nieraz uczone jego spory z Janem Potockim o początkach Słowian. Utrzymywał on że Niemcy przywłaszczyli sobie sławę naszych najdawniejszych przodków, a gdy Jan Potocki nalegał o udzielenie mu na piśmie tych domysłów historycznych, zawsze wymawiał się Trembecki: Zresztą, mówił, znajdziecie po mojej śmierci całą historią polską od jej początku aż do naszych czasów. Słowa te bardzo często powtarzane słyszałam. Szanowano wolę Trembeckiego, nie tknięto za-

życia skrzyni, lecz natychmiast po zgonie jego rozkazała hrabina Potocka przynieść ją do sali i otworzyć. Cała była zapełniona papierami, które przecież w takim były stanie, iż je koniecznie przewietrzyć musiano. Podjął się jeden z przyjaciół domowych przejrzenia tych pozostałości literackich Trembeckiego, lecz na nieszczęście zbyt lekko przesunawszy się po tej pracy, oświadczył iż nie zajmującego, nie ważnego nie znalazł. Wielu przecież utrzymywało że pewni amatorowie przywłaszczyli sobie wspomniane rękopisma, które niezawodnie znajdowały się w skrzyni. Nie można nakoniec przypuścić, aby człowiek tak uczony, wytrawiony i poważny jak Trembecki, przez tyle lat, a zwłaszcza w uczonych sporach z Janem Potockim, żartował jedynie, i mistyfikacją tą aż za śmierć swoją przedłużył.

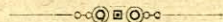
Trembecki utrzymywał że ściśle biorąc rzeczy, niema nie brudnego w naturze, wszystko bowiem jest tem, czem być powinno. Wierny tej zasadzie, nie dozwalał nigdy służącemu zmiatania pokoju, a jeśli dokazano tego, zawsze to było w jego nieobecności. Nie zapomnę nigdy wrażenia mego, gdym go z siostrami memi odwiedziła chorego. Miał na sobie szlafrok tak wypłowiały, że już ani śladu pierwotnej barwy nie miał, podszyty zaś był skórą, która niegdyś była futrem. Leżał wyciągnięty na kanapie niesłychanie brudnej, ogromne foliały mając przed sobą na stoliku, pod kanapą mebel nieodzowny, za wejściem zaś naszym, wzniosła się z podłogi taka chmura popiołu tytuniowego, że wszystkie przedmioty ómiąc do koła, ledwie nas nie zadusiła.

Zapomniałam jeszcze dodać, iż podług zdania Trembeckiego, zwyczaj siedzenia skraca nasze życie; człowiek bowiem w pierwotnym stanie stworzony tylko był do stania lub leżenia.

Oto jest wszystko co o nim powiedzieć mogę; bardzo mało jest to zapewne, ale oko młodości, roztargnione tylu przedmiotami, nie zawsze umie się zatrzymać na tych szczegółach, któreby dojrzałszemu nie uszły wzrokowi.“

P. S. Nie od rzeczy może będzie tu dołączyć anegdotę, która, ile pomnę, dotąd drukowaną nie była. Znany jest złośliwy dowcip Kajetana Węgierskiego, zbyt często boleśnie raniący. Trafił i on przecie na swego, a tym był Trembecki. Na przedce bowiem i dość miernie, dla poratowania swojej kasy, przełożywszy Węgierski romans Woltera, podał go do druku. Czując słabość tłómaczenia, nie położył na nim imienia swego; wziętość przecież ówczasowa autora oryginału, powodowała wielu do nabycia przekładu. Zbiegały się więc zewsząd pieniądze do księgarza, a ztamtąd do Węgierskiego, radującego się w ciszy z tak obfitego plonu; gdy dnia jednego, wieczorem, wróciwszy do siebie, zastaje pakiet na stoliku, w nim swój romans, a na pierwszej jego karcie takie dwa wierszyki:

Próżno się pod zaslonę pióro twoje wkłada,
Co z kiepska po węgiersku z Woltera przekłada.



KILKA SŁÓW

DO HISTORYI NAPISÓW W POLSCE.



Był czas gdy w każdym domu polskim, gdzie tylko więcej prawa do nowszej roszczone sobie cywilizacyi, a więc gdzie tylko i mieszkanie schludniejszym i coś nakształt angielskiego było ogrodu, tyle się namnożyło napisów, że za każdym krokiem spotykać je było można. Byle jaki wzgórek, lub altanka z balkonem, już pewno tam znalazłeś napis: *Piękny widok*; przy każdej ławeczce: *Tu odpoczynek*; tam pod bzem i topolą włoską ukryte siedzenia, a przy niem kamień ostrzegający że *tu szczęście*, i tym podobne.

Ostatni ten napis widziałem na jednej krowiarni w Sandomierskiem, dzieło pono dowcipu Szwajcarki guwernantki, która przypomniała sobie zapewne wówczas swój rodzinny zakąt, gdzie innego rodzaju edukując potomki, nagle na ochmistrzynią cór polskich wezwana została. Były przecież i nadzwyczaj trafne napisy, których wiele zwłaszcza w Woronczynie na Wołyniu i w Puławskim widziałem ogrodzie. W Woronczynie wszystkie są tworem właściciela Ludwika Kropińskiego, w Puławach zaś najwięcej z różnych autorów zastósowane,

oprócz napisu Przeszłość przyszłości, który na świątyni pamiątek narodowych umieszczonym został.

W Woronczynie oprócz napisów przy pomnikach grobowych, kaplicy, studzience, zajęły mię jeszcze nazwiska dębów i bander, jest tam bowiem na jeziorze w ogrodzie cała flota, jest admirałski okręt Wizimira, jest Lotna, Wywrotka, Błyskawica, Rozbójnik, Pływacz, są dęby znane pod nazwiskami starego Zygmunta, Batorego, Kazimierza, które nadzwyczaj olbrzymie, i zdala nieprzejrzaniem w okół otoczone gajami, zdają się istotnie wielkiemu królować narodowi, i jeszcze mimo burz i gromów, koronując je zieloność szczęśliwszym przechowywać czasem.

Znany nam jest z dzieł Kochanowskiego napis który na domu swoim położył. Umieścił i Niemcewicz na mieszkaniu swoim w Ursynowie wiersz Horacego, wszystkie przygody życia jego malujący:

Sit meae sedes utinam senectae
Sit modus lasso maris, et viarum
Militiaeque.

Kiedy Stanisław August nie bez powodów politycznych wzniosł w Łazienkach kamienny posąg Sobieskiego, nazajutrz zaraz po jego wystawieniu taki u spodu znaleziono napis nieznana skreślony ręką:

Bohaterowi Wiednia że chrześcian zbawił,
Piękny posąg z kamienia Stanisław wystawił.
Sto tysięcy kosztuje! — jabym dwakroćłożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan trzeci ożył.

Co się tyczy gmachów warszawskich, dom tylko Dzieciątka Jezus trafny celuje napisem. Wzięty on jest

z Ewangelii, wszystkim znajomy, i już tylekroć powtórzony, iż zbyt czynnym byłoby tutaj przywołanie go na pamięć. Co do innych tamże istniejących napisów, to prócz anegdot do nich przywiązanych, nie w sobie szczególniejszego nie mają. Był tam jeden dom stawiany na tamie, umyślnie ku temu na brzegu w Wiśle ubitój. Tworzą tak tamy jak i domu był pewien tameczny półpanek i pochlebniś króla Poniatowskiego, zresztą najśmieszniejszy z ludzi. Położył on na tym domu następujący napis:

Oto skutki widoczne Stanisława rządu
Że i tam domy stoją gdzie nie było ładu.

Na nieszczęście autora tych wierszy, znajdował się wówczas w Warszawie znany Franciszek Zabłocki, który mu natychmiast dowcipniejszym nieco odpowiedział dwuwierszem:

Prawdą jest, że te skutki widocznie jaśnieją
Bo i tam się kpy rodzą, gdzie ich nie posieją.

Na Miodowej ulicy pod kolumnami sam niegdyś ten napis czytałem:

Tu dostanie robót rękawicznich i wszystkiego.

I nikt się przez tyle lat nie zlitował nad polskim językiem, tak okropnie skańczonym publicznie, i to na jednej z najokazalszych ulic stolicy.

Nie mało zabawił warszawską publiczność napis w czasie illuminacji za pierwszym wejściem Napoleona do naszej stolicy na domu szewca umieszczony. Na pierw-

szęj pono ulicy w jaskrawym transparencie stał ogromny bót wymalowany i obwiedziony laurem, a pod nim te słowa:

Szyję bóty i nie złe, lecz nie tyle warte
Jak te, które Moskałom szyje Bonaparte!

Kiedy szanownej pamięci Fryderyk August, książę warszawski, w roku 1808 jechał do Warszawy, w jednym z mniejszych miasteczek na traktach z Kalisza do stolicy wystawiono mu bramę tryumfalną, na której ten szczególny położono napis:

Kiedy w tak krytycznym czasie
Przez Kalisz
Do nas walisz,
Witaj najjaśniejszy Sasie!

Najszcześliwszy przecież swoją prostotą i trafnością był napis bramy tryumfalnej wystawionej dla wojska polskiego, wracającego z wojny 1809 roku:

Tędy z pod Wiednia powracal Jan trzeci!

Napis ten był dany przez Wybickiego, a kto w myśli zbliży te dwie epoki, które w tych kilku słowach połączył, uzna ze mną zapewne że trudno było o napis szczęśliwszy. Wybicki niezmiernie wiele miał trafności w wyborze napisów. Dowodem jest ów wiersz Horacego, położony na domu w Dobrzycy:

Ille terrarum mihi praeter omnes angulus ridet.

Umieszczono ten sam napis i na Marynkach w Puławach, lecz w Dobrzycy daleko stósowniej, bo właśnie wejście do pałacu zakął stanowi.

W Litwie, słyszałem o będącym tam gdzieś nagrobku dziwnie lakonicznym:

Tu leży Trębacz
Boże mu przebacz!

Nie ustępuje mu co do wdzięku krótkości i ów nagrobek we Lwowie:

Tu leży Zielonka
W Berdyczewie żonka.

Jeden z dawniejszych szambelanów króla Poniatowskiego, przez przychylność do tego imienia, wystawił u siebie nagrobek bohaterowi naszemu ległemu w Elsterze z takim napisem:

Tutaj leży z łaski Boskiej
Książę Józef Poniatowski.
Przechodniu! jeśli tedy wypadnie ci droga,
Zmów Ojciec nasz, zmów Zdrowaś, zmów i Wierzę w Boga.

Do wielkich klęsk i przeciwności, które tak często wyższych czepiają się mężów, należy niezawodnie i to mnóstwo głupich wierszydeł, do których blaskiem swoim budzą tyle wierszarzy i rymogmiotków, z których kądemu możnaby z Naruszewiczem powiedzieć:

Kozom tobie, nie rymom zaplatać ogony.

Jeden z Strzemińczyków za czasów pono Jana III-go taki na grobie swoim kazał wiersz umieścić:

Tu leży Jakób, co miał w herbie strzemie,
Urwało się puśliko, a on heb o ziemię.

Mieliśmy i senatorów, którzy w rodzaju napisów celować chcieli. Pewien wojewoda znany z manii ciągłego wierszowania, gdzie tylko mógł umieszczał swoje nieszczęśliwe ramoty, nad drzwiczkami nawet wiodącymi do jego ogródka taki wiersz położył:

Tu przy tej furtee
Siada wojewoda w kurtee.

Nadzwyczaj on kochając magnifikę swoją Kordulę, i urządziwszy dla niej stypę w dzień jej imienin, po całym obiedzie zaprosił wszystkich gości do folwarku o ćwierć mili oddalonego, na balik wieczorny. Jadą więc wszyscy o zmroku, karetami, kolebkami, soliterkami, kiskami i taradajkami. Jadą długą lipową ulicą i z wielkiem zadziwieniem na każdym drzewie widzą transparent z napisem: Ona to, ona! Napis ten ciągnął się przez całe ćwierć mili, zawsze toż samo: Ona to ona! świetniało po lipach, aż dopiero na folwarku, drugi wiersz z pierwszym rymujący: Moja najukochańsza żona! w większym i świetniejszym zajaśniał przeczcu. Liczne oklaski, wiwaty, huk moździerzy, ogromny na powitanie kielich, a zwłaszcza rozrzewnienie się aż do łez ubóstwionej Korduli, do najwyższego stopnia wzniosły tryumf senatora poety.

Był jeszcze i inny senator i równie wojewoda, najśmieszniejszy pyszałek, jakiego może kiedykolwiek Polska wydała, ciągle dygnitarstwem swoim napuszony i ciągle klekający wierszydła. Gdziekolwiek się zjawił, wszędzie niezatarte śmieszności swojej zostawiał ślady. I tak we wsi Krasininie w Lubelskiem, znajdziesz przez niego za dworcem założony laszek Orderowy, ulica zaś

przez wieś idąca Senatorskiej imię nosiła. W chwili mego tam pobytu zawiódł mnie do kościoła krasinińskiego, ówczesny dziedzic tameczny Kalikst Moroziewicz. Z jednej strony ołtarza wojewoda, zawiesiwszy portret miejscowego proboszcza, od serca przyjaciela i równie poety, złotymi literami wyrył pod nią rymy swoje, ku wielkiej cześci plebana. Wywdzięczający się pleban, z drugiej strony ołtarza zawiesił portret kollatora z wielbiącymi go wierszami. Rozczulony wojewoda tą złotą rymową i publiczną pochwałą, dodał nowe wiersze do dawnych, Pleban toż samo, nowe pod portretem wojewody umieścił, co dopóty trwało, dopóki tylko ściany kościelnej na te bazgraniny starczyło.

Tenże sam wojewoda, miał w innych dobrach swój teatr prywatny, gdzie zawsze na dzień swoich urodzin, imienin, w rocznicę otrzymania każdego orderu i senatorskiej godności, kazał odgrywać sobie sztuki, do których pochwalne dla siebie i stósowne do uroczystości dorabiał kuplety i wymyślał transparenta, którym na znak przez niego dany, rodzina i dwór cały przyklaskiwać musiały. Szczególny on miał zwyczaj. Nigdy tego wyrazu *Ja* nie używając, zawsze o sobie, jakby o kim trzecim mówił: „Senator pojedzie, Senator to lubi, Senator pójdzie spać, Senatorska głowa boli.“ W najkrytyczniejszych położeniach, w największem nawet niebezpieczeństwie życia, ani na chwilę nie zapominał cześci winnej swęj godności. I tak gdy jednego razu, przeprawiając się przez Tanwią wpadł w wodę, i o mało co nie utonął, zaledwie stanął na lądzie, zmokły i jeszcze drżący od zimna, natychmiast rozkazał kleknąć wszyst-

kim przewoźnikom i rybakom i podziękować Bogu, że im dozwolił szczęścia wyratowania senatora; do wszystkich nawet plebanów włości swoich rozesłał kuryerów z prośbą o solenne *Te Deum* za wyratowanie dygnitarza. Kościół wreszcie wystawił na tę pamiątkę, dla którego taki napis przeznaczył:

Ceniący godność, Wszechmocny Pan wi
Czemu Senator nie utonął w Tanwi
A że Pan Panu życie uratował,
A więc Pan Panu kościół wybudował.

Napis ten podobno z powodu śmierci wojewody, która w czasie budowy kościoła nastąpiła, szczęśliwie zaniedbany został.

Z zmianą czasów, wszystkie te śmieszności zdają nam się prawie niepodobnemi. Był przecież i trzeci pyszałek podobny poprzedniemu.

W celu religijnego zbudowania licznych swoich włości, kazał on na obrazie służącym do zasuwania wielkiego obrazu odmalować się naprzeciw Chrystusa w konтусzu, sutym pasie, z karabelą, z podniesionemi wylotami, lecz w postawie klęczącego i z głową schyloną. Z ust zaś na wstędze takie wypływały mu słowa:

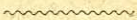
Zniżam się kornie przed Najwyższym Panem,
Choć Sochaczewskim jestem Kasztelanem.

GENERAL MICHAŁ GRABOWSKI.

(Zdarzenie prawdziwe.)



Czegoż się to nie można dowiedzieć w poufnej długiego wieczoru rozmowie! Otóż przy takiej pogadance małego towarzystwa znajdując się na początku 1812 roku w Warszawie, zwróciłem uwagę obecnych na bijącą już północ. Północ! zawołała jedna z dam młodych, wyczerpaliśmy wszystkie wieści stołeczne, mówmy o duchach. I zaczęto opowiadać z kolei, mniej więcej zajmujące zjawiska. Nikt przecież z opowiadających nie widział żadnego własnymi oczyma, opowiadał co mu opowiadano. Ostatni, który miał udzielić swojej historyjki duchowej, był generał Michał Grabowski, lecz ten tak dalece milczał, że żadnym nie odezwał się słowem. Twarz jego nawet, zwykle tak pogodna i wesoła, przybrała się w jakiś melancholiczny wyraz i smutek tajemniczy. Jakby więc przewidywano, że ma coś ważniejszego do opowiedzenia, bardziej jeszcze nalegać zaczęto. Bronił się długo, lecz wreszcie zmuszony prozbami wszystkich, skłaniać się zaczął do zadość uczynienia powszechnemu żądaniu.



Generał Michał Grabowski był młodym, przystojnym, dowcipnym, ozdobą salonów stołecznych i wielkim czcicielem płci pięknej. Wieść powszechna głosiła go synem króla Poniatowskiego. Wszystko to otaczało go pewnym urokiem, a ztąd i słowom jego niejakiemu dodawało znaczenia.

— Każecie, ozwał się, opowiem więc. Lecz uprzedzam, że każdy uśmiech szyderczy, wszelka nawet wątpliwość z strony słuchających boleśnieby mię zraniły, gdyż ja nie ze słyszenia opowiadać będę. Prawda ta jest tak świętą jak honor, którym ręczę za nią. — Jak to? więc pan widziałeś? zawołały przerażone kobiety. Ducha? ducha widziałeś! — Widziałem, odrzekł z zimną krwią generał. Na to wszystkie stolki i fotele zbliżyły się do opowiadającego, drżące i ciekawe ścisnęło się koło, a on tak dalej rzecz prowadził:

— Przed kilku laty był tu w Warszawie głośny i huczny karnawał, codziennie bale i tańce, sięgające rana. Młody, nie opuszczałem żadnego i ostatnim zawsze byłem z odchodzących. Dnia jednego, przed końcem jeszcze tychże zabaw karnawałowych, znużony nareszcie i przesycony niemi, chciałem sobie przez kilka dni wypocząć. Trudno było o ten spoczynek w Warszawie, udałem się więc do wsi mojej Krupki, o kilka mil od stolicy leżącej. Szczęśliwy, bo spokojny, przebyłem dzień cały w żądanej swobodzie. Skutkiem przecież tylotygodniowego znużenia wcześniej, jak zwykle udałem się do łoża, na którym natychmiast zasnąłem.

Przed pójściem na spoczynek, kazałem w sypialni mojej rozniecić ogień na kominku. Miałem przytém zwy-

czaj, i to od niepamiętnych czasów, żem na stoliku przy łożu stojącym stawiał przy palącej się całą noc lampie szklankę świeżej wody, którą po zbudzeniu się natychmiast wypijałem. Nigdy nie przepominałem, nigdy wcześniej, nigdy później nie czyniłem tego, jak w chwili zbudzenia się rannego. Spałem więc w twardym śnie pogrążony, spałem tym ciężkim, dziwnym snem, który im bardziej zdaje się zbliżać do śmierci, tém bardziej pokrzepia siły i nowém darzy życiem. Kiedy w tém nagle czuję, że jakiś ciężar nogi mi przyciska. Budzę się choć z trudnością, i roztworzywszy oczy, widzę wyraźnie przed sobą siedzącego na mém łożu człowieka. Miał na sobie płaszcz czerwony. Włos siwy obficie mu spadał na ramiona. Twarz jego była cała zmarszczkami zfałdowana, żółkła i wyschła. Z otwartego na przodzie płaszcza wyglądał jego szkielet, ale tak stary, że aż ciemno-mahoniowego był koloru, a kości gdzieniegdzie nadpróchniały. — „Nie lękaj się, rzekł do mnie, gdyż zaprawdę nie straszyc cię przychodzę.“ I zaczęła się rozmowa, i długo, dość długo, toczyła się nieprzerwanie. Poczém zniknął nagle, bez śladu żadnego, jakiegoś tylko grobowego powietrze zdało się jeszcze czas krótki mnie owiewać. Siadłem na łożu, zdało mi się, że jeszcze głos dziwnego starca słyszę. Wierzę, bom oczywiście widział, a przecież lękam się sennego może marzenia brać za prawdę. Wypijam szklankę stojącą wody, idę sparzyć palec w żarze pozostałym w kominku. Więc nawet czynię, siadam u biurka mego i opisuję to całe zdarzenie, co wszystko ma mi służyć nazajutrz za dowód niezbity, żem nie spał i że zjawisko było istotne.

Mimo tak silnego i tak nadzwyczajnego wrażenia jakiego naturalnie doznać musiałem, zasypiam znowu, i zbudziwszy się dość późno z rana, widzę szklanę wypitą, czuję że palec mam sparzony, i czytam cały własnoręczny i dokładny opis tego com widział i słyszał. Poznaje ja z waszjej niecierpliwości, że chcecie mnie pytać o treść naszej rozmowy. Płonne życzenia! zakazano mi wyjawiać. Dałem słowo i dotrzymać go muszę.

— A więc na tém koniec? Ozwał się jeden z obecnych.

— Na nieszczęście nie koniec jeszcze, odparł Grabowski. Otrzymawszy później dowództwo brygady, stanąłem załogą w województwie poznańskiem, w mieście Rawiczu. I znowu po balu, i kiedyś się najmniej jój spodziewałem, ukazała mi się taż sama postać i dłużej jeszcze ze mną mówiła. Śmielszy już nieco, niż za pierwszym jój zjawieniem się, prosiłem, aby mi przynajmniej to, wskazanym przez siebie osobom, wyjawić dozwoliła, co się drogiej istot i całego narodu tyczy, a jeźliby tego zabroniła, abym mógł przynajmniej to na piśmie zostawić po sobie. Prośba moja odrzuconą została. Milczeć muszę, a z wielu względów męką jest to milczenie.

Ale najważniejszem dla mnie osobiście, było trzecie zjawienie się czerwonego starca. Było to w Gdańsku roku 1811, gdzieś stał z memi pułkami.

W téj saméj zawsze postaci ukazał mi się znowu, powtórzył co dawniej mówił, dodał więcej jeszcze i temi zakończył słowa: „W pierwszej bitwie nadchodzącej wojny zginiesz.“ To jedno mi wyjawić dozwolił.

Znanym ludzi zwyczajem, jedni wierzyli, drudzy przez połowę, trzeci zaprzeczali w duszy prawdzie téj

powieści. Zapomniano wreszcie o niéj, zwłaszcza przy nowéj burzy, która grzmiąc od zachodu groziła Północy. Do wojsk polskich ściągających się na wojnę sprowadzoną została i brygada Grabowskiego z Gdańska. Jednym z składających ją pułków dowodził znany Krukowiecki (później generał). A że mniej posłusznego nadkomendnym nie było od niego, przeto w czasie obrotów wojennych nie tylko nie wypełnił danego mu rozkazu, ale jeszcze najnieprzyzwoitszych i krzywdzących wyrazów użył przeciw Grabowskiemu. Działo się to przed frontem, pod bronią i w obec całego wojska. Grabowski wyższej i szlachetnej natury, nie chcąc na mocy służącego mu prawa złamać i zgniebić natychmiast hardość zuchwalca, tak się odezwał do niego: Pułkowniku! gorzący dałeś przykład nieposłuszeństwa pod bronią; winienbym oddać cię pod sąd wojenny, któryby cię niezawodnie rozstrzelać kazał, ale szkoda byłoby w takiéj chwili pozbawiać ojczyzny walecznego oficera. Nie mogę przecież rzeczy téj zostawiać bez koniecznych jój skutków. Wojna się zaczyna. Odkładam więc żądanie zaślęczenia cię memu honorowi aż do końca téj wojny. Ten tylko warunek kładę i obowięzuję cię do niego, abyśmy obaj w pierwszej bitwie szli obok siebie na czele kolumn naszych. — Krukowieckiemu mimo nieznośnej jego krnąbrności, odmówić nie można było istotnego meztwa. Przyjął podany mu warunek, tem bardziej iż oburzenie ogólne po swoim postępku na wszystkich widział twarzach.

Nadeszła wreszcie stanowcza chwila. Cała armia ruszyła naprzód. Przeszliśmy Niemen, Litwę całą, ści-

gając cofającego się nieprzyjaciela. Słyszeliśmy codzień strzały działowe korpusu w przedniej straży będącego, nam nigdzie nie przyszło do boju.

Tak doszliśmy do Smoleńska, gdzie i nieprzyjaciel się zatrzymał dla położenia tamy naszej pogoni i zastawienia się twierdzą, którą silnem obsadził wojskiem.

Przybyliśmy pod Smoleńsk nad wieczorem, znużeni trudami nadzwyczaj pospiesznego pochodu. Widzę jeszcze Napoleona leżącego pod brzozą na materacu i przypatrującego się przeciągowi pułków naszych. Leżący ten cesarz dziwnie mnie wówczas uderzył, podniesionem bowiem nieco ciałem i sterzącem zgiętej nogi kolaniem przypominał mi owe rycerskie postacie spoczywające na grobowcach wieku szesnastego. Otoczony był marszałkami i liczny sztabem. Konia jego trzymano w bliskości. Dwóch gwardzystów stało tuż z bronią na straży. Rozmawiał z księciem Poniatowskim. Wstąpiliśmy do obozu. Stopięćdziesiąt tysięcy wojska jak mówiono otaczało z téj strony Dniepru Smoleńsk. Spokojnie noc całą przebyliśmy. Najpromienniejszy ranek rozjaśnił cały widnokrąg. Żadnej oznaki do bliskiej bitwy. Dzień ten zdał się przeznaczonym na spoczynek znużonego tyłu marszami wojska. Wyraźnie słyszeliśmy zegary wież smoleńskich wybijających południe. Każdy jak mógł ogarniał się i po tyłu krzepił trudach, kiedy z uderzeniem 1-szej godziny z południa, wrzawa tysięcznych bębnow, rozgłos trąb wojennych i ruch całego obozu, zwiastowały zjawienie się Napoleona. Szturm! Szturm! ozwało się zewsząd. Polacy na ważniejsze uderzą miejsca! — Przybywa generał Mouton, adjutant cesarski, do dywi-

zyi Kniaziewicza. Z rozwiniętych pułków tworzy kolumny do ataku. Tenże sam rozkaz posyła do dywizyi Zajęczka. Gdy w tém rzuciwszy okiem na wojsko stojące przy oddalonym folwarku, pyta, co to za pułki? Brygada Grabowskiego, odpowiadam. Pobież więc w całym pe-dzie, rzecze do mnie, aby natychmiast łączył się z swoją dywizją. Powiedz mu, że cesarz już na czele wojska. Biegnę, przybywam. Grabowski wydaje rozkaz stawania pod bronią. Zastałem go, jakby dziś pamiętam, jedzącego z rądelka rosół na bulionie. Prosi aby z nim podzielić jego strawę ostatnią. Jakto ostatnią? zapytałem zdziwiony. Na co mi odrzekł: Pamiętasz ów wieczór u pani Chodkiewiczowej w Warszawie, gdzie opowiadał moje trzykrotne zjawisko wraz z przepowiednią dla mnie? — I ty temu wierzysz generale! zawołałem. Wierzę, odpowiedział, i wkrótce bardzo dowiesz się o jej ziszczeniu. Pożegnaj wszystkich moich, pożegnaj na zawsze. Huk dział rozpoczynającej się bitwy nie dozwalał mi dłużej przeciągać téj rozmowy. Zwróciłem konia, przybiegłem na czas szturm. Grabowski siedł naprzeciw obsadzonemu przez nieprzyjaciela przedmieściu. Przywoławszy Krukowieckiego do siebie, uderzył na czele brygady swojej na pierwsze obwarowane domy. Ale zaledwie pierwszy padł wystrzał nieprzyjacielski, Krukowiecki został rannym, a Grabowski poległ. Tak spełnione zostały słowa czerwonego starca, spełniony i rozkaz milczenia przez Grabowskiego. Żadnego bowiem śladu tego zdarzenia, przynajmniej dotąd, nie odkryto w papierach po nim pozostałych.

WIDMO.

Opowiadanie jednego z monarchów niemieckich.

Młody książę Sułkowski, w czasie swego pobytu w Berlinie 1851 r., zaproszony został na królewskie łowy. Wskazano mu stanowisko najbliższe króla. Czekali obaj z upragnieniem na napędzanego zwierza, lecz gdy ten długi czas nie nadbiegał, król nie lubiący się nudzić, zbliżył się do Sułkowskiego na krótką pogadankę, i między innemi przedmiotami rozmowy, zapytał go o widmo zjawiające się w jego zamku rodzinnym. Książę opowiedział wszystkie szczegóły znane mu z podania i opisu drukiem ogłoszonego. — Szczególna rzecz! król się ozwał, są zjawiska nadnaturalne, niepojęte których zaprzeczać nie można. Ja sam wiem o jednym, za którego prawdziwość ręczyłbym śmieie.

W pewnej wiosce na Szlązku żyła wiejska uboga rodzina, utrzymująca się jedynie z pracy rąk i dzierżawionego ogródka. Ludzie ci byli z gruntu źli i dla wszystkich nieznosni, lecz synek ich jednak, trzynastcie lat pono mający, odbijał od nich zupełnie swą słodyczą dobrocią i religijnością. Zdawało się, że Bóg sam troskliwszej opieki otaczał go skrzydłem, najgorsze bowiem przykłady rodziców, żadnego wpływu nie miały na aniel-

ską duszy jego czystość. Rosła więc wśród brudnego mułu ta młoda lilia w śnieżnej niewinności szacie, codzień miłsza, codzień uroczniejsza, i w uczuciu przynajmniej kochania dobrego dziecięcia, żli rodzice zgadzali się z sercami lepszych od nich sąsiadów. Słabego zdrowia był ich synek, raz nawet tak mocno zachorował, że na prośbę jego posłano po pastora protestanckiego, tego bowiem wyznania cała była rodzina. Pastor ten tem był pożądanym, że zarazem leczyć umiał. Niez szczęściem człowiek ten był nieczułego serca i jak to mówią zimny, zakamieniały Luter. *) Zbyt wielkiej wprzód wymagał zapłaty, niepodobnej dla ubogich wieśniaków, nie przybył więc do chorego, co rodzicom do nowych złości i przekleństw stało się powodem. Po krótkim żalu i namyśle, prosił chłopczyka aby do dalszej parafii katolickiej posłać po plebana, nieznanego wprawdzie ni jemu, ni rodzicom, lecz szeroko słynnemu z dobroczynności, mądrych rad, i także znającemu się na leczeniu chorych.

Był to zupełnie mąż święty, litościwy nadzwyczaj, i równie z swych chrześcijańskich oznak jak i rzadkich cnót głośny. Zaledwie wezwanym został, wybrał się natychmiast w drogę dwumilową pieszo, biedną bowiem posiadając plebanią, nie był w stanie podróżować inaczej.

Przybył — długo sam na sam rozmawiał z chorym bez najmniejszej nagrody, tyle dobrych rad udzielił rodzicom na celu pielęgnowania chorego, że już w tydzień

po jego oddaleniu się, ów młodzieniaszek powstał z łoża boleści, i ile mógł rodzicom w pracy ich dopomagał. Zważano tylko, że odtąd częściej bywał zadumanym, słodszy i nabożniejszym jeszcze. Ale gdy pomimo wszelkich zachodów, nie wiodło się, jak to mówią, i ojcu i matce pozbawionym błogosławieństw niebios, i nędza im coraz bardziej dokuczać zaczęła, postanowili dnia jednego pójść do miasteczka o cztery mile odległego i tam sprzedać niektóre swoje sprzęty i manatki. Poszli obarczeni swym ciężarem, ale zaledwie na mile oddalili się od wsi, chłopczyk ów pozostały w domu czuł się słabszym. Rzucił się na kolana i przez godzinę zatopił w modlitwie, po której przecie tak nagle wzmocniła się choroba, że w krótkim czasie, i bolejący bardzo, i bezwładny prawie, legł na łożu. Kochano go w całej wiosce, a więc i odwiedzano w nieobecności rodziców, kiedy w tem nagły sen go ujmując, z którego po kilku chwilach zrywa się niebawem, a widząc przy łożu przyjaznego oddawna sobie chłopczyka, błaga go z łzami prawie, aby natychmiast pobiegł do księdza katolickiego, który już raz był u niego i poprosił go o spieszne przybycie. Życzeniu jego stało się natychmiast zadość, przybył tegoż dnia zaczął kapłan, całe prawie dwa dni przy nim przebywał, wspierał, leczył, pocieszał i jak mógł pomagał, ale Bóg inaczej rozrządził, chłopczyk skonał na ręku plebana.

Nie oddalił się zacny kapłan, czekał na powrót rodziców, aby ile możności żal ich złagodzić i opowiadaniem zgonu syna do lepszych uczuć skłonić ich serca. Przyszli — dopełnił jeszcze i tego obowiązku, który

*) *Kalter Stock-Luteraner* — własne króla wyrażenie.

sobie nakazał, poczem spiesznie się wybrał już wieczorem do wsi swojej, gdzie téj nocy jeszcze kilku biednych i chorych odwiedzić mu było trzeba. Zapalił latarkę, i wsparty na prostym kijku udał się w drogę.

Ciemno było, niebo grubo zachmurzone, wiatr dał przeraźliwy i drobny, ostry deszcz ciągle w oczy chłostał. Szedł biedny księżyna, szedł długo, gdy nagle uczuł że grzęznąć zaczyna. Zwraca się w lewo i znów w prawo, lecz coraz w większym trzęsawisku brodzi. Na domiar nieszczęścia gaśnie mu nagle świeczka w latarni, błąka się na nowo, chce ratować, coraz w rzadsze zapada bagno. W téj samej chwili przychodzi mu na myśl, że droga jego przechodzi tuż obok głębokiego jeziora o brzegach błotnistych, ogarnia go więc strach nadzwyczajny, wzdycha, modli się i co tylko życia i duszy w sobie czuje to wszystko w korną zlewa się prośbę i Niebios woła ratunku. Drobna jakaś iskierka światła ukazuje się przed nim zdaleka. Iskra ta coraz bardziej się rozszerza i rozszerza i wzrasta do wielkości gwiazdy lub błędnego ognika. Biedny ksiądz chce dążyć ku światelku, sili się, ale nadaremnie, żadnej nogi wyciągnąć nie może, czuje nawet, że coraz głębiej tonie.

— Boże! woła, niech się święta Wola Twoja dzieje! i pewny, że już umrzeć musi, akty konających mówić zaczyna, gdy wtém, o dziwo! cudzie niesłychany! światelko to samo zmierza ku niemu, a z innego wysuwa się mała rączka, zbliża się, chwyta go za rękę i z okropnej bagniska wywodzi go toni. Dotknięcie téj rączki nie miało nic zimnego, trupiego, z nadzwyczajną tylko jakąś i nadludzką pochwyciła go siłą. Wiodła go cią-

gle wśród nieprzejrzanéj ciemności, wiodła go już nawet po suchéj zieleni, gdy wtém doprowadziła go do ogromnego rowu napelnionego wodą, a tak szerokiego, jakby kanał jaki. Wstrzymał się pleban, czuł, że go przebyć nie zdoła, lękać się nawet zaczął, czy jaki zły duch go nie ludzi i na zgubę nie wiezie, kiedy owa rączka tak go naraz silnie pociągnie, że od razu przerzuca go na drugą stronę rowu, gdzie stanął cały zdumiony i drżący. Zgasło w téj chwili światło, znikła rączka, głos tylko następny kapłan ów usłyszał: „*Za to, coś dla mnie uczynił i ułatwił mi przejście do drugiego świata, przybyłem cię ratować. Teraz bez obawy idź prosto przed sobą.*“ Coraz sroższa huczała burza, coraz grubsza ciemność osłaniała idącego, szedł z ufnością i prosto do progu domku swego przybył.

Sam ten proboszcz, król dodał, na żądanie moje zdarzenie mi to opowiedział i gdybym nawet nie był przekonany, że podobne zjawiska zdarzać się mogą, już te wszystkie szczegóły w tak świętą zlewające się zgodność w téj powieści, a zwłaszcza ta prostota w opowiadaniu, ta zacność kapłańskiego oblicza, ta prawda w jego słowach, spojrzeniu, głosie i cnotach życia całego, nakazują mi wiarę zupełną.

W téj chwili dwanaście sarn nadbiegało ku stowisku króla, zagrzmiały po lesie strzały i myśli dostojnego łowca w inną uleciały stronę.

WIDMO W ZAMKU RYDZYŃSKIM.



W zamku rydzyńskim jest kaplica, przed kaplicą pokój, a w tym pokoju obraz kobiety z wyższego stanu; kto jest ta kobieta, kto ją malował, zawiesił, z kąd się wzięła w tym zamku, nikt tego nigdy nie wiedział, nikt wiedzieć nie będzie.

Jest przecież w każdym roku jedna noc straszliwa, okropna, której nikt w zamku przespać nie może; tych nawet co nie nie widzą i nie nie słyszą, o niczym nie wiedzą, porywa jakaś gorączka i niespokojność; zdaje się, że coś nadzwyczajnego przeczuwają w naturze. Przez całą tę noc, choć niebo wkoło jasne i pogodne, zawsze się waży nad zamkiem jakiś obłok czarny, a poblizsze drzewa ogrodu, choć żadnym nie wzruszone wiatrem, dziwnie szeleszczą. Już od jedynastej godziny słychać jakiś szum sprzętów. Kryje się służba zamkowa, śmielsi tylko bliżej przystępują, słuchają, zagadują; twarze ich przecież bledną, wznoszą się włosy, całe powietrze zda się nasiąkłe jakąś okropnością.

Uderza północ. Roztwierają się same przez się drzwi kaplicy, zapalają się świece na ołtarzu, lecz jakimś dziwnym, bladym, błękitnym światłem; widmo ko-

biety w białej i długiej szacie, z rozpuszczonemi włosami, wywiędłem boleścią obliczem, klęczy przed ołtarzem. Nagle zimno grobowe uderza w oko; ukazuje się kapłan w ornacie ze mszą świętą idący. Okropny widok! kapłan ten jest kościotrupem.... głowa jego trupa, ręce kielich niosące kośćmi tylko; poprzedzają go dwa małe szkielety w komżach, jeden z nich niesie ampułki, drugi mszał ogromny. Zaczyna się msza święta, kapłan składa i rozkłada ręce, obraca się, przykłada, czyta w mszale, gorąco się modli; dwa małe szkielety zdają się modłom jego odpowiadać, żaden przecież głos, żadne westchnienie dosłyszeć się nie daje. W chwili tylko podniesienia ciała i krwi pańskiej, głuchy odgłos kościanego dzwonka głębokie przerywa milczenie. Kończy się obrzęd. Kapłan zasiada w krześle, widmo przystępuje do spowiedzi św. O jakże gorąco modli się wprzód! jakież to ciężar piersi jego rozpiera! Spowiada się, kapłan słucha i długo, długo słucha. Ileż to łez i westchnień przerywa tę spowiedź! Wielki Boże! jakże straszliwem musi być wyznanie tego widma, jaka zbrodnia jego! Patrz! Patrz! po trupiej czaszce kapłana zimny pot zlewa się strumieniem, wiszący obraz ko-biety cały czernieje, jakiś grzmot daje się słyszeć nad zamkiem!... Drobne dwa szkielety klęcząc i modląc się, zdają się błagać za winną. Wyznała już wszystko i schyla głowę i bije się w piersi na znak żalu i skrucy. Biję silnie, płacze i czeka. Czeką chwil kilka, wreszcie podnosi na kapłana wzrok błagalny i mówi: „przebaczania!“ a kapłan jej grobowym głosem odpowiada: „nie w tym roku jeszcze!“ I kiedyż? kie-

dyż? odzywa się widmo; kapłan milczy. Wskazuje jej na dwa klęczące szkielety — znika — gasną świece, zamykają się drzwi kaplicy — jęk tylko długi słyhać za niemi, i na raz wszystko cicho i ani śladu tego, co przed chwilą było.



ODPOWIEDŹ
na list szlachcica polskiego
do Metternicha

z daty 15. kwietnia 1846 r. co do ustępu od str. 36 do 45.

Niestety! czemuż przeszedł on Rubikon? Rubikon praw naszych, aby łączyć się z wrogami.

(Z angielskiego).

Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt, qui aedificant eam.

Psalm 126.

Jest to w naturze społeczeństwa, że kiedy się wszystko w niem rozprzega, i myśli nakoniec ćmiał się, mącą, i dziwotworne rodzą pomysły. Jedna anarchia stwarza drugą. Anarchia umysłowa narodów trwa dopóty, dopóki jeden człowiek, jakiś wybraniec Nieba, nie objawi tej myśli słonecznej, z samego jądra prawdy dobytą, która na raz, jak słowo tworzące, wszystko rozjaśni, uporządkuje, przy której cały naród skupi się sercem i duszą, i z której odtąd wszelkie wypłyną czyny i życie. Ale nim ta myśl wielka, wszechmocna, a najczęściej bardzo prosta zjawi się w narodzie, ileż to zgubnych poprzedza ją pomysłów, a każdy z tą dumną zapowiedzią, że on jest właśnie tą oczekiwaną gwiazdą zbawienia. Tą to drogą, i z tego samego źródła wypłynęło tyle dziwacznych idei, a nakoniec i myśl łączenia się Polaków z Rosyanami.

Są pewne zdania na świecie, najlogiczniej i najgenialniej niby wywiedzione, których choć z razu silniejszemu nie zdołamy odbić rozumowaniem, przecież tak nadzwyczajny budzą w nas wstręt i odrazę, tak oburzają całą naturę naszą, że nigdy na nie zgodzić się nie

możemy. Nie wolno nam pogardzać tem dreszczem prze-
czenia. Jest to ostrzeżenie wyższego instynktu, głos
może Boski, który nas odwodzi od przepaści. Tak po-
jedyńczy ludzie, jak i narody doświadczały tego, i nie-
doznały zawodu, bo, jak Szyller mówi: „jest w piersiach
twoich przewodnik, który cię nigdy nie omyli.“ Ale
że każdy pisarz, samym rządzący się rozumem, rozumo-
wania tylko od swego przeciwnika żąda, ile więc sił
moich, będę się starał zdobyć na nie, nie wyłączając
i tego co mi serce dopowie. Na samym jednak wstępie
spieszę się uprzedzić czytelnika, że chociaż Autor *Rus-
somanii w Poznańskim*, równie jak ja przeciw łączeniu
się z Rosyanami pisał, nigdy przecież pióra mego bratać
nie myślę z nieszczęsną jego ramotą, której wyrzeka się
prawda, historia, nad którą rozum się lituje, a każda
kropla krwi szlacheckiej jak bezwstyd potępia. O całą
wysokość potężnych myśli wyższe dzieło: List szlachcica
do Metternicha, przedmiotem będzie mojej rozważki.
Wszystko w nim silne, szlachetne, logiczne. Z pol-
skiego tylko serca tyle oburzeń, z platonowskiej głowy
tyle gromów rozumu wystrzelić mogło. Zdarta maska
z potwornego oblicza szatańskiej zbrodni, obnażona
chytrość, uniesmiertelniona sromota ohydneho ministra
Austrii. Niewidoma ręka skreśliła mu po ścianie krwią
galicyjską wyrok potępienia. Stoi pod przegierzem opinii
europejskiej, chłostany biczem prawdy polskiego szlach-
cica. Ale o ile uwielbiam i podziwiam potęgę rozumo-
wań zacnego Autora, o ile obraz przeszłości i stanu
obecnego znajduję wybornie skreślonym, o tyle drogi
nadal wskazanę ani rozumem, ani sercem przyjąć nie

zdołam. Połączać się z Rosyą, jest to chcieć nową
ocalać się zgubą; jest to zamieniać jeden rodzaj śmierci
na drugi, jest to ostatnią jeszcze iskrę tlejącego życia
sybirskim wymarzać mrozem, a co najgorzej, że już nie
w skutku zmuszenia losów, lecz dobrowolnie. Jeżeli
prawdą jest, że z przeszłości obecność, a z obecności
przyszłość wyrozumować można, jakże na tej drodze doj-
dziem do rezultatu Autora?

Sporne z sobą żywiły po długiem ścieraniu się z sobą,
mogą nakoniec spoić się w jedność, ale nie te, co przez
długi przeciąg wieków tak sprzecznie się wyrabiały, że wre-
szcie z natury swojej stały się sobie zupełnie przeciwnymi.

Zupełnie przeciwną była dążność i kierunek Cywi-
lizacyi obu narodów. Polska ciągle ku wyższej wolno-
ści dążyła; Moskale właśnie tego mocarza nazywali
Wielkim, który ich najbardziej ujarzmił. My czerpa-
liśmy wszystkie wyobrażenia Zachodu, oni z przeciwnej
strony; naszą pierwotną dzikość, złagodził chrystyanizm
i uzdolnił do przyjęcia cywilizacyi na ich dzikość, fałsz,
srogość, absolutność rządu, podłość ludu i wszelkiego ro-
dzaju zepsucie, żadnego nie miał wpływu. Cała potęga
ich państwa na tak niechrześcijańskich opiera się zasa-
dach i tylu sromotnemi spaja się ciągle występkami, że
jak dziś jeszcze Custine mówi, rozwinięcie chrystyanizmu
w Rossyi, całyby gmach ten obaliło.

Polacy wiele zapewne złego, choć czasowo tylko za-
czerpnęli z zachodu Europy; ale też całą jego szlache-
tność i rycerskie uczucia wciągnęli w siebie, ztąd ta
otwartość, łatwość poświęcenia, ztąd ta waga honoru, go-
dności człowieka, niepodległości indywidualnej, narodo-

wój. Znajdziem te uczucia w pojedynczych Rossyanach, bo nie ma ludu pozbawionego zupełnie mężów zacnych, ale w całości narodu, oprócz jednej dumy, próżnoby wyższych szukano uczuć. Nie ma ich, bo nie mogłyby się zgodzić z naturą zepsutą tylu występniemi chuciami, krzywem przez wieki wychowaniem, i górującą nad wszystkim materjalnością. My najwyższe mamy wyobrażenie o wolności osobistej; pozbawienie jej kogo w Rosyi nie dziwi nawet ludu. My świętość własności czuliśmy zawsze tak silnie; Moskał każdą własność uważa za własność Cara, której używać tylko łaskawie pozwala poddanym. Nasza wiara jest niepodległą ziemskim mocarzom; oni głową kościoła swego uznali Cara. Nasza wiara przy niewzruszoności dogmatów, ciągle jest zdolną kształcenia się, rozwijania, ciągle pełną życia, postępu; ich nieruchoma, skamieniała, martwa. — I jakże tu zgodzić te dwie masy tak zupełnie przeciwnie rozwinięte, czujące, myślące? Jest to płomień z lodem, światło z ciemnością, fałsz z prawdą do związku przypuszczać. Ale powie mi Autor, że jednego szczepu będąc z Rossyanami, zlanie się nasze w szcep pierwotny, będzie łatwe i naturalne.

Zdanie to nie może ani mojemu, ani zacnego autora sercu odpowiedzieć, bo właśnie z bratem, którego niskich i podłych wyobrażeń pojąć nie umiem, który mnie ciągle ciemniżył, matkę moją także Słowiankę, zabił, za którego wstydić się i pogardzać nim muszę, życie jest mi niepodobne, nieznosne. Pamiątka wreszcie wspólnego słowiaństwa, do ciemnych, historycznych może należeć wspomnień; w życiu rzeczywistém zatartą została odmiennością dziejów, licznemi wiekami, odrębną cywi-

lizacją, wiarą, boleścią tylu pokoleń i wszelkiego rodzaju krzywdami. Wydrzyj z pamięci naszej trzynaście wieków istnienia, wydrzyj wszystkie wspomnienia sławy, ofiar, gwałtów, prześladowania wiary, mąk Sybiru, mordów Pragi, zabójstwa ojczyzny; zdejm całą krew naszą z ziemi polskiej, zgładź wszystkie mogiły, a co najsmoższe, zedrzyj obraz ciągłego psucia szlachetnego charakteru narodowego, a wtenczas wezwij mnie do braterstwa z Moskalami. Trzebaby jak Bóg, być wszechmocnym, aby tę przemianę zdziałać w Polaku. Bóg nam zostawia te wspomnienia i nie bez celu zapewnie. Budzi w ranie serc naszych wiarę, przecucie i nadzieję: któż więc się ośmieli, w duszy mojej to zabijać, co Bóg zostawia? Ale pójdźmy do cenniejszych pisma tego ustępów. Autor listu wielką wagę przywiązuje do powitania jakiego Rossyanie doznali w Krakowie, bo widzi w niém małżeństwo dwóch narodów, z którego nowa ma się zrodzić przyszłość. Nie podobno mi uwierzyć w zdanie, w które tak światły pisarz sam szczerze uwierzyć nie mógł. Czyż podobna, aby pomnąc na położenie wówczas zagrożonych przez zemstę Kollina Krakowianów, nie widział w tém po prostu ziszczenia się owego przysławia: „tonący brzytwy się chwyta?“ Zjawienie się przed nimi Prusaków, byłoby podobne wywołało powitanie, gorętsze może nawet, bo bez wspomnienia rzezi Humańskiej przez Moskwę podżęgniętej. Łatwo było przewidzieć w Krakowie, że Rossyanie nie przybywają powtarzać mordów galicyjskich, sprzymierzać się z wściekłością Kollina; łatwo było odgadnąć myśl ich postępowania. — Cały świat wówczas wiedział, jaka ohyda

ciążyła na nich w Europie. Wszystkie pisma ubiegały się w głoszeniu szkarad ich rządu, w skutku nawet odrzuconego małżeństwa, Petersburg czuł się poniżonym przez Wiedeń. Zjawiła się więc korzystna chwila, przerwienie tej ohydy na Austrią i pomszczenia się razem za doznaną obelgę. To proste każdego rozumowanie, i postrach ogólny dały dały ten popęd witanom gminu, a nie dziwnie przez autora improwizowana sympatya, nie żądza wymarzonych przez niego zaręczyn z Czerkiesami. Ta sama chęć przerwienia swojej sromoty na Austrią, nagliła Rosyją do przyjmowania szlachty uciekającej przed rzezią austriacką. Trudno, niepodobno mi nawet dostrzedz w tém z autorem politycznych rachub Rosyi, w takim razie bowiem więcej uczucia dla braci słowiańskich okazać wypadało, a nie po kilku dniach pobytu w Krakowie oddać ich na pastwę tym samym Austriakom, co mordowali Galicyą, a jadłem piekielnym wrzeli na Kraków. Ja nie sympatya, lecz prostą, chytrą moskiewszczyzną w tém widzę, która po otrzymanej zemście na Niemca wraca do zwyczajnej polityki gnębienia Polaków, i tym razem dogodniejszej jeszcze, bo ręką drugich.

Autor listu, przyjąwszy za prawdę spełnione w Krakowie małżeństwo dwóch narodów, zaledwie myśl tę powziął, uczuł niepodobieństwo wprowadzenia jej w życie, bo każąc nam szukać nowej przyszłości, nie jako poślubienców stawia nas obok Rosyi, nie jako przyłączone państwo, ale w samém wnętrzu niezmiernego carstwa zatopić nam radzi. W następnym zaraz okresie myśl tę jaśniej jeszcze tłumaczy, mówiąc że nie mogąc być Państwem, możemy przynajmniej zostać członkami

jednego szczepu. „Impuissants à nous rendre maître de notre destinée comme corps politique, comme Etat, nous pouvons en trouver une nouvelle comme individus de la même race.“ Oto jest to rojone małżeństwo, oto ta świetna przyszłość i poprawa doli. Trudno przy najlepszych chęciach dla Autora, nie widzieć w tém przenaturzenia się w moskali, a jeżeli powyżej dowiodłem niepodobieństwa szczerego łączenia się z niemi, cóż dopiero o podobieństwie przenaturzenia się myśleć! Serce całego narodu, świętość ludzkiej, narodowej powinności, i godność nieszczęścia polskiego najlepszą dadzą odpowiedź.

Znakomity autor listu sam się przeraził swoją myślą, na następnych bowiem stronicach wszelkiego ratunku szuka w przepaści, w której się pogryzł. Przez nasze wcielenie się w Rosyją, chce ją uleczyć, uznać, zapowiada jej wpływ przez nas na Europę, i wskazuje nam jakby na wzór niemieckie prowincye Rosyi, przez które kiedyś tak silnie ma wpływać na Niemcy.

Odpowiedź na to zdaje mi się łatwą. Jeżeli Rosya przez swoich Niemców chce na Germanią wpływać, to przynajmniej przyzna Autor, że nie umiała tego przygotować; widzieliśmy bowiem z tyłu urządzeń panującego cara, czytali w tyłu niemieckich pismach, słyszeli od tyłu mieszkańców tamecznych, jak wszelkiemi sposobami stara się rząd zruszczyć te ziemie, jak język i wiara nawet z uszczerbkiem istniejących, szerzy. Rosya nie przez prowincye niemieckie chce wpływać na Niemcy, ale przez swoją potęgę, którą w przerobieniu wszystkich poddanych na lud jednolity widzi. Może ona na mocy

posiadania tych prowincyi rościć sobie pewne prawa do interesów niemieckich, lecz dla tego nie wyrzecz się ich wynarodowienia. Będzie je w notach dyplomatycznych nazywać niemieckimi, choć od dawna już będą zruszczone.

Co się tyczy uleczenia Rosyi z trawiących ją żywiołów oporu polskiego, przyznaję autorowi słusność téj uwagi, ależ przebóg, czyż nam o uleczenie Rosyi idzie, czy o Ojczyznę? Im zdrowszą będzie Rosya, tem w głębszy grób zapadać się będzie Polska. Chcieć przez nas uznać Rosyą, jest to zupełnie nie znać głębokości zepsucia tego narodu i rządu. My byśmy mieli naszymi zaletami zdziałać to przeistoczenie, którego wiara Syna Bożego dokazać nie może! Nie Rosyanie by się uznali, ale my byśmy się spodlili, zbezczesnili, bo w tak brudnem naczyniu wszystko zbrudnić musi. Jakże w Królestwie Kongresowem daleką jest jeszcze liczba Rosyan od Polaków, o ile już rak zepsucia potoczył ziomek naszych, ile podłości, przekupstwa, oszustw i zdzierstwa w administracyi krajowej! Jeżeli tak są zręczni i przemożni Moskale w mniejszej liczbie, cóż będzie, gdy, jak autor chce, zanurzymy się w samém wnętrzu niezmiernego carstwa?

Autor jeszcze i tę na ratunek swój myśli przytacza obietnicę, że wcieliwszy się w Rosyę, wypełniemy tę próżnię, co w taką pograża nas rozpacz, odzyskamy wyższe zatrudnienie społeczne, powołani będziemy do czynności rzeczywistych.

Przyznaję, że ludzie, jak autor, potężni rozumem i zręcznością, po długiej próbie ich wierności, użyci

będą do dworu, dyplomacyi, rządu. Ale czegoż po ich sumieniu będzie domagał się ten dwór, dyplomacya, rząd? Czy jak my się przenaturzemy dla nich w Rosyan, tak oni przenaturzą się dla nas w ucziwych, szlachetnych? A wreszcie, czyż to przez wyniesienie kilku osób zyska co na tém szczep polski? Widziemy, ile Kurlandczyków w Rosyi, Czechów w Austrii, na wyższych stanęło miejscach. I cóż to ich rodzinnym ziemiom pomogło? Albo nie nie mogli zdziałać, albo zaprzedawszy się swym panom, zapomnieli o braciach. Autor lęka się nakoniec, abyśmy nadto późno wcielając się w Rosyę, nie przynieśli jój w sobie daru mniej wartości mającego, jak gdybyśmy naszą wartością mogli coś wytargować na Rosyi. A wreszcie, niech się autor nie obawia; im bardziej bylibyśmy zepsuci, zbezczesnieni moralnie, tem milszym, bo dogodniejszym bylibyśmy dla ich rządu datkiem. Autor zdaje się ludzić tą myślą, że Rosya tak bardzo chciwa na naszą wyższość intelektualną i moralną, a przecież dość spojrzeć na to, co się dzieje, aby widzieć, że nasze światło ma za poniżające dla siebie, nasze zasady za zgubne dla siebie, naszą wiarę za niebezpieczną dla swojej wiary.

Złudzenia autora aż do tego posuwają się stopnia, że nas wcielonych do Rosyi widzi w przyszłości, jakby przodkujących cywilizacyi Słowiańskiej. Wierzę, że ta młoda cywilizacya przy jedności nieużytych jeszcze ludów słowiańskich byłaby zdrową, silną i nowe niosącą życie światu coraz to materyalniejszemu. Ale aby nieść tę cywilizacyą trzeba ją wprzód stworzyć u siebie. Rosyanie naszej rozwijać się nie dają, każde wyższe uczu-

cie, każdą iskrę światła tłumią bez litości, a u nich jakież do niej znajdujem żywioty? Gdyby tylko dzicy byli, mogliby się stopniowo rozwijać, uszlachetniać, oświecać, a nakoniec i przewodniczyć innym; ale jakież nadzieje w tym narodzie położyć, który same choroby zepsutęj cywilizacji wciągnął w siebie, a cnoty nawet dzikości postradał, który najmniejszego lęka się światła, aby jego ciemnoty i bezceństw nie wyświeciło. Wreszcie, któżby wówczas stanął na czele tej Słowiańszczyzny nową cywilizacją niosącej? Autor jeżeli nie z własnych uwag, to przynajmniej z prelekcyi Mickiewicza mógł się przekonać, jak rząd moskiewski zawsze w przeciwnym Słowiańszczyźnie kierunku władał, wszystko nawet u siebie wykorzenił, co tylko duchem Słowiańszczyzny tchnęło.

Autor, wśród innych marzeń roi sobie i tę nadzieję, że gdy się wszyscy skupimy pod berło cara, nie będzie nas mógł jak teraz ujarzmić. Autor zapomina naprzód o tej bez żadnej proporcji przewadze numerycznej i tylu innych środkach ujarzmienia, któreby i wtedy pozostały carowi. Czegoż mu wreszcie z dawniej Polski nie dostaje? dwóch wprawdzie pięknych prowincyi, ale dwóch tylko. Oprócz nich całą dawną Polskę pochłonał i trzyma, a jakże nią rządzi, co z nią wyrabia? Możnaż mniemać, aby dodatek tych dwóch prowincyi tak wielką mógł sprawić odmianę? Wiemy co Paszkiewicz rzekł jednemu z zauszników, który właśnie nad pismem naszego autora zaczął się rozwodzić. Cesarz widzi w tém nowe sidła, które mu zastawiają Polacy, ale nie będzie tak płochym, aby go w nie ujęto. — Wyższęj, mówi on, wagi interesa, niż dwie kłopotliwe prowincye wiążą

mnie silną przyjaźnią z Prusami i Austryą. Wreście choćbym i posiadał te dwie prowincye, nicby to systemu mego nie zmieniło; cztery brygady żandarmeryi byłyby dostatecznymi do zrównania nowych poddanych z dawnymi.“ Apostołowie idei naszego autora, to tylko otrzymają w zysku, że choć skrycie i pokątnie, car propozycye ich głaskać i zachęcać będzie, publicznie ze wzgardą je odrzuci. Ale autor nasz i na to zapewne znajduje środek zaradczy. Powie on, że mimo woli cara wzroslibyśmy w znaczenie i potęgę, bo przez nas Europa jako niechętnych i ciśnionych, drażniłaby go ciągle, groziła groźnemu, osłabiała potężnego. Niewiem coby dalsze drażnienia i groźby przyniosły, ale sądząc z dotychczasowych skutków, nie widzę, jakichby ztąd korzyści spodziewać się można. Wreszcie autor byłby zupełnie sam przeciwnym sobie, bo oglądałby się na nowo na ten wpływ i pomoc obcych, przeciw której tak silnie w piśmie swoim powstaje. Wprowadziłby nas i siebie w ten labirynt z którego wywieść pragnął.

Na takich to kruchych podstawach Autor buduje naszą przyszłość nieszczęśliwą, i z wszystkich położeń obiera najniższe, najwstydniejsze. Dla takich korzyści poddaje cały lud swój carowi jakby trzodę jaką, bez najmniejszego zastrzeżenia, warunku.

Jeden tylko warunek czyli prośbę dołącza, o zemstę za krew przelaną. Nie wahałem się w samym wstępie tego pisma przyznać Autorowi i zacność i polskie uczucia, bo z polskiej tylko duszy tyle krzyków boleści wydrzeć się mogło, bo ten zgubny obłęd, to rzucanie się w przepaść, to przeniesienie szybkiej śmierci nad po-

wolne konanie z nadmiaru tylko rozpaczy polskiej wypłynąć mogło. Nie podła to Gurowszczyzna, która jeszcze Galicyjskich mordów nie miała przed sobą, która nigdy boleści polskiej nie wydała głosu, i którą złość tylko nienasyconej dumy i żądza złota (choć zawiedziona) do tylu kłamstw i podłości przywiodła. Najnieśprawiedliwszym i ślepego umysłu byłby ten, któryby tych dwóch ludzi choć na chwilę chciał przybliżać do siebie.

Tu czyste źródło, tam zamęt błotnisty; tu obłęd szlachetny i coś wielkiego w samej rozpaczy, tam sama nikczemność, fałsz i sromota. Ale z żalem i boleścią serca muszę obwiniać Autora o rzecz zbyt ważną, to jest zupełny brak wiary; tym brakiem jedynie wytłómaczyć sobie mogę dążność jego. Ludzie i narody dość z natury są pochopte do zemsty za krzywdy zadane, zemsta ta zawsze istnieć będzie w ich zamiarach, czynach, lecz wolnoż jest Autorowi chrześcianinowi kłaść ją za warunek i pryncypium? Cóżby przy wolnej i rozpasanej zemście działa się z indywiduami, rodzinami, co z narodem, co z porządkiem społecznym? Tak świetna rozpacz jak i zemsta mogły być kiedyś cnotami, lecz u pogan tylko. My jeżeli w chrześciańskich ludach w chrześciańskich uczuciach, w chrześciańskim Bogu chcemy pokładać nadzieję, chrześciańskiej też wiary trzymajmy się przepisów. Nie wpływa ztąd, abyśmy dozwolali deptania, jarzmienia, zabijania siebie, bo Bóg tak w człowieka jak i narody stworzone przez siebie, wlał uczucie godności, którego bronić powinni, bo On tylko wymaga pokory, która podwyższa duszę; niechce on, aby rezygnacja poddająca się karom czasowym, zamieniała się

w rezygnacją podlegającą niezmiennym wyrokom, nie chce, aby to co jest przechodnie brano, za wieczyste. Non est potestas, nisi a Deo, mówi Pismo święte, to jest władza tylko od Boga pochodząca jest władzą, tę szanować i tej tylko poddać się należy, nie zaś tę co ujarzmia, co dzieło boskie, naród cały, naród starożytny, chrześciański rozdziera i zgładza. Od Boga, boskie tylko pochodzić może, a nie zbrodnia największa.

Bronić się więc trzeba i bronić do upadłego, ale przy braku odpornej siły, jedyną tylko pozostałą bronią, to jest ugadniając się cnotami, podnosząc wielkością ofiar, wzmacniając wiarą, nie odstępując nigdy od zasad najświętszych, powolnym lecz ciąglem, — nigdy nie rozpaczającym, lecz zawsze ufnym w Boga dążeniem do celu. Czyńmy tak dla Polski, jak Montalembert w ostatnim dziełku swoim każe czynić katolikom francuzkim, mówiąc o powinności elektorów, a ujrzym wkrótce jak oni, z zdziwieniem, że sprawa nasza jest w postępie. Mówmy tak do siebie jak Lammenais mówi do ludu „sam się wprzód emancypuj braterstwem i cnotami chrześciańskimi, a emancypowany będziesz przez władzę, bo spodzonych tylko zdeptać, umarłych moralnie, ujarzmić można.“ Czyńmy wreszcie jak sam autor na stronnicy 19-tej mówi: „oui, nous continuerons à garder la même assurance et vis-à-vis des destructeurs au nom de l'anarchie, et des destructeurs au nom du pouvoir.“

Niech tylko tych wyrazów nie kładzie jedynie w usta szlachty, ale w usta każdego Polaka, każdego chrześcianina. W szlachcie wprowadzić najgorętszy wrzask żywiołowości, ale nie jedyny: i niczem-że być mają

obyczaj, mowa i wiara ludu, niczém ziemia i popioły przodków.

Nie tylko rozpacz autora, nie tylko wołanie o zemstę zmusiły mnie do obwinienia go o brak wiary, ale i to zupełnie jój zapomnienie w kryśleniu nam przyszłości naszej. Jakaż nadzieję mógł powziąć autor co do niepodległości na przyszłość wiary ojców naszych, po tém co dotąd rosyjskie czyniły cary, po świeżem nawet tak gwałtowném oddarciu dwóch milionów od Kościoła rzymskiego? Godziłoż się, najważniejszą kwestyą puszczać tylko płazem, i zaledwie w jednym uboczném okresie wspomnieć, że co do zatarg religijnych, to się tam jakoś ułożą, gdzież pewnoś, że się ułożą? gdzie pewnoś, że Rosya dotrzyma układu? Czyż autor nadzieję dotrzymywania możliwego układu wyczerpał z tyłu rosyjskich gwarancyi dawanych i w Polsce i Rzymowi?

Autor całą swoją budowę opiera na tém przekonaniu, że chłopcy na zawsze rozdwoiły się z szlachtą. Przyznaję, że rozdział ten w chwili téj istnieje rzeczywiście, lecz nigdy nie poddam się téj myśli, aby miał trwać wiecznie. Nie ma zawziętszego, jak nienawiść jednego zbrodniarza ku drugiemu, który go do daremnój i zgubnej dla niego namówił zbrodni. Chłopi galicyjscy nie nie zyskali przez mordy swoich panów, bo nie to zyskali, co marzyli, co im urzędy obwodowe w przestraschu, co pokątni przyrzekali doradcy. Wkrótce oni najzjadliwszą przeciw rządowi zapłoną nienawiścią. Widzimy wreszcie już i teraz skutki doznanego zawodu. Wszystkie szubienice i gromy prawa doraźnego już sobie jedynie grożące widzą — za co? — za przysługę, którą mniema-

niem swoim ocalili tron cesarski, i co im dzięki monarsze przyznały. Zmąciły się więc ich wyobrażenia, oburzenie do najwyższego stopnia wzrosło, i wybuch siłą tylko wojskową wstrzymany bydź może. Siła ta wojenna, długie jeszcze lata ciążyć im musi, ciągłe więc jątrzenie rozdrażniać będzie nienawiść. Nie mogąc trzymać z jednemi, powoli do drugich wracać, łączyć się z niemi będą, szukać się wzajemném cierpieniem, boleścią. Ta jest droga natury, i tę tylko przewidywać można. A wreszcie, czyż podobna, aby chłopcy galicyjscy nigdy się nie dowiedzieli, że stósunki ich z panami, były dziełem rządu i całemu państwu wspólne, że panowie ich tylokrotnie, a zawsze daremnie, o zmianę tych stósunków podawali próśby do tronu; czyż podobna, aby zgryzota tak wczesnie po daremnych budząca się zbrodniach, nigdy się w ich duszach nie ozwała? Dobrze i uczciwie jest wrodzone w naturze ludzkiej; złe, zbrodnicze, przechodnim tylko szaleńcem obłąkania; inaczej żadne szczęście domowe, żaden związek społeczny istniećby nie mogły. Zkądżeby jedni chłopcy galicyjscy mieli być przez Stwórcę wyłączeni z natury? Wszakże autor sam tę zgryzotę chłopów galicyjskich przepowiada rządowi, i jak przyszlą grozi zemstą. Jeżeli więc w nią wierzy, zkąd ten powód do rozpacz, jakby po niezwrotnój ich stracie? Ale powie mi Autor, że i Poznańscy i w Królestwie Polskiem chłopcy już zręcznością rządów od nas się odłączyli. Co się stanie w Polsce, przesądzać nie będziemy, wiemy tylko, że cokolwiek ię stanie, nie na długo będzie. Wiadomo jest każdemu chłopu, jak się rząd na wszelki wypadek przygotował, jak każda chęć otrzymania więć,

niż rząd przyznać zamierza, najkrwawsze za sobą pociągnęłyby kary. Widziano także na umyśle chłopów skutki nadziei tak świetnie zapowiadanych, a tak zawiedzionych ogłoszeniem. Wreszcie Rosya, nie tak bardzo jest i może być pochopną do nadania instytucyi wielce liberalnych. W wszystkich swych pismach w Polsce głoszonych bardziej austriackie niż pruskie naśladuje systema. A choćby nawet i dla chłopów liberalną była, przyjmą oni nadaną swobodę, lecz ta nigdy nie wynagrodzi im tyle innych ucisków, a zwłaszcza téj corocznej boleści rodzinnej, którą pobór tyłu ojców, synów, mężów i braci wydziera im na tak długie lata i tak odległą przestrzeń, że nigdy już ich ujrzenia nie mają nadziei. Dzień wzięcia do woj-ska, jest u nich pogrzebem wziętego. Nie, nie tam jeszcze niezagroza niepowrotną utratą chłopów. Jest wrodzona nieufność, jest oziębienie dla panów, ale nie ma i nie będzie miłości dla Moskale, zawsze tam pan, przy obro-nie od rekruta, był, jest, i będzie opiekuńczem chłopą bostwem. Od panów tamiecznych zawisła cała przyszłość, aby jak najspieszniej dozwolone czynszowanie chłopów przedsięwzięli, w niem całą dobroć ojcowską wylali, w niem jedyną chłopom wskazywali nadzieję, a reszty dokona jedność szczepu, wiary, mowy i ucisku. Zosta-wiłem na sam koniec chłopów poznańskich, gdyż tych jako całkiem zaprzędanych rządowi uważa wielu, co przecież zupełnym jest błędem. Wdzięczni oni wprawdzie są rządowi za nadaną im własność, ale wiedzą i o tem, że rząd cudzym kosztem, bez najmniejszego przyczynie-nia się łaskę im tę wyświadczył. Nie są oni bez czucia dla panów, których widzieli tak chętnie przychylających

się do téj zmiany, tak im wiernie dotrzymujących układu, szanujących ich wolność i własność. Nie zupełnie oni to mają za zmuszone dobrodziejstwo, po którym zawsze toż samo serce i uczynność znaleźli. Wracają powoli da-wne patryarchalne stosunki panów z chłopami, bo któż ich wspiera w niedoli, kto daje pomoc w chorobie, kto ułatwia różne z sądami i rządem styczności, kto nieraz wybłaga od kary, kto radą, kto wzorem bywa w go-spodarstwie? Chłop poznański choć wdzięczny rządowi, nigdy sercem nie przystanie do niego zupełnie, bo rząd ten w szkołach, sądach i wszystkich urządzeniach narzuca mu język niemiecki tak dla niego nieznośny: bo kapłanów jego najwyższych więził; bo czuje, że wiarę jego podkopywaiby chcieli; bo protekcyja w Poznań-skiem wbrew prawom nawet dawana, wyklętemu w ko-ściołach Czerskiemu, nigdy nie wygaśnie z pamięci chłopą poznańskiego. Nie bez oburzenia przeciw rządowi, słyszy on także o zamiarach jego rozdawania na czynsze dóbr polskich, składających tak nazwane Amty chłopom nie-mieckim, co on nietylko zniesieniem, ale i z zgrozą duszy, gwałtowném kraju złutrzaniem zowie. Nie poj-muje on, jak jego ziemię polską nie polskim chłopom, lecz przybyszom obcym rozdawać można. I poniżonym i pokrzywdzonym czuje się zarazem. Słowem, im bar-dziej rząd będzie chciał germanizować Księstwo, tém chłopcy jego silniej z panami zrastać się będą, a że rząd ten nie umie inaczej cywilizować, tylko niemcząc, chłopcy więc codzień bardziej będą naszymi.

Kto tak pisze jak autor listu, tego dzieło nie może być przelotnym tylko odgłosem. Zostawia on i wkorze-

nia na długo swoje myśl potężną i w sercach i umysłach wielu. Tym razem na nieszczęście zgubne i mordercze ziarno, rozsiała jego genialność. Brak jego wiary na niektórych religijnych nawet ludzi, miał wpływ najopłakańszy. Słyszałem jak uderzeni potęgą jego rozumowań rozpaczy, w nowy, nie religijny wpadali obłęd, utrzymując, że gdy taki pisarz rozświeciwszy same dno przepaści nas chłonącój, żadnej nie dojrzał nadziei, zbrodnią byłoby najmniejszą nadzieję wszczepiać w dzieci swoje, byłoby to nie sumienném mamieniem ich złudzeniami, któreby ich z zguby w zgubę wiodły. Za święty więc obowiązek uważali wychować dzieci do nowego stanu rzeczy, szczerze im wyjawić, co je czeka, aby i one szczerze przyjęły zatrutę wszystkiego, w nowej i pewnej sferze szukały pola działania, i przez to niepotrzebnych uniknęły cierpień. Nie pomniały na to, te nieszczęśliwe ofiary zgubnych autora wywodów, że właśnie na tej drodze, skrzywiłyby całe wychowanie potomków, bo przestając ich przysposabiać do trudnego duchowego życia, do ofiar, jakie ich ojcowie ponosili, nie podniosłoby ich do żadnej wyższej myśli, nie wyrobiłoby żadnego wyższego charakteru, zamknęłoby im źródło uczuć szlachetniejszych, i przez nich ostatecznie zgubiłoby Polskę. Ułatwiłoby im się życie, ale nie uzacniło. Byliby spokojniejszemi samolubami, ale nie ludźmi lepszymi. Znałąc dzieci do wcielania się już od młodu w życie rosyjskie, to jest w szkołę chytrości, ciemnicę fałszu, jarzmo podłości i błoto rozpusty, najsroźszém z wszystkich byłoby ojcobójstwem. Nieszczęśliwi ci obłąkańce postępując w swym obłędzie, utrzymywali, że sprawę

katolicyzmu zupełnie odłączyć trzeba od sprawy polskiej, aby zdejmując z pierwszej pozór niebezpieczeństwa, nie narażać jej na prześladowanie królów, jak gdyby religia nie zawsze wzmacniała się przez nie, jak gdyby nie krew tylu męczenników utwierdzała chrześcijaństwo, jakby założyciele instytutów duchownych nie błagali Boga o prześladowanie przez wszystkie czasy dla następców swoich. Nie dla katolicyzmu trzeba nie odłączać od niego Polski, ale dla Polski nie odłączać od niej katolicyzmu, lub raczej lepiej mówiąc, i katolicyzmu i Polski nigdy rozłączać nie należy. Cywilizacya całego narodu wypłynęła z odrodzenia się jego przez katolicyzm, w całe dzieje jego tak on jest wpleciony, że duszą był jego działań i zwycięstw znakomitszych. Żaden naród dla katolicyzmu tyle bojów nie staczał. Króle jego padały w wiary tej obronie. Polska jedynie na wschodzie i północy wyznaje i broni katolicyzmu. Katolicyzm jedynie, wspiera ją teraz, wzmacnia w tylu męczarniach, i z niebios ściąga nadzieję. Wspólnie więc są sobie basztą i ostatnią warownią. Pojmuje tę prawdę Rosya i Prusy, bo równie jak o narodowość polską, uderzają, gdzie tylko mogą, w katolicyzm.

Ale nie tylko na wspomnioną część czytelników miał autor wpływ zgubny. Ciężko bolejący, tak łatwo każdemu poddaje się lekarzowi, nawet i truciznę niosącemu. Zaledwie uszła z pod toporu katów szlachta galicyjska, i tak srodze tylu wycierpiała ranami, powtórzyła w rozpaczę pomysł autora. Fantazyjna polityka Księstwa Poznańskiego wyskoczyła także z kilku myśli tej apostołami: w Królestwie tylko Kongresowém i w oddartych dawniej przez Rosyą Ziemiach Polskich nie znalazła

zwolenników. Jakież to tam cierpienie być musi, kiedy po mordach nawet galicyjskich pojąć nie mogą ślepoty poddawania się Rosyi.

Wszystkie te uwagi rozłożone tu przezemnie, stały zapewne autorowi na przeszkodzie w rozwinięciu jego pomysłu, chciał on przecież koniecznie potęgą swojej myśli przeprowadzić go przez całe rozumowań pole, rozumowi swemu dać zwycięstwo nad myślą narodu, odraża doświadczeniem i dziejami. W takiej to chwili wysilenia umysłowego, woła on na nas, że nienawiść tyłowieczna w sercach tylu pokoleń nie może być wolą Boga, że Ojczyzna nie może być tém bożyszczem, dla któregoby można poświęcić wielki interes ludzkości i wieczne porządku społecznego zasady. Zapewne że tak nienawiść, jak i owa zemsta żądana przez autora i płacona Polską nie mogą być wolą Boga, i źle jest, kto domaganie się praw najświętszych poniża zaciękością, ale czy cały lud bliźnich załijać politycznie, czy zezwalać na dobiecie przez Boga danéj i nieszczęśliwéj Ojczyzny, czy zgodzić się na zdarcie z ludu swego ostatniejszy szaty godności, czy nakoniec namawiać swój naród do poddania się dzikiéj i bezbożnéj władzy, do zbrodni samobójstwa, zgadza się także z wolą Boga? Co do wielkiego interesu ludzkości, niech wszystkie ludy, wszystkie trony nawet odpowiedzą autorowi, czy w istnieniu Polski w składzie chrześcijańskiéj Europy, czy w uprawnieniu ohydnych zagrabień Moskwy interes ten jest wyższy? Wieczne zasady porządku społecznego na sprawiedliwości tylko gruntować się mogą; jakżeż autor zgodzi tę sprawiedliwość z zabiciem narodu chrześcijańskiego, z roz-

szerzeniem szatańskiéj carów potęgi, z zdeptaniem wszelkich praw i ludzkich i boskich?

Ale autor w wymarzonéj przez siebie słowiańszczyźnie nowy ten porządek społeczny wskazuje. Wyświeciliśmy już ten moskiewski słowianizm, i coby światu mógł przynieść w darze. Znam wszystkie ofiary dla ludzi, dla Ojczyzny; nie znam, znać nie chcę dla takiej słowiańszczyzny, któraby ciemność, jarzmo, bezwstyd i cały szereg swych sromot ciągnęła za sobą.

Znośmy naszą niedolę, ale nie nieśmy jéj światu. Jeśli ma przyjść ostateczna zaguba, niechże zwala się na nas góry nieszczęścia; ale my sami przynajmniej nie przywołujmy ich na siebie. Nie torujmy, nie ułatwiamy mordercom drogi do grobu naszego. Zkąd ta konieczność wybierania z trzech katów jednego, zkąd prawo dawania takiego wyroku na Ojczyznę, wdzierania się w przywilej Boga samego, w tworzenie i zgładzanie narodów?

Żaden los, żadna niedola, nie może usprawiedliwić rozpacy. Jak ludziom, tak narodom Bóg dał nadzieję, a sobie zachował przyszłość. Świat właśnie teraz wielką brzemienność przemianą, i właśnie wtenczas kiedy już wszystkie ludzkie siły, wszystkie zasoby rozumu wyczerpane, Bóg najczęściej w swojej objawia się mocy. Jak po Kościuszkowskiéj zagubie dał wielkiego człowieka, tak może dać wkrótce wielki wypadek. Nie przykrzmy sobie w czekaniu, gdy na tyle czekamy. I cóż ztąd, że cierpisz, że więcej jeszcze cierpieć będziesz, że cię okuwać, więzić, mordować będą? Czyż dla tego twoja powinność mniejszą, czyż wolno ci uprzedzać wy-

roki Boskie, czy twoja męka nie uświęca cię w obliczu ziemi i nieba, czy chciałbyś twoje nieszczęście zamienić na tryumfującą szkaradę Metternicha? Nie idzie o to, czy cierpisz, ale jak cierpisz, jak się wykupujesz z długu dawnego, jak się nadal uczniasz. Kto ci powiedział, że masa twoich boleści już jest dostateczną na oczyszczenie się z win przeszłości, kto ci powiedział, że za wiek, za dziesiątek lat, jutro, nie będziesz nagrodzony? I cóż mi do tego, że twój rozum, choć tak potężny, innej drogi nie widzi nad tę, którą wskazujesz; któż mi zaręczy, że potężniejszy jeszcze rozum nie wskaże mi przeciwną? Racyonalizm zabił już wiarę w protestantyzmie, maż jeszcze zabijać i wiarę w przyszłość naszą, w skutki pokuty narodowej, w litość i sprawiedliwość Boga?

Nie, nie wyłączę nigdy tego Boga z sprawy ludu katolickiego; z łoża jeszcze śmierci ulatującą już duszą powtórzę wiarę narodu. Dopóki Bóg ten nie okaże się sam na błękitie Nieba i głosem piorunu nie ogłosi naszej zaguby, dopóty wierzę i wierzyć będę w Polskę.



Światowid.

Macie w Krakowie posąg Światowida. Zajmie więc może uwagę wiadomość niniejsza. Zwiedziwszy tego lata wyspę Rügen, gdzie Bożek ten miał mieć najcelniejszą w Słowiaństwie świątynię, zebrałem o nim kilka podań ludowych. Gdzie historia nie przemawia, gdzie głazy nie gadają, gdzie mogiły milczą, tam powieść żywa ludu jedynym skarbem zostaje i dzieje zastąpić musi. Wśród bajecznej osnowy, mieści się zawsze jakieś jądro prawdy, która przez ciemność wieków przeziera. Gardzić więc nią zupełnie nie należy, bo nie wszystko bajką co nie pisane, jak nie wszystko prawdą co skreśliły dzieje. Najpierwsi historycy z tradycyi czerpali. Cześć więc dla niej, cześć dla tych szczątków pogrzebanej od dawna przeszłości. Szacowne te zabytki pełnem niegdyś życiem żyły, oświecało je słońce dawnej chwały, niemi przywalone kości naszych naddziadów, niemi wszystkich narodów przysypane kołyski.

Podania te ludowe, przeniesione w książkowe opisy, dłuższe może mają zapewnione życie, lecz zawsze prawie przez dodatki i domysły piszącego, na szkodę prawdy przetwarzane i bardziej jeszcze zaciemnione bywają.

O tyle więc tylko z nich czerpałem, o ile jeszcze zgadzają się z żywą ludu powieścią, z wiarą jego w przeszłość.

Do dziejów należy rozświecenie, w których czasach wyspa Rügen częścią była Słowiaństwa. Zupełnie zgermanizowana, mało tego Słowiaństwa zachowała śladów. Nie zapierają go przecie germańskie dzieje, a ja kilka włości jeszcze i miejscin znalazłem, pochodzenie to zaświadczających, jako to Grabów, Malczyn, Lubkowo a nawet i Kraków.*)

Wyspa cała Rügen, tylekroć już opisywana, przechowała Rzym wyjąwszy, najwięcej w Europie pomników pogańskich. I tu rozkopywano mogiły, burzono niepamiętnych czasów pamiątki, lecz te zniszczenia w naukowym lub zyskowym przedsięwzięciu celu, surowym rządu wstrzymane zostały rozkazem. Wielka więc przestrzeń téj wyspy licznymi pokryta jest wzgórzami, tworzącymi stare mogiły, a te drzewami zwieńczone olbrzymiami, których tak przez uległość dla wyższej władzy jak i wzbudzone uszanowanie dla starożytności, nikt zuchwałym nie zwał żelazem.

Na wyspie Rügen jest tak nazwany przylądek Arkona, najdalsza i ostatnia ku północy kończyzna Niemiec teraźniejszych. Przylądek ten ma 173 stóp wysokości nad powierzchnią morza. Rozbijały się często o niego dawniej okręty, nie tylko w skutku nawały morskiej, ale podług dobrodusznym majtków powieści i dla tego, że góra ta posiada siłę magnetyczną tak wielką, iż w cza-

*) Kraków jest to folwark w bliskości miasta Bergen.

sie burzy okręty przyciąga do siebie. Zaradzono temu w r. 1827. Wybudowano na szczycie góry latarnię morską podług planu Schinckla z Berlina. Jest to oberża kilkopiętrowa, na której wspomniona sterczy latarnia o siedmnastu rewerberach na osiem mil rozpromieniających morze. Latarnia ta mając 73 stóp wysokości, góra zaś na której stoi 173, światło więc latarni jaśnieje z wysokości 246 stóp

Na téj to górze stała niegdyś twierdza Jaromersburg czyli Arkona. Była ona stolicą całej wyspy Rügen. Wewnątrz twierdzy znajdowała się świątynia Światowida, czyli podług teraźniejszego dyalektu ludu Swante wita. Twierdza ta silnym była opasana wałem. Trzysta trzydzieści lat trwała cześć dla Światowida na wyspie, kiedy Rugianie od dawnych czasów znośzący jarzmo duńskie, chcąc je nareszcie zrzucić, podnieśli bunt ogólny. Przybył z ogromnem wojskiem w roku 1168 król duński Waldemar, lecz długi czas daremnie się kusił o wzięcie twierdzy, aż ją nakoniec za pomocą Sasów i Pomorzaków zdobył, zniszczył wraz z świątynią i na całej wyspie religią chrześcijańską zaprowadził.

Żaden ślad téj świątyni nie pozostał, miała być drewniana, bardzo misternie wyrabiana zewnątrz i cała czerwono malowana. Całą obronę tak twierdzy jak świątyni stanowił wał ją otaczający i ten tylko aż dotąd w części pozostał. Co z biegiem czasów z niego ubyło, stało się w skutku deszczów i topniejących śniegów, ziemia bowiem z której był usypany składała się z gliny i kredy.

Mieli się znajdować w tej świątyni i inni bożkowie, lecz pod Światowida jako bożka naczelnego władzą. Sam Światowid miał być z drzewa wyrabiany i grubo złoceny. Przechodził wielkość naturalną człowieka. Trzymał w lewym ręku róg złoty medalami wysadzany, w prawym strzałę. W róg ten arcykapłan corocznie nowy miód wlewał i z własności jego wróżył o przyszłym żniwie wyspy.

Po zdobyciu twierdzy, król dał rozkaz bratu biskupa duńskiego Absalona, Erbertowi i niejakiemu Zuno, zniszczenia posagu Światowida. Na wieść tę tak oburzącą dla niego, zebrał się lud w wielkiej ilości, aby być świadkiem zwycięstwa bożka nad jego napastnikami, lecz gdy liczniejsze jeszcze naprzeciw niemu stanęło wojsko, i bożek dał się obalić, porąbać i spalić, przestano wierzyć w jego boską siłę, i łatwiej skłaniano się ku chrześcijaństwu, zwłaszcza gdy król za radą biskupa Absalona, jak najłagodniej z zwyciężonymi obchodzić się rozkazał. Lud na wyspie Rügen dotąd zaciecie utrzymuje, że gdy obalono posąg bożka, wyleciał z wnętrza jego czarny i najszkodliwszy djabeł, i pięć razy kozła przewróciwszy, uciekł przez okno, przyczem wszystkie wilki wyspy Rügen wyły przeraźliwie, czarne stada nietoperzy, kruków i puchaczy długo za nim goniły, a cały Bałtyk warzył się, szumiał i pienił.

Co do opisu świątyni takiem jest podanie. Jeden tylko wchód miała, lecz za to podwójne i odstępem przedzielone ściany, także czerwono malowane. Wewnętrzny obwód, czyli druga ściana, składała się z kolumn, między którymi bogate wisiały kobierce. W środku tego

obwodu, stał za zasłoną posąg Światowida o czterech obliczach. Obok niego wisiało siodło, wędzidło i miecz nadzwyczaj wielki z srebrną pochwą i rękojeścią. Na ścianach od purpurowych kobierców odbijały rozmaite rogi dzikich zwierząt i drogie kruszczowe dary bożkowi w hołdzie składane, przez dalekich nawet kraju przysyłane królów.

Cześć religijną w następnym sposobie składano Światowidowi. Ponieważ bożek ten był przede wszystkim Bogiem zwycięstwa i obfitości, przeto corocznie po skończonym żniwie, zbierał się lud mnogi z całej wyspy dla składania mu części łupów wojennych i ofiar żniwnych, poczem wielka ludu następowała uczta. Arcykapłan sam przed obrzędem zamiatął całą świątynię. Czyniąc to, musiał się wszelkiego odetchnienia wystrzegać, a ilekroć koniecznie odetchnąć musiał, tylekroć uciekał z świątyni, aby nowego zaczerpnąć powietrza, tak iżby bożek niczem co jest ludzkie nie był splamionym.

Przed zebrany ludem przystępował do bożka, i jeżeli w rogu jego znalazł nietknięty miód przeszłoroczny, głód i drogość przepowiadał. Wyjął wówczas z ręki Światowida róg wspomniany, u nóg jego wylał miód dawny, nowym zapełnił, zwrócił bożkowi i prosił o błogosławieństwo polom i zwycięstwo w boju.

Skończywszy ten pierwszy obrząd przystąpił do drugiego. Wziął w ręce chleb okrągły a tak wielki, że całego człowieka zakrywał. Postawiwszy go między sobą a ludem pytał czy widzą jego postać? Jeżeli go niewidziano, zapowiadał ztąd szczęście i życzył aby i w przyszłym roku chleb ten mógł być tej wielkości, iżby za

nim nie był widziany. Poczem lud wzywał do wierności i cześci dla Światowida, jako dawcy wszystkiego, i na tem kończył się cały obrząd.

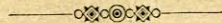
Nie daleko Arkony jest dotąd wieś Swantewit, wystawiona na miejscu, gdzie hodowano i żywiono białe rumaki na usługę bożka przeznaczone, a na których utrzymanie każda kobieta i każdy mężczyzna składali po jednym pieniążku. Koni tych było 300, a między niemi jeden, którego nikomu prócz areykapłana tknąć się nie było wolno. On go sam musiał czyścić i żywić. Zdarzało się nieraz, że koń ten z niewiadomiej przyczyny nad ranem cały był spocony i kurzem okryty. Było to oznaką, że Światowid na nim daleką w nocy odbył podróż, w której tępił nieprzyjaciół kraju i wiary. Konia tego i do wróżb używano. Ilekroć przyszło wyciągać na nową wojnę, areykapłan kładł na szersz drogi kopie lub szyny żelazne, po której koń miał postępować. Szyny te lub kopie na małą przestrzeń od siebie odległe, położone były. Konia po tej drodze przeprowadzano trzykrotnie. Jeżeli iść zaczął prawą nogą a żadnej z przeszkód nie dotknął, zapewniano zwycięstwo, jeżeli przeciwnie, klęskę niezawodną.

Są jeszcze inne podania o Arkonie, że część miasta zapadła się w morzu i dotąd w czasie mgły wielkiej, wieże jego wykazują się z wody, jako też różne szczegóły o zdobyciu twierdzy, lecz że książkowe opisy z podaniami, a te podania rozmaite z sobą są niezgodne, więc ich nie przytaczam. Są oprócz tego uczeni, którzy chcą koniecznie inaczej wiedzieć jak wszyscy; i tak niektórzy utrzymują, że nigdy nie było bożka słowiań-

skiego Światowida, i że był to po prostu wielki niegdyś bohater, którego pamięć lud po jego śmierci ubóstwiał, inni zaś w Światowidzie widzą niegdyś czczonogo na wyspie świętego Wita, dodając że właśnie w sam dzień św. Wita, Światowid uzurpator jego świątyni zwalonym i spalonym został po zdobyciu twierdzy.

Ileż tu baśni! powie z uśmiechem badacz biegleszy, ja mu odpowiem wierszem Mickiewicza:

...lecz nim się zaśmieje
Niechaj powie uczony, czém są wszystkie dzieje.



TOWARZYSTWO ANTYPÓJEDYNKOWE.

(Projekt ustaw.)

Pojedynki zakazane są przez religię, prawo i rozum, a więc trzykrotną są zbrodnią. Poddawać się tej zbrodni, jest to powstawać przeciw Bogu, porządkowi społecznemu i prawdziwej cywilizacji. Piękną jest odwaga lecz gdy natchniona poświęceniem, wszelka inna jest płachością, występłą wzdargą życia lub brutalną juna-keryą. Honor, jeżeli nie jest cnotą, jest przesądem, jarzmem bezrozumnych, z wszystkich niewoli najnieznośniejszą.

Aby przeszkodzić rozkrzewianiu się złego aż nadto rozkrzewionego, stanowi się niniejsze towarzystwo. Nie-maléj odwagi trzeba do wystąpienia publicznie przeciw tak ogólnemu przesądowi. Walka to długa i olbrzymia, na której czele stanąby powinien wielki charakter, za-sługa znamienita i dane dowody bohaterskiej odwagi.

Nas ośmiela to wiekami stwierdzone doświadczenie, że prawda zawsze w końcu zwycięża. Iluż to przesądom świat dawniej ulegał, które znikły bezpowrotnie przed słońcem lepszego przekonania! Gdyby historia nie za-swiadczała, że przesądom tym hołdowali ludzie, wie-

rzyćby nie chciano, że w samą rzecz istniały. Przyjdzie czas, w którym i o pojedynkach świat równie sądzić będzie.

Lecz jeżeli wielkiej odwagi trzeba do pierwszego rzucenia tej zbawienną myśli, nie mniejszą trzeba i tym co pierwsi do niej przystępują. Dziesięć pojedynków najświetniej odbytych niewyrównają mężstwu pierwszych, wpisujących się do towarzystwa. Mniejszego przecież wysilenia duszy potrzebuje odwaga ta, niż ta, która się ośmiela na dozoną boleść ojców i matek, na zgubę duszy, zdeptanie praw Boskich i całą wieczność nieszczęścia.

Ogólne uwagi.

1. Wojsko, zwłaszcza stojące, będąc utworem najwyższej władzy, jej się zostawia obmyślenie potrzebnych w tej mierze urządzeń i z tego powodu nie podciągamy go pod przepisy naszej ustawy i towarzystwa.

2. Każdy dobrze wychowany człowiek powinien umieć nie obrażać ni czynem ni słowem. Umie on unikać zbliżającej się obrazy przez wczesne przerwanie gorętszej rozmowy, lub nadanie jej innego kierunku. Im lepiej kto wychowany, tym zrzętniej z grożącego wywikła się położenia. Gburactwo jedynie tego dokonać nie umie.

Jeżliby przecież mimo wszelkich usiłowań obraza miała miejsce, załatwioną być powinna podług przepisów, które niniejsza stanowi

USTAWA.

1. Przez przyjaciół stron sprzecznych wybrane mają być osoby do składu sądu polubowego. Osoby te potwierdzone być powinny tak przez obrażonego, jak przez obrażającego.

2. Najstarszy wiekiem przewodniczy.

3. Członkowie sądu nie mogą być spokrewnieni z żadną stroną do 3 stopnia inclusive.

4. Sąd ten składać się będzie z 3, lub 5 członków wybranych z towarzystwa. Gdzie obraza czynna, tam zawsze sąd z 5 członków składać się będzie.

5. Większość głosów stanowi.

6. Jaki wyrok wyda sąd polubowny, takiemu obie strony poddać się powinny, i przez wszystkich członków towarzystwa jako prawomocny i dostateczny przyjęty będzie.

7. Roztrzygnięcie to nastąpić może przez zgodzenie spornych osób, przez przeproszenie listowne w podanej przez sąd polubowny formie, osobiste w wyrazach przez tenże sąd postanowionych w obec dwóch świadków przez sąd wyznaczonych, nakoniec przez kary pieniężne na dochód instytutów dobroczynnych, za co kwit ma być w przepisany czas złożony sekretarzowi towarzystwa. Kary pieniężne zastósowane być mają do kar praw krajowych na injurie.

8. Czynności sądu każdego zapisywane być mają w księdze umyślnie na to sporządzonej, która pod zamknięciem ma być trzymana u sekretarza towarzystwa, a której czytania nikomu dozwalać mu nie wolno.

9. Obraza może być słowem lub czynem osoby bronić się mogącej lub nie.

10. Obrazy słowem podług artykułu 7-go załadowane być powinny.

11. Obrazy czynem, jak to przez uderzenie, plwanie na drugiego osobę i tym podobnie, karane będą wykluczeniem z towarzystwa i wszelkiej społeczności, a to podług przewinienia od lat dwóch do na zawsze. Potwarz głoszona drukiem zawsze do czynnych obraz należeć będzie, równie jak w publicznych mowach rzucona na kogo wyrażnie.

12. Obraza osoby bronić się nie mogącej, jako to dziecka, kobiety lub kapłana, zdwojoną karą obłożona będzie, a to podług tego czy słowną czy czynną była.

13. Łagodzi te kary przebaczenie chrześcijańskie z strony obrażonego lub obrażonej. Przebaczący winien o tem donieść sekretarzowi towarzystwa, a ten sądowi polubownemu.

14. Ktoby nie chciał poddać się wyrokowi sądu polubownego, przez to samo wyklucza się z towarzystwa.

15. Ani wyzywać, ani przyjmować wyzywania nie może należący do towarzystwa od nienależącego do niego. Zatarę zająć mogącą krajowym sądom powierzyć powinien, chyba że nienależący do towarzystwa podda się pod sąd polubowy. Wówczas gdyby żądał tego, możnaby mieszany sąd utworzyć z 4 osób, dwóch należących do towarzystwa i dwóch nie należących do niego, zawsze jednak na ich wybór obie strony zgodzić się winny i sprawa zawsze podług ustaw towarzystwa

ma być sądzoną. Przy równości głosów rozstrzyga prezydujący, którym może być tak należący do towarzystwa jak i nie należący, starszeństwo wieku bowiem stanowić o tem będzie.

16. Ponieważ wykluczenie z wszelkiej społeczności czasowe lub na zawsze, najwyższą jest karą w niniejszej ustawie, przeto nie chcąc grzeszyć przeciw względom społecznym i prawom obyczajności, tak rzecz tę rozjaśniamy, iż nie o to idzie, aby się nie znajdować w jednym kole społecznym z ukaranym, lecz o to, aby go nie przyjmować do swoich domów, w żadnej poufnej nie zostawać z nim zażyłości, i wszelkiej styczności unikać, wyjąwszy w obradach i usługach bliźniego lub kraju się tyjących.

17. Balotowanie na wybór członków towarzystwa miejsca mieć nie będzie; złożony podpis na ustawie będzie dostateczny.

18. Żadnych składek nie zna towarzystwo, ani żadnych zebrań członków.

19. Lista przyjmujących warunki towarzystwa złożoną będzie u J.W. Księdza Arcypasterza jako dowód hołdu przepisom Kościoła i oznaka postępu prawdziwej cywilizacji wspartej na religii.

20. J. W. Ksiądz Arcypasterz wybiera sekretarza. Sekretarz ten obecny będzie wszystkim sądom polubownym, jako trzymający pióro, lecz bez głosu doradczego.

21. Sekretarz corocznie jednym okólnikiem zawiadomić powinien wszystkich członków towarzystwa, kto przybył do towarzystwa lub ubył z niego. Listę tę każdy sobie dla wiadomości wypisze.

22. Każdy członek towarzystwa powinien przy podanej okazji nie tylko śmiało przyznawać się do należenia do towarzystwa, ale ile możności i rozszerzać jego zasady, a na dewszystko wzbudzać wszystkie matki, żony i córki do popierania jego tak dalece iżby młode dziewice na swoich oblubieńcach wymódz się starały tę ofiarę i dowód miłości, że należeć będą do towarzystwa, dla silniejszego zabezpieczenia ich pokoju i szczęścia w pożyciu małżeńskim.

23. Gdyby odmiennego wyznania religijnego ludzie chcieli wstąpić do towarzystwa, przyjąć ich należy, aby nikomu do lepszego nie zagrażać drogi.

24. Ustawa ta nie jest dla saméj szlachty, każdy który przeszedł szkoły i uniwersytet, a więc otrzymał stopień wyższego wykształcenia, ma prawo mieszczenia się w niniejszém towarzystwie.



SPIS RZECZY.

Proza.	Strona.
Mowa pogrzebowa na cześć ks. Józefa Poniatowskiego	1
Co się działo w wojsku polskiem po bitwie pod Lipskiem	27
Posąg ks. Józefa Poniatowskiego	47
Żywot Kajetana Koźmiana	53
Nekrolog Ludwika Platara	81
Ostatni pobyt Karpińskiego	95
Śniadanie u Dąbrowskiego	105
Rys z życia Niemcewicza	123
Anegdoty o Krasickim	129
Kilka słów o Trembeckim	135
Kilka słów do historii napisów w Polsce	143
Generał Michał Grabowski	153
Widmo	163
Widmo w zamku rydzynskim	171
Odpis na list szlachcica polskiego do Metternicha	177
Światowid	201
Towarzystwo antypojedynkowe	211